

Henry Miller: Czytać mniej! Jordi Savall: Słuchać mądrzej!

PRZE

Numer 12/2961 24 marca 2002 r.

KRÓJ

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

RYPSON
Burzy mur berliński,
zanim stanął w Warszawie

LAS VEGAS
Zaprasza: tatusiów,
mamusie z dziećmi.
Dziękuję: gangsterom,
 prostytutkom i hazardzistom

„MĘSKA SPRAWA”
Polski film
tuż przed Oscarami

NARYSOWAŁA MNIE
BOGNA OTTO-WĘGRZYN
I COŚ CHYBA WYGRAŁA



Indeks 371424 • Y-9013-C

A co powiesz na abonament za złotówkę i o 50% tańsze rozmowy?

Siemens
S45
99 zł

/przy wyborze
taryfy Biznes 100
lub Biznes 220/



BIZNES

I osiągniesz więcej

W nowej promocji* Era Biznes wyjątkowo dużo zyskasz:

- płacisz tylko 1 zł za abonament przez trzy miesiące
- połączenia z wybranym numerem kierunkowym w telefonii stacjonarnej przez pół roku o 50% tańsze
- w ofercie najnowsze telefony renomowanych firm po wyjątkowo atrakcyjnych cenach
- połączenia już od 30 gr za minutę

Jesteśmy do Twojej dyspozycji pod numerami: 0 801 602 602 lub 602 962 000**.

Oferta aktualna do 20 kwietnia 2002 r. lub do wyczerpania zapasów telefonów.

www.era.pl
e-mail: biznes@era.pl

* Oferta dla Klientów instytucjonalnych posiadających numer REGON przy zakupie minimum dwóch kart SIM oraz aktywacji w taryfie Biznes 220, Biznes 100 lub Biznes 45. Szczegółowy regulamin oferty dostępny u Twojego Doradcy Biznesowego.

NIE ZNAMY HISTORII

W „Listach” („P” nr 9 z dnia 3 marca 2002 r.) przeczytałem wypowiedź pana Kazimierza Zduńskiego z Poznania o dyskusji wywołanej wypędzeniem Niemców z Ziemi Zachodnich.

Winę za brak wiedzy o historii najnowszej Polski przez nasze społeczeństwo ponosi propaganda i system nauczania PRL. Całe pokolenie ludzi urodzonych po II wojnie światowej nie zna prawdziwej historii narodu. Stale w sposób nieobiektywny i wyrywkowy przedstawia się fragmenty historii, powodując ferment i brak zrozumienia w społeczeństwie. Mogę przypuszczać, iż pan Kazimierz Zduński nie zna losów, jakie spotkały poznaniaków w czasie okupacji. Przez pięć lat każde polskie dziecko nosiło stale na szyi zawieszoną na kawału materiału informację zawierającą imię, nazwisko, datę urodzenia, imiona rodziców i adres zamieszkania. Ponadto przez całe pięć lat każdy członek rodziny miał przygotowany worek z szelkami zawierający bieliznę i odzież. To Niemcy w środku nocy walili kolbami karabinów w drzwi z okrzykiem: „Heraus”, dając 10 minut na ubranie się, wyrzucali Polaków z ich mieszkań, wywożąc ich w nieznane, rozbijając rodziny. Sam to w Poznaniu przeżywałem. A wypędzenie po powstaniu mieszkańców Warszawy? Należy się nam, Polakom, rzetelne historyczne opracowanie najnowszej historii od czasów odzyskania niepodległości po I wojnie światowej.

Z poważaniem

ZDZISŁAW CIESIELSKI – poznaniak

PONAWIAMY ZAPROSZENIE

Szanowni Czytelnicy, drodzy wesołkowie! Miło nam poinformować, że redakcja „P” dołączyła w tym roku do grona współtwórców Ogólnopolskiego Turnieju Łgarzy w Bogatyni. Organizowany już po raz 19. turniej jest otwarty dla wszystkich, którzy nadesłali oryginalny, nigdzie niepublikowany, własny tekst lub pomysł na rozbawienie publiczności (piosenka, monolog, skecz, pantomima itp.). Prace konkursowe w dowolnej liczbie można też przysłać na kasetach audio lub wideo. Prace opatrzone gołdem, z dołączoną zalakowaną kopertą zawierającą imię i nazwisko, adres z kodem i ewentualnie numer telefonu autora, należy przesłać do 22 marca br. (decyduje data stempla pocztowego) pod adresem:

Polskie Radio Program III SA

ul. Myśliwiecka 3/5/7

00-977 Warszawa

z dopiskiem na kopercie „Turniej Łgarzy”.

O to, co trzeba i co można, jeśli chce się wziąć udział, pytamy Artura Andrusa z PR III i z ostatniej strony „P”:

– Niekoniecznie trzeba umieć kłamać albo zmyślać. Dobrze jest umieć rozbawić publiczność, a jeszcze wcześniej członków komisji kwalifikacyjnej tegorocznego Turnieju Łgarzy. Na najlepszego Łgarza czeka w Bogatyni 3,7 tysiąca złotych, i to są pieniądze.

Koncert finałowy odbędzie się 6 kwietnia. Szczegółowych informacji na temat Turnieju udzielają: Biuro Stowarzyszenia Turnieju Łgarzy, ul. Poczтовая 2a, 59-920 Bogatynia,

tel./faks (0-prefiks-75) 773 23 79; Sekcja Rozrywkki Programu III PR, ul. Myśliwiecka 3/5/7, 00-977 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 645 55 88.

W naszym imieniu zapewniamy publikację najlepszych utworów na łamach „P”. Że nie są to czcze obietnice, niech dowiedzie fakt, iż Przemysław Jurek, autor naszego cotygodniowego „Kinoteatryku”, jest jednym z laureatów Turnieju Łgarzy. Naprawdę.

W imieniu redakcji

– Paweł Sito, szef „przekrojowej” rozrywki

APEL

To ja, przyszłość narodu. Chciałabym prosić, żeby Pan Saramonowicz pisał prostszym językiem, bo po przeczytaniu jego „Śmieję się śmiać” strasznie mnie głowa bolała.

MAGDALENA MAYER, studentka

Męcina Mała, gmina Sękowa

NIE OBRAŻA, LEZ IRYTUJE

Tekst Andrzeja Saramonowicza pt. „Śmieję się śmiać” („P” nr 10/2959) miał „ciężko obrażać wszystkich ludzi bez poczucia humoru”. Czy tak się stało – nie wiem. Wiem natomiast, że mnie ciężko zirytował.

Po pierwsze: każde dziecko wie, jak beznadziejnym przedsięwzięciem jest tłumaczenie dowcipu, a do tego tekst ten się sprowadza. Czytamy: „Monty Python wymaga nie tylko poczucia humoru, lecz także poczucia

„PRZYGODY RYCERZA Z KUCYKIEM” — ANDRZEJ MLECZKO-



** Opłata za połączenia z podanymi numerami zgodna z cennikiem operatora sieci, z której wykonywane jest połączenie. Podane ceny są cenami netto.

absurdu". Albo: „Warto być dowcipnym, bo poczucie humoru jest jedną z najważniejszych cech ludzkich”.

Jezu, co za nuda. Aż się prosi, by takie zdania czytać sobie przez zatkany nos. Skoro już nie może być śmiesznie, to może chociaż pouczająco? „Komedia to gatunek, w którym można przekazywać treści głębokie i ważne”. Lub jeszcze lepiej: „Punktem odniesienia dla telewizyjnych decydentów są

dziś widzowie najgłupszy i najprymitywniejsi”.

Naprawdę??? Co do wzorców i antywzorców dowcipności: przydałoby się, żeby przed zabranie się do pisanie pan Saramonowicz zapoznał się z wymienianymi przez siebie programami. Nie zrobił tego, skoro postawił Janusza Rewińskiego, autora subtelnej (*sic!*) i jedynej niezależnej satyry politycznej w polskiej telewizji, w jednym rządzie z Dańcem i Kiepskimi. Przecistawianie go Przyborze jest nieuzasadnione, „Kabaret Starszych Panów” i „Ale plamę!” ogląda się dla różnych, niewykluczających się przyjemności, ale tu czuję, że zaczynam zarażać się wirusem nudziarstwa i euforii z powodu odkrywania oczywistości, więc lepiej na tym poprzestanę...

Niezrażona tą wpadką, pozdrawiam „Przekrój” serdecznie.

BLONDYNKA

POTYCZKI NA RYMY CD.

Pan Zbigniew Szwaja odpowiada panu Bogusławowi Urlikowi z Piły („Listy”, „P” nr 10/2959):

Jak replika, to replika

Kiedy się gościa powita mile,
To już się w pale nie mieści
w Pile.
Stąd się potwierdza mądrości
racja:
nie w Pile wszak „Przekroju”
redakcja,
Choć Piła - słynne miasto
Staszica,
Którego grób Stolicę zaszczyca,
Nierozumiałe więc oburzenie,
Że ja w „Przekroju” stolec-
ność cenię.

Wiem już, że złość ta nie z Piły
wynika,
Tylko z urazu Bogusia Urlika,
Chciałbym przekonać Go
do stolecności,
Niech bez kozery się na nią
nie złości.

A że w niej wiedza i polityka?
Trudno! nie wszystkim to
rozum zatyka.

DZIECI KAPITANA KLOSSA

Wzruszył mnie artykuł „Bobosi poza rajem”. Niedyś japiszony, czyli młodzi miejscy profesjonaliści, nie mieli łatwo w PRL-u, teraz bobosi nie mają lekko w III Rzeczypospolitej. Widać z tego, że dopóki nie wejdziemy do Unii Europejskiej, trudno będzie (z powodu niedomogów finansowych) podołać modom obyczajowo-kulturowym nadciągającym do nas z Zachodu.

Może warto byłoby zatem pomyśleć o stworzeniu jakiegoś czysto polskiego tworu pokoleniowo-socjalnego? Istniał ongi zespół Dzieci Kapitana Klossa - to gotowa nazwa dla tych, którzy już do końca życia naznaczeni będą piętnem tęsknoty za czasami młodości spędzonej w siermiężnym PRL-u. Lub może trzeba pogodzić się z plagiatowym charakterem wszystkiego, co się w Polsce dzieje, i naśladować, ale na ubogo, a w każdym razie bez ekstrawagancji?

ANDRZEJ FIRLEJ
Gorzów Wielkopolski

LIST DO „PRZEKROJU”

Szanowny
Panie Redaktorze,
Bardzo dziękuję za życzenia i za prezent „Przekroju” - druk moich zdjęć. Dziękuję za piękne kwiaty. Jestem wzruszony pamięcią i życzliwością Pana osobiście i całego Pańskiego zespołu. Widzę, że zestaw nazwisk i tekstów przedni, zapowiadający dobrą przyszłość, czego szczerze życzę!

Łączę serdeczne pozdrowienia.
RYSZARD KAPUŚCIŃSKI
Warszawa, 8 marca 2002 r.

PRZE KROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie
Redaktor **MARIAN EILE**

REDAKTOR NACZELNY:

Roman Kurkiewicz

ASYSTENTKA REDAKTORA NACZELNEGO:

Maria Świątek

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Bauman (szef), Ewa Biała,
Magda Gędziorowska, Lucyna Olszewska

ODDZIAŁ W KRAKOWIE:

Joanna Gromek Illg, Leszek Mazan, Kazimierz Targosz
Bogdan Krężel (foto)
tel. (0-prefiks-12) 422 59 54 (redakcja),
(0-prefiks-12) 422 70 61 (biuro reklamy)

DZIAŁY:

KULTURA: Marcin Baran (szef), Bogna Świątkowska (z-ca),
Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek, Marcin Sendek,
Justyna Sobolewska

WYDARZENIA: Dariusz Rosiak (szef), Filip Łobodziński,
Wojciech Maziarski, Jakub Mielnik, Wawrzyniec Smoczyński,
Anna Tarnowska, Michał Wójcik

REPORTAŻ: Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie),
Marcel Andino

NAUKA: Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA: Paweł Sito (szef)

PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski (szef),
Maria Klich, Łukasz Dziedzic, Dominika z Dominiką

FOTOEDYCJA: Agnieszka Steinhagen (szef),
Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański

KOREKTA: Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Terjak

ARCHIWUM: Wanda Lacrampe

PRODUKCJA: Agencja Poligraf - Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor

ADRES REDAKCJI: ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa,
tel. (0-prefiks-22) 627 23 06 do 08, faks (0-prefiks-22) 627 23 05
e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA: Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 16,
00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 628 05 29,
faks (0-prefiks-22) 621 19 76

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała
DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Ewa Redel
DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski
DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW
MIĘDZYNARODOWYCH: Agnieszka Smit
DYREKTOR WYDAWNICZY: Ewa Niezbecka
DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek

DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 233,
Grzegorz Barej - dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik),
Agata Obrębska

BIURO REKLAMY:

Agata Eigner - dyrektor, Maciej Stózek, Bartek Kluczyk,
Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków)
Warszawa, ul. Wiejska 12, tel./faks (0-prefiks-22) 627 23 09,
626 96 17

DRUK: Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła,
tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

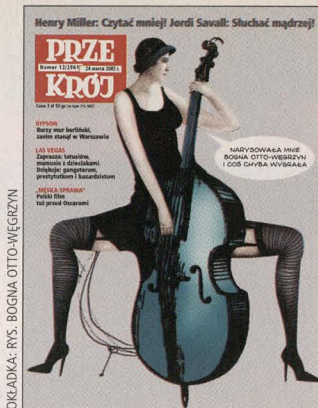
PRENUMERATA: u Wydawcy - Izabela Dębska,
Agnieszka Bogdańska tel./faks (0-prefiks-22) 625 08 20,
tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 210

przez pocztę - przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe
na terenie całego kraju

przez Ruch SA - informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31,
faks (0-prefiks-22) 532 87 32



Artykułów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian
i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.



NUMER 12/2961
24.03.2002

Listy 3

Ilustrowany „Przekrój” Tygodnia 6

Berlińskiemu murowi warszawskie
NIE - protest **PIOTRA RYPSONA 12**

LESZEK K. TALKO pisze
o **MARION VON DÖNHOF**
- Czerwonej Hrabinie 16

MARCEL ANDINO 3000 mil
do nieba, czyli o afgańskich
chłopcach w Puławach 20

KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI
God bless Las Vegas 22

Zapiski na pudełku od zapalek
UMBERTO ECO Jak napisać
pracę dyplomową 27

LESZEK K. TALKO
Historia naturalna mumii 28

ANDRZEJ KOŁODYŃSKI
Czarny Oscar - **POITIER 30**

List z Włoch **PIOTR KOWALCZUK**
Angielski all'italiano 33

OKŁADKA
BOGNA OTTO-WĘGRZYN 34

Nauka **JAN STRADOWSKI**
Dziura w dziurze 38

MARZENNA NOWAKOWSKA
Koń by się uśmieł 39

OLGA WOŹNIAK
Kłopoty wagi lekkiej 40

JACEK HAWRYLUK
i **MAGDALENA ŁOŚ** rozmawiają
z **JORDI SAVALLEM 42**

Dzięki piosenkom **MARIANA**
HEMARA mieszkańców
naszego kraju spowijał niedyś
obłok lirycznego żartu
- pisze **JAN GONDOWICZ 45**

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ
Alfabet **TYTUSA 46**

O „Męskiej sprawie”, polskim
filmie nominowanym do Oscara,
pisze **TADEUSZ NYCZEK 50**

Okienko z wierszem: **BOHDAN**
ZADURA „Trumny z Ikei” 52

RENATA GORCZYŃSKA
Triumf polskiej poezji w NY 53

Muzyka
Nie tęsknię za starymi czasami,
poddaję się prawom chwili
- mówi **TOMASZ STAŃKO**
ROBERTOWI ZIEBIŃSKIEMU 54

Film
- o „Helikopterze w ogniu”
pisze **KONRAD J. ZARĘBSKI 56**

Znam takich, dla których Polska
była krajem kultowym
- z **THOMASEM BRUSSIGIEM**
rozmawia **RENATA KOPYTO 58**

Literatura
HENRY MILLER fragment
„Książek mego życia” 60

Kulinarne **PIÓRO** Polski
Nagi kucharz jest bomba,
czyli jak przyrządzić surówkę
i nie zostać mimożąd? 64

HOFF Wahadło 66

Jestem marzycielem - wyznaje
marszałek sejmu **MAREK**
BOROWSKI w rozmowie
z **MARIĄ CZUBASZEK 67**

Mieszanka firmowa 68

Krzyżówka, jolka, zagadka
i **MORDILLO 72**

Co Pan na to, Panie **LEM? 74**

Rozmaitości 76

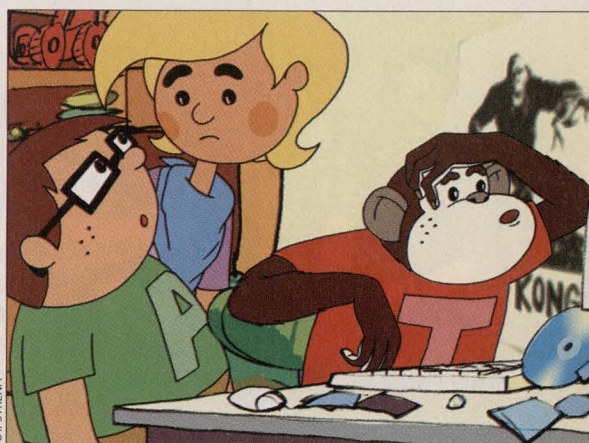
Las Vegas - to tu odbywa się
misterium pieniądza



Jordi Savall
- czuję ogromny
szacunek
do muzyki



Po 45 latach Tytus
przemówił ludzkim głosem



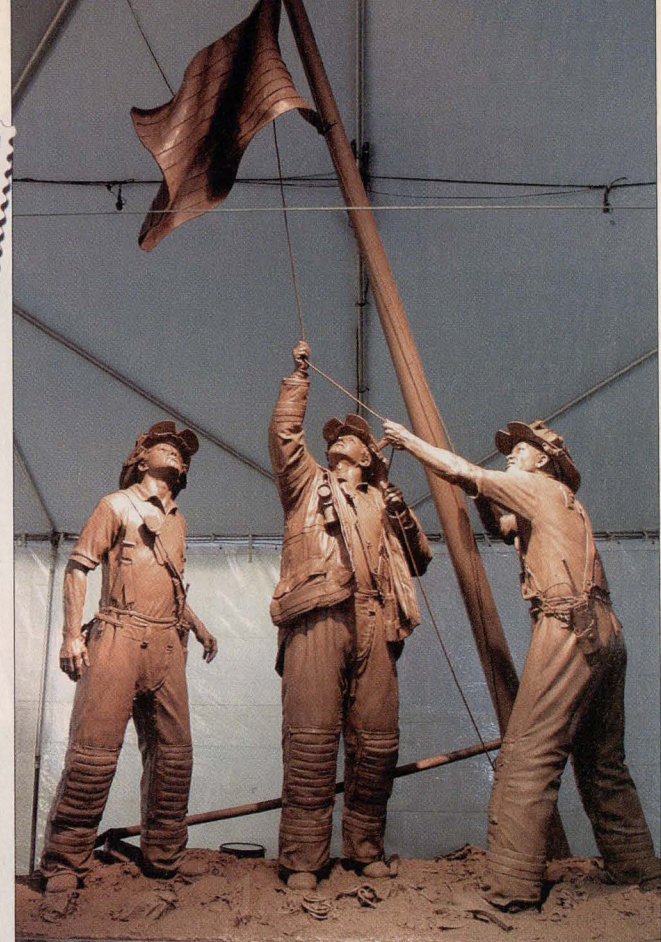


Pierwsze zdjęcie na świecie jest już bezpieczne. Amerykańskim specjalistom z The Tete Conservation Institute w Los Angeles udało się na trwałe zakonserwować „Widok z okna” Józefa N. Niepce’a. Fotografia – uważana za pierwsze zdjęcie w historii – zrobiona została w roku 1826, na 13 lat przed opatentowaniem dagerotypii. Wykonana została jednak bardzo nietrwałą metodą. Józef Niepce utrwalił obraz na płytce pokrytej warstwą światłoczułego asfaltu.

FOT. AP (2)



Słynne zdjęcie trzech strażaków wciągających amerykańską flagę na gruzach WTC autorstwa Thomasa E. Franklina stało się inspiracją dla artystów. Niedługo amerykańska poczta wypuści znaczek z sylwetkami George’a Johnsona, Dana McWilliamsa i Billy’ego Eisengreina. Z kolei inspirowana fotografią rzeźba, również z trzema strażakami, stanie przed główną siedzibą nowojorskiej straży pożarnej.



FOT. AP (2)



FOT. REUTERS/FORUM

Kilku tureckich piłkarzy zostało poturbowanych przez włoską policję po meczu AS Roma z Galatasaray Stambuł. Przyczyną incydentu była słowna potyczka między piłkarzami obu drużyn. Szef dyplomacji tureckiej Ismail Cem stwierdził, że zachowanie policji przypominało mu czasy włoskiego faszyzmu.



FOT. AP

Starcia z policją towarzyszyły inauguracji 43. spotkania Inter-American Development Bank w brazylijskim mieście Fortaleza. Bank powstał właśnie po to, aby przeciwdziałać przemocy w Ameryce Łacińskiej. Konflikty i niepokoje w tym regionie kosztują mieszkańców 15 milionów dolarów rocznie.



FOT. PAWEŁ ULATOWSKI/AG

Ostatni polski koń pracujący pod ziemią stracił zatrudnienie. O zwolnienie go z pracy w kopalni soli w Wieliczce apelowali internauci. Konie pracowały w niej od początku jej istnienia. Ostatni łysek z pokładu Idy naprawdę nazywa się Baśka.



FOT. WOLTER STEIN, ARTUR PAWŁOWSKI/REPORTER

MYŚL TYGODNIA

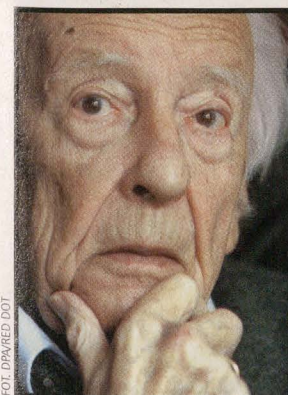
Nie mogę oceniać czegoś, czego nie widziałem. Chciałbym je zobaczyć bardzo dobrze i z bliska.



Bronisław Komorowski, b. minister obrony narodowej, o elementach kreacji Aleksandry Jakubowskiej



FOT. DPA/REUTERS

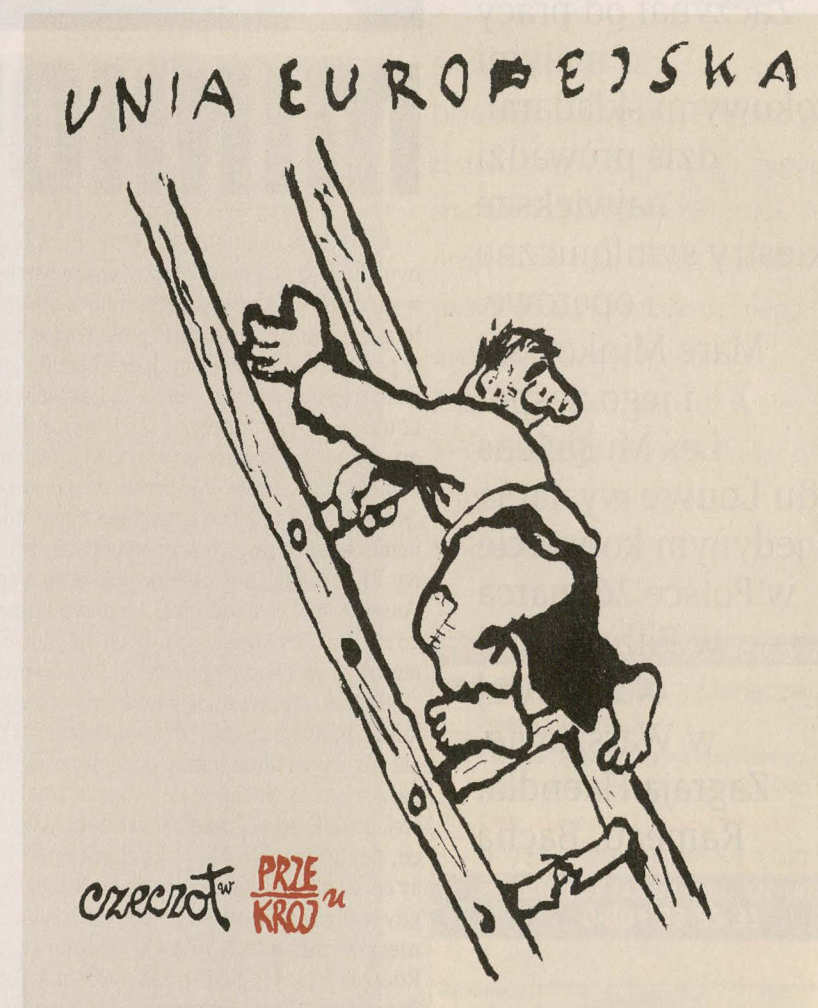


14 III 2002 zmarł w wieku 102 lat Hans-Georg Gadamer uważany za jednego z najważniejszych filozofów XX wieku, autor „Prawdy i metody”. Był współtwórcą hermeneutyki – sztuki rozumienia i interpretowania tekstów. Pisał tak: „Jest coś bardzo dobrego w myśli, że można nie mieć racji wbrew własnemu przekonaniu. To się nazywa hermeneutyką. Chodzi o to, żeby zawsze liczyć z się z tym, że rację może mieć ten drugi”.



FOT. ADAM HAWALE/PAP

Polscy żołnierze są już w Afganistanie. W bazie niedaleko Kabulu na co najmniej pół roku zakwateruje się 39 saperów, żołnierze z brygady logistyki i komandosi GROM-u. Na zdjęciu pierwsza grupa saperów, która wyleciała z Polski, z pptk. Markiem Macherzyńskim na czele.



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY O...

- ...dłoniach i ustach ministra Iwińskiego Tadeusza.
- ...premierze sztuki „Kto się boi Wirginii Woolf?” w Teatrze Powszechnym w Warszawie w reżyserii Władysława Pasikowskiego.
- ...„Święcie Wiosny” Katarzyny Kozyry. Początek kalendarzowej wiosny tradycyjnie 21 marca. Dla śródownych Czytelników „P” – już jutro!
- ...Adamie Małysz, który po raz drugi z rzędu przed czasem zdobył Puchar Świata w skokach narciarskich. Ale jeszcze o nim napiszemy.



FOT. UNIVERSAL MUSIC

Z fagocisty stał się jednym z najbardziej wszechstronnych dyrygentów średniego pokolenia. Zaczynał od pracy z małymi barokowymi składami, dziś prowadzi największe orkiestry symfoniczne i operowe. Marc Minkowski i jego zespół Les Musiciens du Louvre wystąpią na jedynym koncercie w Polsce 26 marca w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Zagrają Haendla, Rameau, Bacha

MINKOWSKI!

Minkowski jest dyrygentem charyzmatycznym, lubianym, doskonale nawiązującym kontakt z muzykami. Gdy w ubiegłym roku obserwowałem jego próby z Concerti grossi op. 6 Haendla w podziemiach paryskiej Opéra-Bastille, nie mogłem wyjść z podziwu. Orkiestra Les Musiciens du Louvre – mocno zmęczona, zdekoncentrowana; on – wręcz przeciwnie – tryskający energią, uśmiechnięty, spokojnie proszący o powtórzenie „jeszcze tego, i może następnego fragmentu”. Innemu dyrygentowi z pewnością puściłyby już nerwy. Kilka dni później na koncercie w podparyskim Poissy zespół eksplodował, nie przypominając tego z próby. Minkowski potrafi ich mobilizować, integrować i doskonale prowadzić. A oni mu ufają.

Sukces Minkowskiego, który obserwujemy od kilku lat, jest przykładem konsekwencji i uporu, ale także wynikiem trafnie podejmowanych decyzji. Artysta wywodzi się ze świata muzyki barokowej, powoli jednak przekraczał stylistyczne granice, dochodząc do klasycznej operetki, Debussy'ego, a nawet twórczości współczesnej. Podczas gdy jego profesorowie i koledzy pozostali zamknięci w enklawach muzyki dawnej (Christie, Rousset, Niquet), Minkowski rozwinął skrzydła. Pomógł mu w tym fenomenalny dar zjednywania sobie wielkich śpiewaków, ale także – wyszukiwania utalentowanych debiutantów.

Polskie korzenie

Przodkowie Minkowskiego wywodzą się z Polski, mieszkali w okolicach Mińska. Dziadkowie, Franciszka i Jan, byli cenionymi psychiatrami, autorami książki poświęconej chorobie van Gogha; na początku XX wieku wyemigrowali do Francji. Większość pozostałej polskiej rodziny zginęła w war-

szawskim getcie. Minkowski urodził się 5 października 1962 roku w Paryżu. Na fagocie uczył się grać we Francji oraz w konserwatorium w Hadze. Studiował też dyrygenturę u Charlesa Brucka w Stanach Zjednoczonych. W roku 1984 stworzył swój zespół Les Musiciens du Louvre, z którym poświęcił się wykonywaniu repertuaru XVII i XVIII stulecia, przede wszystkim oper i oratoriów Haendla oraz muzyki francuskiej – Rameau i Lully'ego. W 1987 nagrał pierwszą płytę.

Haendel, mon amour

Dzisiaj Minkowski jest największym specjalistą od muzyki Jerzego Fryderyka Haendla. Przygotowane przez niego nagrania i spektakle są wydarzeniami. Haendel Minkowskiego nie jest statyczny, tryska energią, akcje dramatyczne prowadzone są z animuszem, dobór śpiewaków zawsze doskonale odpowiada charakterowi kreowanych postaci. Ale to już przecież Beethoven uważał Haendla za największego kompozytora. „To nasza epoka go odkryła – komentuje Minkowski. – Dziś obserwujemy powszechne uznanie jego geniuszu, który podziwiali wszyscy, od Mozarta, poprzez Schuberta, do Liszta. Haendel eksploatował muzyczne pokłady z taką energią, pragnieniem, witalnością, które i mnie samego dynamizują i ciągle inspirują. On pisał muzykę doskonałą – wykorzystując przy tym bardzo proste środki – która nas natychmiast zachwyca i porusza; konstruował dzieła promieniujące, zawierające esencję barokowego piękna. Wirtuozeria czysto techniczna czy intelektualne wypracowania zupełnie go nie interesowały, a wręcz nudziły. Haendel komponował w sposób spontaniczny i egzaltowany”.

JACEK HAWRYLUK

SITA
MÓJ ŚWIAT www.sita.pl

Naucz się języka obcego
– będziemy we wspólnej Europie



W stanie relaksu uczymy się szybko i efektywnie. Udowodnili to swoimi badaniami prof. Robert K. Wallace i laureat nagrody Nobla prof. Roger Sperry.

Badając system SITA prof. Rainer Dieterich stwierdził: „... osoby poddane testom przyswoiły w ciągu tygodnia średnio 1138 słów i zwrotów. Tyle przeciętnie opanowuje słuchacz rocznego kursu prowadzonego metodami tradycyjnymi”. Przekonało się o tym już wiele renomowanych firm i kilkaset tysięcy nastawionych na sukces Europejczyków.

TAK, chcę szybko nauczyć się języka obcego

ZAMAWIAM: (zaznaczając X)

- ☐ Zestaw SITA Mini 999,-
☐ Kurs podstawowy języka angielskiego 328,-
☐ Kurs podstawowy języka niemieckiego 328,-

Ceny ważne do 31 marca 2002 roku

- ☐ Proszę o bezpłatną informację o systemie SITA

**PRZYJMUJEMY ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE:
0-801 33 55 33**

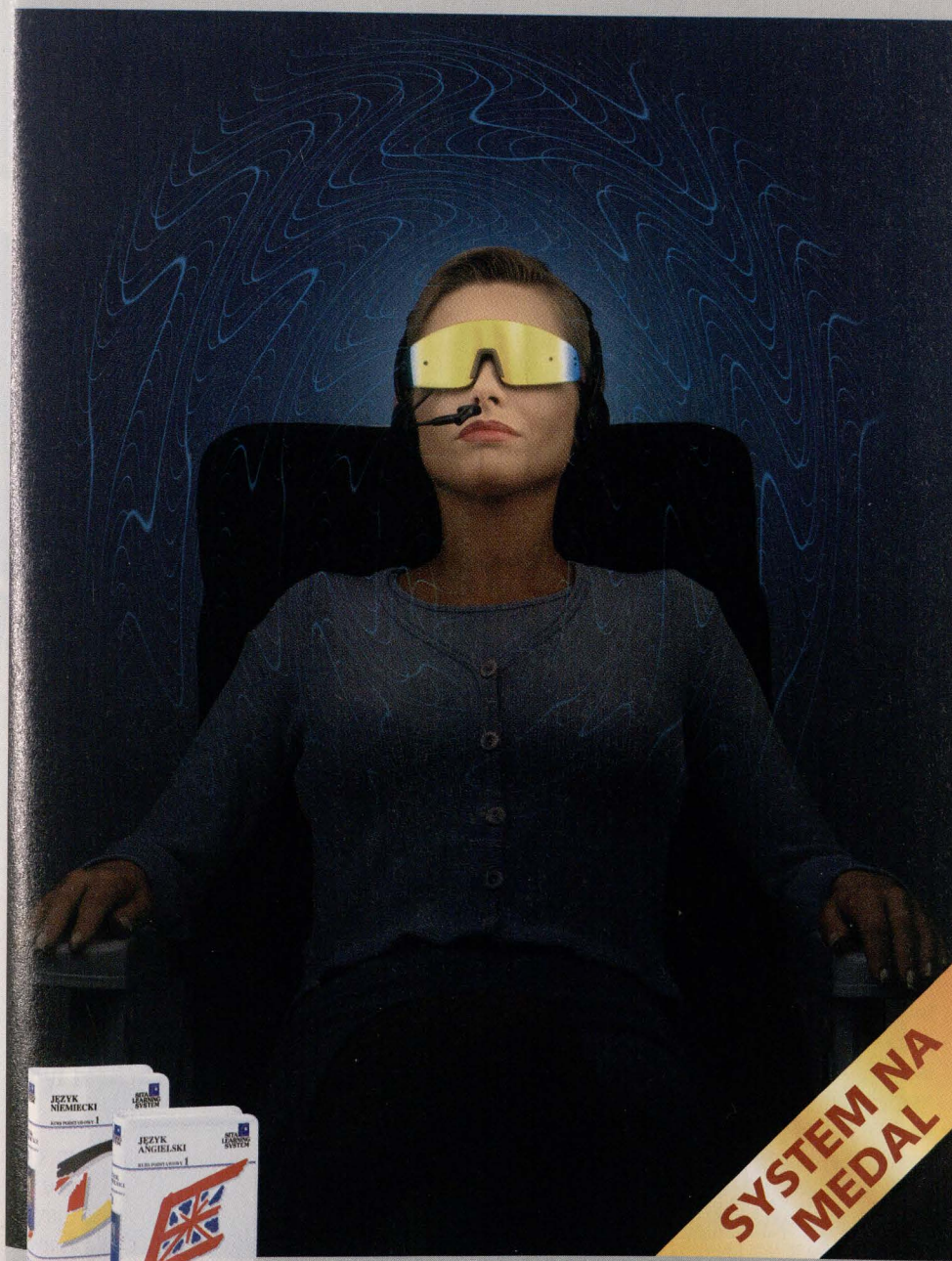
imię, nazwisko _____ PESEL _____
firma _____ NIP _____
ulica _____
kod _____ miasto _____ tel. _____

potwierdzam zamówienie na sumę: _____ zł
Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu.

data _____ czytelny podpis _____ PRZEKRÓJ 11/02

SITA

01-022 Warszawa, ul. Bellottiego 1
tel. (22) 771 92 22, fax 771 91 46



SYSTEM NA MEDAL

Ceny zawierają podatek VAT, ważne do 31 marca 2002 r. Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi odbiorca (np. kurs + urządzenie = 32 zł). Urządzenia SITA posiadają 12 miesięczną gwarancję. Dla dobra naszych klientów istnieje możliwość zwrotu urządzenia oraz kursów dostarczonych wysyłkowo w ciągu 14 dni. Urządzenie prosimy zatrzymać tylko w przypadku, gdy jesteście Państwo w zupełności przekonani o jego skuteczności. W przypadku rezygnacji prosimy o odesłanie zakupionego towaru i podanie numeru konta, na które odesłamy pieniądze.

ГОСПОДИ! ПОМОГИ МНЕ ВЫЖИТЬ



Powyżej spontaniczne zachodniobерлінские graffiti z lat 80. Poniżej fragmenty Muru Sztuki



Erik Bułatow „Nonstop”



Gottfried Helnwein „Bez tytułu”



Luciano Castelli „Bez tytułu”



Po zjednoczeniu Niemiec (czyli, jak mówią, po upadku muru) kilometry szarego zbrojonego betonu stały się zwykłą zawalidrogą



Berlińskiemu murowi warszawskie NIE

Mur Sztuki, 12 ton betonu, ma stanąć w Warszawie. Koszt wystawy – pół miliona euro. Przeciwno wykorzystywaniu legendy berlińskiego muru do reklamy artystycznej chałtury protestuje PIOTR RYPSON

Przyzwyczajono nas, że upadek komunizmu = upadek muru berlińskiego. Nie dlatego, by to miała być jakaś głęboka prawda, ale dlatego, że taki upadek świetnie wygląda w telewizji. Tak to już jest z obrazami powtarzany mi w mediach – zapadają w pamięć zbiorową i zaczynają udawać Historię.

Był mur

Der Mauer – to brzmiało złowieszczo. Stary mur berliński nie był niczym wesołym – ucieleśniał on w jakimś sensie żelazną kurtynę, granicę między „wolnym światem” i sowieckim „imperium zła”. Próbujący go przekroczyć byli łapani lub zabijani. Mur opasy-

wał Wolne Miasto Berlin, tworząc wyjątkową przestrzeń na terytorium Niemiec, wziętą w nawias szczególnie, w obrębie którego obowiązywały nieco inne niż gdzie indziej prawa.

Po zjednoczeniu Niemiec (czyli, jak mówią, po upadku muru) kilometry szarego zbrojonego betonu stały się zwykłą zawalidrogą. Mur poddano terapii. Najpierw go maltretowano, więc sam spełniał rolę terapeutyczną w wyładowywaniu frustracji pokoleń. Po dawniej energicznej stronie nienagannie szary, od zachodniobерлінского środka gdzieś malowany i bazgrany graffiti, w kolejnej roli wystąpił jako atrakcja turystyczna. Nadal malowano na jego resztkach (powoli usuwanych, by odsłonić szeroki pas eldorado developerów), roz-

bijano na kawałki i sprzedawano turystom, zapraszano dzieci, by go zdobiły niewinnymi malunkami. Jego fragmenty trafiały jako muzealne już pamiątki do rozmaitych zakątków globu w charakterze znaku napomnienia, przypomnienia lub ogrodowej ozdoby hobbysty z Japonii lub Polski.

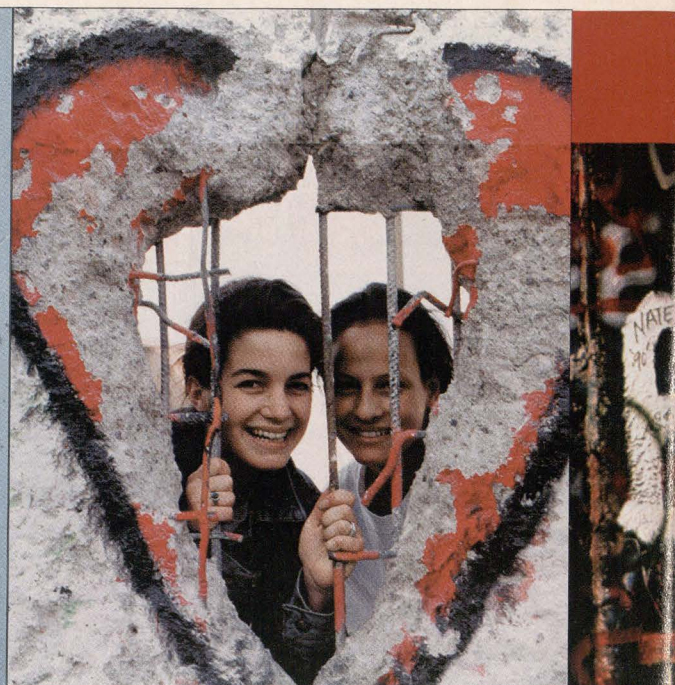
Nie ma nic bardziej sexy niż kawałek czegoś, co będąc niegdyś złowieszcze, wyłuskane z kontekstu stanie się później czymś prywatną zabawką.

Jest mur

Wędrowałem berlińską ulicą w listopadzie, nocą, zmierzając z przyjaciółmi do odległego



Mur berliński



Przeczytajcie też koniecznie „Pilkę nad murem”,
wywiad z Thomasem Brussigiem,
autorem świetnej i śmiesznej powieści „Aleja Słoneczna”.
Rozmowa o nowej modzie na NRD na stronie **58.**



baru. Nagle wyłonił się mur – pokryty gryzmołami i obrazkami, ciągnący się po horyzont ulicy. Już chciałem powiedzieć coś głębokiego o tej posępnej betonowej gąsienicy, lecz Krzysztof Visconti, berliński filmowiec i reportażysta, osadził mnie w miejscu jednym zdaniem: „To jest rekonstrukcja!”. W tej części miasta odbudowano bowiem mur.

Dziwom nie było końca, mur został opukany dokładnie, lecz intencja była na tyle jasna, że mimo absurdu całości przyjąłem ją godnie, jak setki innych absurdów tego zważowanego świata. Mur jako miejsce w Berlinie szczególnie ma swoje szczególne prawa.

Nie tak dawno, w roku 1989, obchodzono uroczystości jego upadek; na całym świecie odbywały się sympozja i konferencje, mur służył poręczom (jak telewizyjna migawka) jako *porte-parole* do rozmaitych celów naukowych, promocyjnych, edukacyjnych. Nawet dzieci w odległym Tajwanie urządziły szczególny *happening*, podczas którego obalano specjalnie w tym celu skonstruowany mur.

Sztuka na murze

Murem zainteresował się w roku 1989 również Sylvestre Verger, francuski specjalista od transportu wystaw sztuki. Wpadł na pomysł prosty, acz nośny: podążając za maksymami w rodzaju „im więcej kultury, tym mniej zła i przemocy”, „sztuka jest blisko wolności” itp., zakupił kilkadziesiąt betonowych paneli i postanowił je przekształcić za pomocą sztuki w wartość wyższą i szlachetną. Zaprosił tedy kilkudziesięciu artystów, którzy jako reprezentanci nowej Eu-

ropy wzięli się za 300-kilogramowe zębiska muru, by wycisnąć na nich piętno czasu i zapomnienie dla pokoleń.

Wśród zaproszonych nie brakowało znakomitych nazwisk: są Francuzi Buren i Arman, Amerykanie LeWitt, Oppenheim i Longo, Anglicy Mach i Long, Rosjanie Bulatow i Kabakow. Pomysłodawca i kolekcjoner Verger stał się nagle właścicielem kolekcji znaczącej ze względu na nazwiska, aczkolwiek nieco monotonnej. Nie jest bowiem rzeczą prostą zmierzyć się z mroczną legendą muru. Te betonowe panele nie są zwyczajnymi, neutralnymi powierzchniami, intencja pomysłodawcy także stawiała poprzeczkę wysoko. Rezultaty twórczych zmagania dały efekt, niestety, nad wyraz mizerny.

Mimo całej inwencji doświadczonych, często znakomitych, artystów okazało się bowiem, że bronią się (jakoś) jedynie te prace, które oparto na arcytradycyjnym warsztacie. Na nic się zdały konceptualizmy i minimalizmy symbolizujące przekształcenia – estetyczne subtelności zderzone z powszednim konkretem uciemiężenia przegrywają sromotnie. Trudno się dziwić: Adolf Eichmann, nazistowski *everyman*, również nie był dobrym materiałem na bohatera dramatu.

Gdyby zdobione sztuką współczesną kawały betonu odpoczywały spokojnie w ogrodzie państwa Verger, nie byłoby o czym mówić. Niestety, kolekcjoner postanowił pokazać światu owoc swojej inwencji. Pierwsza wystawa odbyła się w Madrycie, późniejsza w londyńskim Royal College, w znanym centrum sztuki w Lyonie, w Nikozji na Cyprze... Wędrującemu Murowi Sztuki kolekcjoner (teraz już generalny kurator wystawy) nadał

nazwę „1989 – Mur Berliński: Sztuka dla Europy w Ruchu” (*Art for Europe in Motion*).

Katalog wystawy składa się z licznych wypowiedzi, nie tyle krytyków sztuki, co polityków – od burmistrza Berlina, poprzez generalnego sekretarza Rady Europy, sekretarza Akademii Francuskiej, dyrektorów, po Michaiła Gorbaczowa. Mówią owi mężowie i damy stanu rzeczy wzniosłe, piękne i najczęściej wielce pompatyczne. Nie jestem okrutny, oszczędzę Państwu szczegółów.

Nadciąga beton

I znów, wszystko byłoby pięknie, a przynajmniej pozostawało zmartwieniem Cypryotów, Francuzów i Hiszpanów, gdyby nie groźna pogłoska, że Mur Sztuki ma przybyć w tym roku do samej Warszawy. Smutną bowiem cechą przedsiębiorczych akcji tego rodzaju jest to, iż prędzej czy później nachodzą



Mur Sztuki: Ilia Kabakow „Bez tytułu”

naszą bezpośrednią prywatność, domagając się uwagi, uznania – i nie dość tego – domagając się funduszy! Przekonuje nas generalny kurator we wstępie do katalogu: „Te reakcje twórców stały się świadectwem, które w swej sublimacji artystycznej nabiera wartości powszechnej, ponadczasowej, narzucającej się nam jak rozkaz” (*sic!*).

40 dzieł po 300 kilogramów każde daje razem 12 ton. To dużo, prawie jak w wierszyku Tuwima, tyle że nie tak zabawnie. Ponadto – o ironio! – subtelności sztuki wykonane na murze wymagają, by ten znalazł się we wnętrzu jakiejś szacownej instytucji kultury (muzeum, galeria oraz mocne stropy). Koszt przedsięwzięcia miałby wynieść 500 tysięcy euro.

Dlaczego w Warszawie – mogą się zaniepokoić mieszkańcy – cośmy zawinili? Niechaj każdy ma swój koniec komunizmu – my mamy Solidarność, Wałęsę, Okrągły Stół, co nam po murze? Murowi do twarzy (jak już widzieli-

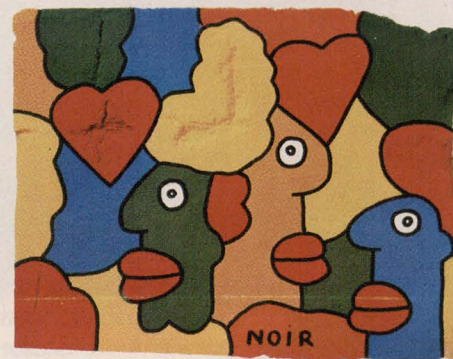
śmy) w Berlinie – tam jego miejsce. „A dlaczego nie w Warszawie? – zapytuje nieubłagany przedsiębiorczy Duch Dziejów, czyli sam generalny kurator wystawy Verger. – To pomnik »dla Europy w ruchu«, a Polacy właśnie zmierzają do Europy! Poza tym tego lata lub jesieni w Warszawie pięknym mieście odbędą się Dni Berlina. Cóż bardziej Symbolicznego i nasyconego Znaczeniami niż mur, Mur Sztuki?!”.

Zatrzymać mur

Jako się rzekło, najdziwniejsze pomysły ziszczają się zbyt często na naszych oczach. Przy wszystkich zaletach polityków, których dziś tu nie wyliczę, ich wielką wadą jest to, że potrzebują tła dla swoich znaczących gestów i obrządków. Tłem bywają dzieci, mieszkańcy, ranczo, flagi, fragment miasta. Koniec końców – wszystko lekkie i na miejscu, a służy jak szary garnitur jaskrawemu krawatowi,



Mur Sztuki: Robert Longo „Bez tytułu”



Mur Sztuki: Thierry Noir „Don't kiss that wall, it's a crocodile”

by ten wyraziście wypadł w wieczornych „Wia-
domościach”.

Wystarczy więc, że jakiś chochlik podszepnie kancelarii kanclerza, prezydenta, burmistrza, i natychmiast zaczną kręcić się młyny instytucji, gabinetów i odpowiednich wydziałów, przeciągając owe 12 ton nieudanego pomysłu coraz bliżej Warszawy. Rzecz wszak telegeniczna, mediolubna, spektakularna, opatrzona najwznioślejszymi westchnieniami o pokój i zwycięstwo sztuki nad bezmyślną przemocą. Zostaną wymienione noty, dyrektorzy zobowiązani, fundusze przyznane – i jak tu oprzeć się naporowi zmasowanych sił historii, sztuki (sławnej), medialnej hucpy oraz 12 ton betonu?

Więc na koniec bardziej serio, moim celem jest bowiem tę inicjatywę storpedować w samym zarodku. Ten zbiór prac jest beznadziejny, wiele z nich ma cechy zwyczajnej chałtury odbębnionej w zbożnym celu. Nie ma tu choćby jednego artysty z Polski, Czech lub Węgier; komentarze z obydwu stron muru tworzą artyści z Zachodu i Rosji. Całe przedsięwzięcie, płaskie jak migawka w TV, w gruncie rzeczy służy wyłącznie jako tło dla polityków – i oni, nie artyści, są głównymi bohaterami wydanego przez pana Vergera katalogu.

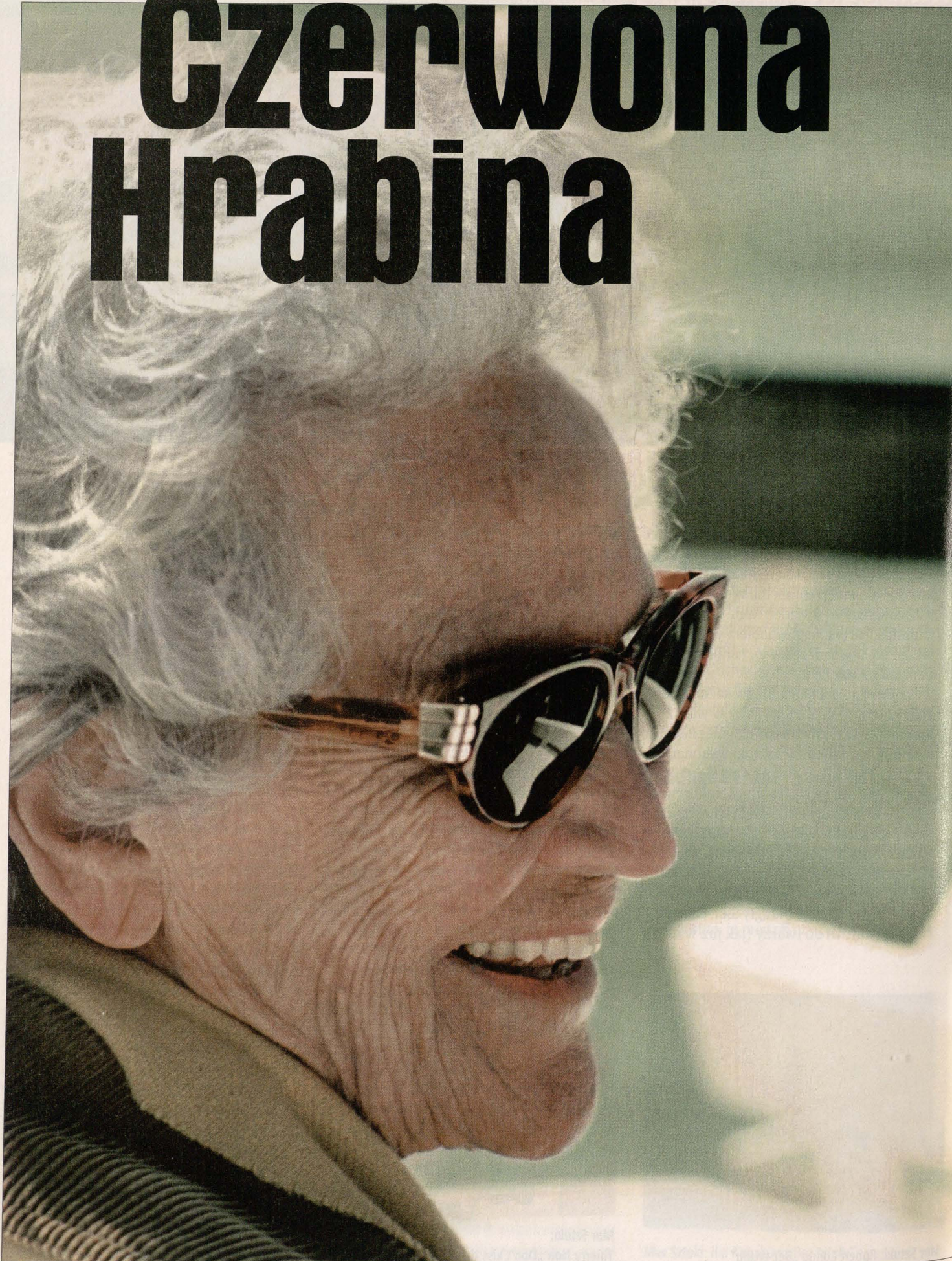
Dla galerii będzie to ciężki kłopot, dla publiczności – rozczarowanie, ostatecznie to tylko mur, dla wymiany kulturalnej – przyciężki kawał betonu. Berlin i Warszawa to dwa miasta żywe, w których powstają rzeczy nowe i ciekawe, więc nie męczmy się wzajem niepotrzebnie.

PIOTR RYPSON

Fotografie z wystawy zamieściliśmy dzięki uprzejmości Sylvestre'a Vergera

Czerwona Hrabina

FOT. TOMASZ WASZCZUKIAG



Pałac Friedrichstein w roku 1930, fot. Marion Dönhoff



Jedno z nielicznych zachowanych zdjęć młodej Marion

Na przełomie lat 30. i 40., w okresie zarządzania dobrami Dönhoffów

LESZEK K. TALKO

Urodziła się jako pruska dziedziczka wielkiego niemieckiego rodu. Była Czerwoną Hrabinią, spiskowała przeciw Hitlerowi, była rzeczniczką polsko-niemieckiego porozumienia, uwielbiała szybkie przejażdżki porsche. 11 marca zmarła hrabina Marion Dönhoff

Dom - zamek w Friedrichstein, który miał zniknąć całkowicie, jakby nigdy nie istniał.

Ojczyzna - kraj lasów i jezior zaludniony zjawami i legendami. Kraj, którego już nie ma, mimo że wciąż istnieje.

Matka - która uczyła kolejnych służących, jak mają się do niej zwracać z rana: - Unieźlenie witam Waszą Wysokość.

Ojciec - globtroter i dyplomata, który uważał, że częste kary do-

brze wpływają na wychowanie dzieci.

Dziecko - Marion spędzająca całe dnie w pokoju z opóźnioną w rozwoju siostrą Marią dotkniętą mongolizmem. Kiedy Maria nie chciała jeść, karmiono ją siłą. - Nie było miło na to patrzeć - wspominała po latach.

Dziwne lata spędzane na nieprzydatnych w świecie, który miał nadejść, czynnościach: nauce dworskiej ogłady, tańcach, przyje-

ciach. I jednej, która miała się przydać - jeździe konnej.

Marion Dönhoff urodziła się w roku 1909. Studiowała ekonomię na kilku europejskich uniwersytetach.

Nadeszła wojna i dla rodu od 18 pokoleń osiadłego w Prusach to były ostatnie lata spokojnego życia.

Hrabianka Marion zaczyna administrować majątkiem. Jej przyjaciele giną po nieudanym zamachu na Hitlera. Nienawidziła go już wtedy, gdy doszedł do władzy. Po powrocie z wiece, na którym przemawiał, zanotowała: „Pieni się, krzyczy. To nie dla mnie”.

Nawiązuje kontakt z tak zwanym Kołem z Krzyżowej - grupą arystokratów, którzy chcą zabić Hitlera. Wśród spiskowców są jej przyjaciele z lat dziecińczych, między innymi Heini Lehdorff. Działa w głębokiej konspiracji, obawiając się nawet własnej rodziny. Okazało się, że słusznie. Jej wuj, zagorzały nazista, polecił go śledzić.

Po nieudanym zamachu gestapo błyskawicznie wyłapuje uczestników spisku. Do niej śledztwo nie dochodzi, mimo że była swego rodzaju łączniczką i przekazywała informacje. Mogła przed wojną jeździć do Szwajcarii, bo tam studiowała - spiskowcy kontaktują się przez nią z zagranicznymi dyplomatami. Była pewna, że zginie jak inni. Zostaje wypuszczona po przesłuchaniu. Potem dowiaduje się, że to dlatego, iż jej nazwisko nie pojawiło się na liście ludzi mających objąć stanowiska rządowe po zamachu. Spiskowcy zostają straceni, Heini Lehdorff, ukochany przyjaciel - schwytany i zgładzony.

Marion Dönhoff po latach powie, że żałuje, iż została pominięta przez katów. - Najgorsze, co się może przydarzyć człowiekowi, to przeżyć, gdy wszyscy przyjaciele

zginą. O swoim udziale w spisku nie chciała mówić. – Zrobiłam tylko to, co w podobnej sytuacji zrobiłby każdy rozsądny człowiek.

Pewnej nocy w styczniu 1945, kiedy huk armat staje się coraz bliższy, Marion siodła konia Alaricha. Wyrusza w podróż do Westfalii, skąd sześć wieków wcześniej przybyli jej przodkowie. Jedzie przez dwa miesiące. Po drodze spotyka dziwnych ludzi. Trzech kalekich żołnierzy niemieckich wlokących się do domu – staną się dla niej symbolem tego, co się wydarzyło. Na chwilę zatrzyma się na Pomorzu w majątku kuzynki Bismarcka na tyle ekscentrycznej, by nic sobie nie robić ze zbliżają-



W redakcji „Die Zeit”, luty 1972

mię i jego obecności nie znaczyła nawet jedna cegła.

Nigdy później nie będzie chciała już tu wracać.

W swoich pamiętnikach napisała: „Nie wierzę, że nienawiść do tych, którzy zabrali naszą Ojczyznę, jest dowodem naszej miłości. Kiedy przypominają mi

się lasy i jeziora Prus, jestem pewna, że są nadal tak piękne jak wówczas, gdy były moim domem. Być może najwyższą for-

mą miłości jest trwanie i nieposiadanie. Kiedy Marion Dönhoff znalazła się w Niemczech, nie miała pojęcia, co będzie robić. Przepadła rodowe dobra, kariera ekonomistki, o której marzyła przed wojną, nie miała szans powodzenia. O losie zdecydował przypadek. Marion Dönhoff znalazła się w brytyjskiej strefie okupacyjnej. Zaczęła krytykować Brytyjczyków za bałagan, napisała list do władz okupacyjnych. List przypadkiem trafił do grupy ludzi otwierających nową gazetę – „Die Zeit”. Zaprosili hrabinę Dönhoff do współpracy. Teraz mogła krytykować Brytyjczyków na łamach gazety za to, że

zlekceważyli ściganie przestępców wojennych, którzy szkodzili Niemcom, potem krytykowała kanclerza Adenauera i plan reformy ekonomicznej w zrujnowanych Niemczech. Nie bała się niepopularnych sądów. Gorąco optowała za tym, żeby Niemcy miały silną armię.

W „Die Zeit” została redaktorem naczelnym, a w roku 1972 wydawcą – od 1983 razem z byłym kanclerzem Helmutem Schmidtem, któremu zaproponowała to stanowisko, kiedy przestał być kanclerzem. Żartowała potem, że wreszcie ma młodszego kolegę. Proponowano jej karierę dyplomatyczną. Odmówiła. Chciała mówić własnym głosem. W roku 1978 odmówiła po raz kolejny, tym razem kandydowania na prezydenta RFN – mimo że miała duże szanse.

Napisała 20 książek. Najnowsza pod tytułem „Cywilizowany kapitalizm – granice wolności” ostrzega przed globalizacją. W setkach artykułów zmagala się ze światem: brutalizacją życia i mediów, zdżirzieniem.

Ale te najchętniej czytane dotyczą dzieciństwa w pruskim zamku i wędrówek po zaczarowanej, dziwnej krainie pełnej zjaw i przesądów. Nigdy nie mogła się przyzwyczaić do mieszkania w Hamburgu. Dla niej dom pozostał na zawsze w Prusach. Kiedy w roku 1970 miała wyjechać z Willym Brandtem na podpisanie traktatu uznającego powojenne granice – w ostatniej chwili zrezygnowała. Mimo że sama zrobiła bardzo dużo, by traktat o nienaruszalności granic na Odrze i Nysie został zawarty, to obecność przy jego podpisaniu, świadomość, że ojczyzna z lat dziecińczych już na zawsze odeszła, a potem wznośnienie toastów na cześć porozumienia – wydały się jej zbyt bolesne.

Do Polski przyjeżdżała od roku 1962. Najpierw był to dla niej kraj, w którego granicach znalazła się jej prawdziwa Ojczyzna. Ale bardzo szybko zdobyła tu przyjaciół i zaczęła działać na rzecz porozumienia polsko-niemieckiego.

Po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce znowu zadziwiła wszystkich. Kilka dni po jego wprowadzeniu, kiedy w kopalni Wujek strzelano do górników, napisała w „Die Zeit”: „Stan wojenny, który w tej chwili wydaje się druzgocącym ciosem, może się okazać zbawienią dla zdobywczy, które jako przejaw polskiej odrębności Układ Warszawski w ostateczności zaakceptuje. (...) Jeśli Solidarność rzeczywiście powzięła uchwałę o rozpisaniu referendum w sprawie powołania niekomunistycznego rządu, to w takim przypadku na pewno wszystkie wywalczone zdobycze i całe państwo doprowadzone zostałyby do katastrofy”.

Opozycja miała jej za złe bliskie kontakty z Mieczysławem Rakowskim. W swoich tekstach w „Die Zeit” hrabina powtarza to, co od niego i jego kolegów słyszy o losie internowanych: mają dużo czasu na czytanie, dobre warunki do wypoczynku. Notuje, że wreszcie nastał porządek i nie ma kolejek.

Przed wojną i w czasie wojny znana jako Czerwona Księżniczka – przed rokiem 1939 rozrzucała na uniwersytecie antyhitlerowskie ulotki.

W redakcji nazywana po prostu Księżniczką.

Niedawno jej imieniem nazwano szkołę w Mikołajkach. Była wzruszona. Uczniom liceum powiedziała: „Ten, kto jest tolerancyjny, nie będzie nienawidził. Będzie szanował poglądy innego człowieka, nawet jeśli się z nimi nie zgadza”.

Nigdy nie wyszła za mąż, uwielbiała jeździć swoim porsche. Do końca życia mieszkała w małym domu na przedmieściach Hamburga z gospodynią i jamnikiem Saszą.

Jak mówią ci, którzy ją tam odwiedzili, domek miał w sobie coś z zamku Friedrichstein. Nastrój. I tak jak tamten pałac był wiecznie niedograny i ascetyczny.

LESZEK K. TALKO

Fotografie archiwalne z biografii „Marion Dönhoff – życie pod prąd” autorstwa Alice Schweitzer, Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl”.
Cytaty z tejże książki.

Indywidualne Ubezpieczenia na Życie z Udziałem w Zysku



Często myślisz o przyszłości swojej i swoich najbliższych. Zastanawiasz się, czy kiedyś uda się Wam zrealizować wszystkie marzenia. Nie chcesz zdawać się na przypadek.

...GWARANCJA PROFIT.
Dla tych, którzy chcą cieszyć się życiem.



Towarzystwo Ubezpieczeniowe **COMPENSA ŻYCIE S.A.**
Centrala - ul. Łucka 7/9, 00-842 Warszawa,
infolinia: 0 801 12 00 00,
e-mail: centrala@compensazycie.com.pl,
www.compensazycie.com.pl

Z braćmi. Christoph po lewej, Heini po prawej

cego się frontu i nadal żyć, jakby nic się nie stało, pijąc popołudniowe herbatki i zastanawiając się, jakie wino dobrać do obiadu, i na tyle trzeźwo myśląc, że kazała w ogrodzie wykopać sobie grób, przeczuwając, iż nie przeżyje nadejścia Rosjan. Opisała tę podróż w książce.

Marion Dönhoff zostawiła otwarte drzwi do dworu, który był jej domem. – To miejsce już nie miało duszy – wspominała potem. Dom odwiedzi tylko raz w życiu.



Amazonka

40 lat później trafi tu przy okazji wizyty w Związku Radzieckim. Po dworze nie zostanie nawet ślad. Tak jakby zapadł się pod zie-

się lasy i jeziora Prus, jestem pewna, że są nadal tak piękne jak wówczas, gdy były moim domem. Być może najwyższą for-

FOY DPA/RED DOT

W sobotę rano nie zeszli na śniadanie. Dyrektor poszedł do ich pokoju na piętro i zamiast Džeksona, Monkeja, Fawada, Javeeda i Akbara zastał otwarte okno, skręcone pięć prześcieradeł i list pożegnalny. W Puławach zaroiło się od kamer

MARCEL ANDINO

FOT. ADAM JAGIELAKSE

3000 mil do nieba

15 lutego to było – opowiada prezes sądu okręgowego Józef Szymanek. – W piątek, zaraz po 15, dzwoni do mnie z policji inspektor do spraw nieletnich Czerwinkowa. „Panie prezesie, jechał samochód przez Puławę i wyrzucił pięcioro dzieci afgańskich”. No, taka informacja to szok, prawda? Ci chłopcy stali na placu przed urzędem miasta. Ktoś zobaczył, że tu jakaś uroda, karnacja, ubiory inne i zachowanie.

Plac przed Urzędem Miasta w Puławach: ogromny prostokąt otoczony supernowoczesną architekturą środkowego Gierka. Jest hotel-punktowiec, rotunda podobna do warszawskiej, pawilony handlowe, Dom Chemika i unoszący się na filarach lecorbusierowski urząd miejski. W latach 90. przybyła figura papieża i sentymentalna fontanna, nowe ławki i pergole. Zmyślnie schowany za skrzydłem urzędu miasta stoi zabytkowy kościół. Dzięki megafonom można, siedząc na placu, wysłuchać trwającej właśnie mszy. Wszystko widać jak na dłoni, trudno nie zauważyć pięciu Afgańczyków.

Policja sporządziła protokół. „Okolo godziny 14 zgłosił się funkcjonariusz straży miejskiej w Puławach. Doprowadził pięciu n.n. młodych mężczyzn. Zatrzymani nie znają języka polskiego. Dokumentów stwierdzających tożsamość

nie posiadają, nie potrafią się porozumieć. Nie wiedzieli, gdzie są i co dalej robić. O zaistniałym zdarzeniu poinformowano delegaturę Urzędu Ochrony Państwa w Lublinie oraz placówkę Straży Granicznej w Chełmie. W toku dalszych czynności dokonaliśmy wypytania wyżej wymienionych na okoliczność ich pojawienia się w Puławach. Oświadczyli, że są uchodźcami z kraju ogarniętego wojną i pragną pozostać w Polsce na stałe”.

W protokole policyjnym wymienienia się zatrzymanych: Fawad Khan, lat 16, Jawad Khan, lat 15, Javeed Khan, lat 13, Akbar Ali Ahmad, lat 14, i najmłodszy – Haroon Ali Akbar, 12-latek.

Prezes Szymanek wyjaśnia skomplikowaną naturę postępowania w zaistniałej sytuacji:

– To dla nas sprawa nietypowa. W Puławach czegoś takiego nigdy nie mieliśmy. No, ale stwierdziliśmy, że skoro na gruncie prawa to są dzieci, to powinien się nimi zająć sąd rodzinny, czyli nasza sędzia Pawlak.

Piątek po 15 to nie najlepszy czas na rozwiązywanie skomplikowanych zadań natury służbowej. Po konsultacji z prezesem Szymankiem sędzia Pawlak dzwoni do dyrektora puławskiego domu dziecka. Dyrektor Lech Piekarczyk wyraża zgodę na przyjęcie Afgańczyków.

Dyrektor Piekarczyk, pogodny brunet z wąsem, jest dobrym gospodarzem – dwupiętrowy budynek w parkowej okolicy zadbane, pomieszczenia czystutkie. Pozałatwia sponsorów, opłaca dzieciom dodatkowe lekcje angielskiego. Akurat się przydały, bo najstarszy z Afgańczyków mówił po angielsku.

– No, na takie dzieci nie wyglądali – dyrektor wstaje znad pachnących cebularzy i sięga po segregator z dokumentami na temat Afgańczyków. – O, ci dwaj to byki większe jak pan. Za każdym razem inny rok urodzenia podawali.

Chłopcy dostali wspólny pokój, nowe adidasy, które dyrektor dostał od celników z zarekwirowanego przemytu. Poszli na kontrolę do pielęgniarki.

– Wyglądali lepiej niż niejedno nasze dziecko – twierdzi Piekarczyk. – Nasze jak pojedą do domu, to wracają zawszone. A chłopaki czyste, ciuchy porządne.

Okazało się, że jeden choruje na nerki. Przyjechał pogotowie. Dyrektor pojechał z chłopcem do szpitala.

– Odżywianie u nich inne, u nas inne. Oni tam warzyw nie jedzą. Tylko jakieś pizze, mace, cholera wie co. To mu nerki wysiadły i założyli mu kropiówkę. Zapytałem, czy się nie boi, a on

w śmiech. Nie takie rzeczy tam u siebie musieli widzieć. Pytali, czy ich odesłamy do domu żywych, czy martwych.

Kojarzyli z wąglikiem

Ojciec Fawada prowadził firmę transportową. Zginął z ręki talibów. Ojciec Jawada i Javeeda handlował od lat kurtkami skórzanymi. Jego również zabito. Tylko bracia Haroon i Akbar Ali nie są sierotami.

Wyruszyli 28 października. Rodziny dały ciepłe ubrania i parę tysięcy dolarów. Trzy dni zajęło im dotarcie do granicy Tadżykistanu. Przez Amu-darię przemycano ich łodzią. W kilka dni dojechali do dawnej kazachskiej stolicy – Ałma Aty. Kupili bilety na pociąg do Moskwy. Z Moskwy dotarli na Białoruś. Tu przeczekali w ukryciu kilka dni. Nocą przemytnicy przeprowadzili ich na Ukrainę. Wraz z dużą grupą Azjatów łodzią przepłynęli Bug. Kazano im iść kilkanaście kilometrów na zachód. W końcu trafili do podstawionego opla. Dojechali do miasta, kierowca kazał im wysiadać. Był wieczór. Przenocowali w parku. No a potem znalazła ich straż miejska.

Prezes Szymanek w poniedziałek uruchomił procedury.

– Na piśmie zawiadomiliśmy Ambasadę Afganistanu w Warszawie. Ustaliliśmy, że trzeba się postarać o nadanie chłopcom statusu uchodźcy. Napisała o nich jedna gazeta, potem druga. Przyjechało radio. Potem telewizja.

Puławę zatrzęsły się od plotek. Przede wszystkim, że to wysłannicy ben Ladena, którzy przyjechali wysadzić zakłady azotowe, ewentualnie wojskowy Instytut Epidemiologiczny, który prowadzi badania nad wąglikiem. Ludzie szybko skojarzyli, że afgańscy talibowie o badaniach się dowiedzieli i o tym, że specjaliści z instytutu mają jechać do Afganistanu.

Nawet żona prezesa Szymanka miała obawy, więc prezes pojechał osobiście poznać sprawców zamieszania.

Spotkanie potoczyło się miło. Prezes pytał, czy chłopcom smakuje rosół z kluseczkami. Powiedzieli, że tak. Na drugie były mielone, ziemniaki i surówka, i podobno też jedli z apetytem.

Ścisiali Ich Troje

Procedury się ciągnęły, jak to procedury. Afgańczycy żyli z dziećmi dyrektora Piekarczyka.

– W karty grali, w warcaby. Telewizję oglądali. Takie najzwyklejsze rzeczy – przypomina sobie dyrektor Piekarczyk. – Zaprzyjaźnili się z dziećmi, po angielsku sobie gadali. Dziewczyny dla nich wariowały, bo chłopaki przystojne. Żadna lekcji nie chciała odrabiać, tylko się fiokowały. Maciek Dymek, lat 14:

– Na początku to ich nie polubiliśmy. Wrzuciliśmy im kartkę z narysowanym ben Ladenem. Raz Fawad sam został. Dziewczyny mu strasznie dokuczały. Aż się popłakał. Później poszliśmy na zgodę. Tego Jawada to nazwaliśmy Džekson, a Haroona – Monkej, bo miał czasem taką głupią minę. W piłkę nożną uczyliśmy ich grać. Graliśmy w drużynach po pięciu. W karty graliśmy. W kuku, w wojnę, w ch..., znaczy w pana. Nawet nieźle grali.

Paulina, lat 11:

– Fajni byli. Ja mam angielski od roku, to nie umiałam to bardzo porozmawiać. Więcej moja siostra Klaudia. Strasznie się zakochała w Jawadzie. Ale Jawad wołał Anastazję. To Klaudia chodziła z Akbarem.

Anastazja Dymek, lat 15:

– Puszczaliśmy im hip hop, to oni tego w ogóle nie znali. Strasznie im się nie podobało. Jak tylko włączałam, to zaraz wołali: „Nie, nie”. Britney Spears, to nawet im się podobało. Ale po polsku nic im nie pasowało. Nawet Ich Troje ścisiali. Tego ben Ladena, co chłopcy im wrzucili, to podarli na kawałki. Krzyczeli, że go nie nawidzą. Fawad mnie namawiał, żebym z nim jechała do Londynu. Do wujka. Mówił: „Angielskiego nie znasz ani nic innego. Czemu się nie uczysz?!”. Zakochał się we mnie. Ale Arab był

z niego brzydki. Nie wszyscy byli brzydki, ja wołałam Jawada. On się też we mnie zakochał.

Miłość w domu dyrektora Piekarczyka kwitła równo dwa tygodnie.

– Przez ostatnie kilka dni dzwonił tu do nich jakiś wujek z Londynu. Widocznie ich namówił, żeby do niego jechali – opowiada dyrektor. – Człowiek tyle serca im okazał, a ci wzięli i na prześcieradłach uciekli. Dobrze, że chociaż list zostawili:

„Kochamy was bardzo. Jeśli ktoś tylko was dotknie, chcemy go zabić. Dziękujemy wszystkim dziewczynom i chłopakom, i wychowawcom, którzy nam pomagali. I dziękujemy Polakom, którzy byli bardzo dobrzy, i lubimy bardzo tych dobrych ludzi. Anastazja Dymek i Maciek Dymek są dobrzy. Kocham cię, Anastazjo. Dziękujemy dyrektorowi za wszystko – Fawad Khan”.

– Na początku mówili, że chcą tu w Polsce zamieszkać, studiować. Takie porządne dzieci. Żaden papierosów nie palił – wdycha dyrektor.

Wdycha też prezes Szymanek:

– To przede wszystkim nie była ucieczka, bo oni tu nie byli zatrzymani. To było oddalenie. Ale kto to widział, żeby po prześcieradłach uciekać?! Przecież jak im było źle, to mogli po prostu sobie odejść. Pisma były wysłane o przyznanie statusu uchodźcy. W pogotowiu opiekuńczym czekało na nich pięć miejsc. Potem trafiliby do ośrodka dla uchodźców. Nie byłoby im źle. Ale z drugiej strony może tam, w Anglii, będą mieli lepiej? Tam tych emigrantów jest pełno, poczuć się jak u siebie. A w Puławach to każdy za czarnym się ogląda.

Dyrektor Piekarczyk ma teorię, że chłopaków wcale nie zatrzymano, tylko sami dali się złapać.

– Oni chyba specjalnie się wystawili, żeby ich zatrzymać. Jeden zachorował, to postanowili poszukać pomocy. Wyszli na największy plac, jak zobaczyli mundurowych, to zaczęli się z ławki na ławkę przesiadać, ludzi zaczepiać. Podleczyli się, najedli i poszli dalej. Sprytnie. Zdolne chłopaki.

Postscriptum

11 marca chłopcy próbowali przekroczyć Nysę koło Zgorzelca. Trzech młodszych – Haroona, Javeeda i Akbar Alego – schwyciła Straż Graniczna. Pechowcy zgodnie z decyzją puławskiego sądu rodzinnego, czyli sędzi Pawlak, trafili do pogotowia opiekuńczego w Lublinie.

– To jakaś paranoja. Z drugiego końca Polski ich tu wieźli, a wiadomo, że oni nam zwieją przy pierwszej okazji. Może nam każą ochraniać do nich wynajętych? – głowi się wicedyrektor lubelskiej placówki Władysław Bałuch. – To jest ośmieszanie nas wszystkich, proszę pana. Przecież my tu mamy większe problemy niż niańczenie cwaniaków, którzy chcą do Anglii. My tu ani językowo, ani kulturowo nie jesteśmy przygotowani na coś takiego.



KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI

Boże, błogostaw Las Vegas

Stare Las Vegas ustąpiło czemuś, co dobiera się do samego rdzenia Ameryki – do rodziny. To nie tylko hazardziści, prostytutki i garstka gangsterów. Teraz przyjeżdża tutaj tata z mamą i gromadką dzieci. Kiedy dzieci oglądają walkę piratów, rodzicom zabiera się pieniądze

Jadę do Las Vegas. Zanim dojadę, szukam informacji o siedlisku hazardu i rozkoszy. Zaglądam w zranione serce Ameryki. Na stronie miasta w Internecie znajduję list do terrorystów, mniej więcej tej treści: „Drodzy terrorysto. Trafiliście w World Trade Center, ale nie w Amerykę, ponieważ Ameryka to nie są budynki, lecz pewna Idea. Jest to Idea, która pozwala pojechać, gdzie zechcesz, zarobić, ile się da, jeśli tylko znajdziesz na to sposób, żyć, jak ci się podoba, i podążać za Szczęściem. Jesteśmy raczej beztro-

skiego ducha, dopóki ktoś z nami tchórzliwie nie zadrze. Jako pierwszy naród użyliśmy w gniewie broń nuklearną. Dziadek Jones pracował przy Manhattan Project. Powiedział mi, że fizycy nie byli pewni, czy reakcja łańcuchowa od wybuchu bomby nie pożre świata. Mimo to nacisnęli guzik, żeby wygrać wojnę. Czy coś wam to mówi o Duchu Amerykańskim? Bądźcie czujni. Nadchodzimy”.

Boże drogi! Najpierw bomba, a teraz popkultura pieniądza. I podobna niepewność, czy świat to wy-

trzyma. Idę na przespiergi rozpoznać tego ducha. Co prawda nie pochodzę z kraju terrorystów. Wręcz przeciwnie, mój kraj jest najbardziej proamerykański w Europie. Ale właśnie dlatego nie mam wątpliwości: wejdą, nie wejdą. Już do nas wchodzi z szerokim uśmiechem – myślę, gdy tymczasem samolot kołuje nad brązową pustynią Mojave, mija wielkie jezioro i zbliża się do płaskiego miasta z pasmem wieżowców stojących wzdłuż tylko jednej ulicy. To hotele i kasyna przy Las Vegas Boulevard.

Zatrzymałem się w hotelu Luxor w kształcie egipskiej piramidy otoczonej setkami palm i statuiami bogów o zwierzęcych głowach. Od frontu stoi pokryty piaskiem Sfinks wysoki na dziewięć pięter, trzy razy większy od oryginału, tulący pod brzuchem sześciopasmowy podjazd dla samochodów. Piramida ma 36 pięter, 2501 pokoi. Następne dwa tysiące mieści się w paru wieżowcach postawionych obok. Całą budowlę pokrywa czarne szkło, które za dnia mieni się złotem słońca lub odbija błękit. Natomiast w nocy

piramida znika na tle ciemnego nieba. Zniknęłaby zupełnie, gdyby z jej szczytu nie wzbijał się na 16 kilometrów w górę snop światła o mocy 40 miliardów świateł. Ze szczytu biegną w dół błyski halogenów, aby zaznaczyć krawędzie budowli. Widok jest niesamowity, ale jakoś znajomy. Ależ tak! To rewers banknotu jednego dolara z piramidą i promienistym okiem Opatrzności. W mroku nocy i w dzień, 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu odbywa się tu mistrium pieniądza.

W środku atrium wysokie na 33 piętra. Hotel przechwala się, że zmieściłby dziewięć boeingów 747 ustawionych jeden na drugim, choć to niepraktyczne. W rzeczywistości wewnątrz stoi budowla, której fronton ma kształt egipskiej świątyni. Na jej dachu są restauracje i atrakcje przede wszystkim dla dzieci, a w podziemiach mieści się kolosalny bufet. Cały parter wypełnia kasyno.

Plan jest tak pomyślany, że gdziekolwiek idę, muszę przejść przez labirynt pieniężnej pokusy. Czyha tu 2,5 tysiąca migających

światłami jednorękich bandytów oraz 110 stołów do gry w pokera, oczko i bakarata. Najwięcej ludzi przyciągają wystawione do wygrania sportowe *coupé* Mercedesa i drugie, BMW. Lśniące samochody są w zasięgu ręki. To nie jakaś abstrakcja liczbowa ze znakiem \$, lecz zmysłowy, niemal erotyczny konkret. Hotel chciał też pożyczyć prawdziwą mumię od rządu egipskiego. Kiedy już uzgodniono cenę dwóch milionów dolarów rocznie za wynajem, do Egipcjan dotarło, że mumia trafi do kasyna. Szczątki

ludzkie dla rozrywki hazardzystów? Do transakcji nie doszło. Są narody, które jeszcze nie pojmują powagi pieniądza.

Wchodząc do świątyni we wnętrzu Luxoru, postukałem w mur. Z głębi tysiącleci odezwało się dudnienie plastiku.

Wykupiłem cały pakiet atrakcji za 24,95 dolara minus trzy dolary zniżki dla gości hotelowych. Na wprost kasy mieści się, ni mniej, ni więcej, grobowiec Tutanchamona. W grupie turystów oglądałem w skupieniu przez szybę komnaty

FOT. GRANDAM/FAST NEWS

Witamy w Las Vegas – mieście grzechu i Elvisów Presleyów





Hotel Luxor – egipska świątynia dla Amerykanów

grobowe odtworzone w takim stanie, w jakim je odkrył Howard Carter 80 lat temu. Przedmioty mające służyć faraonowi w zaświatach są zrobione z tych samych materiałów i według tych samych metod co oryginały. Zaczynam poddawać się tęsknocie za wiecznością, gdy wtem znajduję na ścianie deklarację gubernatora Nevady. Bob Miller ogłasza 18 grudnia 1993 Dniem Egipskim z tej okazji, że korporacja Circus Circus utworzyła Luxor z grobowcem „króla Tuta”. Króla Tuta? No tak, kto miałby w tym cyrku czas na długie wyrazy. W sklepie hotelowym widzę potem najpiękniejszy przedmiot z grobowca, złoty tron faraona, a nawet dwa takie same, każdy za 2995 dolarów plus podatek. Dla wieloryba to praktycznie darmo. Wieloryb oznacza w kasynowym slangu: utracjusza, który wynajmuje przepyszny apartament po pięć tysięcy dolarów za noc i stawia 10 tysięcy na jedną kartę w pokera. Wypadają z grubsza trzy trony na minutę.

Wychodzę na galerię gier wideo. Przylepione do automatów dzieci prowadzą ostre walki wschodnie albo ścigają się samochodami. Po kilku minutach zabawy muszą znowu wrzucić monetę do maszyny. Hazard jest zakazany do 21 roku życia,

ale nikt i nic nie zabrania dzieciom grać nie tyle o pieniądze, ile o emocje. Kasyno wychowuje sobie przyszłą klientelę jednorękich bandytów.

Na kolację schodzę w podziemia wypełnione rusztowaniami przypominającymi wykopaliska. Mieści się tu bufet „jesz, ile możesz” za 14,49 dolara plus podatek. Bufety są uświęconą tradycją Las Vegas. Między stołami a ładami, na których leżą dary morza, mięsiwa, jarzyny

Człowiek dobrze wychowany nie pyta, ile kosztował garnitur, lecz oceni materiał i krój. Ale nie w Las Vegas. Masz miliard, to go pokaż!

i desery, kursują grubi Murzyni z potwornymi ilościami jedzenia na talerzach. Po chwili widzę, że to samo robią biali, choć na ogół są chudsi. Z trudem wstałem od stołu po kolacji. Zjadłem więcej, niż mogłem, jakbym próbował odzyskać stracone pieniądze. Kasyno używa wszelkich środków, by przyciągnąć graczy. Muszę się jakoś bronić. Nie przyjdę na śniadanie. Od rana nie mogłbym się ruszać, a czeka mnie wyprawa na wysniony bulwar.

Następnego dnia obudziłem się w moim czarnym grobowcu, wyglądającym przez pochyłe okno na pusty-

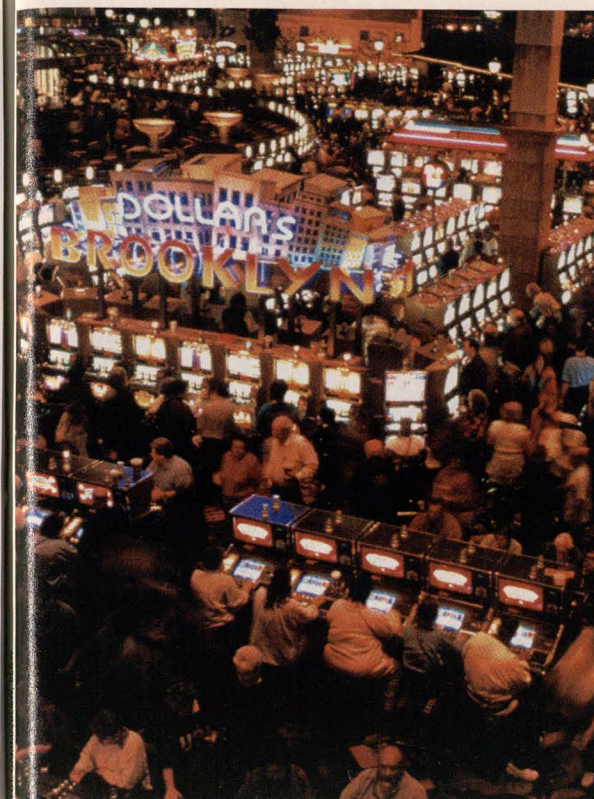
nię. Pobliskie szczyty nagich gór pustyni zaróżowił świt. To mój pierwszy zarobek w Las Vegas. Zyskałem dwie godziny różnicy czasu w stosunku do Nowego Jorku.

Idąc do kawiarni na podwójne espresso, przechodzę obok maszyny Megabucks, gdzie z grubsza co miesiąc pada główna wygrana. Uzbierało się 14 449 827 dolarów. Przeliczam, na co tego starczy. Ach, życie może być piękne nawet po po-

datku! *Buck* znaczy w slangu dolar, a Megabucks to jednoręki bandyta połączony elektronicznie z tysiącami innych maszyn w całym stanie Nevada. Pewien procent wrzuconych do maszyny pieniędzy idzie do wspólnej puli, reszta przypada na wygrane bieżące. Gdyby nie te drobne dolary po drodze do milionów, nikt nie wytrzymałby długu sam na sam z bandytą. Musimy czymś podsycać nadzieję w tej nierównej walce. Dorzucam dolara i wychodzę na miasto.

Z mostu nad jezdnią mój wzrok pochłania feeria Las Vegas Boulevard. Nawet w Nowym Jorku nie wi-

działem przestrzeni tak nasyconej bajeczną architekturą i obietnicami tak łatwych pieniędzy. Już mam minąć hotel z kasynem Tropicana, ale wtem staję w miejscu jak wryty. Do wygrania jest czerwony mustang *coupé*, i to za jedno darmowe pociągnięcie bandyty za rękę! No tak... auta nie wygrałem... Ale za to dostałem kupony zniżkowe do restauracji i kupon najbardziej wartościowy: jeśli zapłacę 20 dolarów, to otrzymam żetony za 50 do gry na maszynach wskazanych przez kasyno. Dostaję więc 30 dolarów za frajer, a do wygrania jest 500! Wchodzę do środka, płacę, odbieram żetony, podchodzę do wydzielonych za barierką maszyn Lady Luck, czyli Pani Szczęścia. W ciągu dwóch minut straciłem wszystko. Powinienem wiedzieć, że nie gra się na wybranych przez kasyno maszynach. Ale mam prawo do nagrody! Szukam w gablocie fanty przypominającego 20 dolarów. Facet o wyglądzie starego rajfura wręcza mi, szczerząc zęby, kwitek na odbiór etui z tekowego drewna z dwoma długopisami i logo Tropicany na wieczku, *Made in China*, jak się okazuje. Zapłacili za to może dwa dolary w hurcie. Ściskając w ręku piórniki, mijam na ulicy rosnącą kolejkę turystów do czerwonego mustanga, za frajera.



24 godziny na dobę trwa misterium pieniądza

Zdobyłem jednak ważną pamiątkę. W Tropicanie Martin Scorsese nakręcił film „Casino” o czasach, gdy rządziła tu mafia. Powiedział potem, że stare Las Vegas ustąpiło czemuś, co wygląda kusząco i jest dobre dla dzieci, ale dobiera się do samego rdzenia Ameryki – do rodziny. To nie tylko hazardziści, prostytutki i garstka gangsterów. Teraz przyjeżdża tutaj tata z mamą i gromadką dzieci. Kiedy dzieci oglądają walkę piratów, rodzicom zabiera się pieniądze.

Stare Las Vegas stworzyła mafia. W połowie lat 40. przyjechał Bugsy Siegel z Nowego Jorku, żeby przejąć kontrolę nad gangsterami w pobliskim Los Angeles. Za pożyczony od kolegów milion chciał założyć elegancki kurort rozrywkowy dla elity Hollywood. Hotel z kasynem otworzył na Boże Narodzenie roku 1944. Sprowadzeni samolotami filmowcy dobrze się bawili przez trzy dni, po czym wyjechali. Dwa tygodnie po otwarciu Siegel musiał zamknąć Flamingo i po paru miesiącach otworzył dla gorszej publiczności. Rok później zastrzelono go w Los Angeles, ale mafia przekonała się do kasyn. Dla oszustów był to doskonały interes. Wpływy w gotówce łatwo było kraść, pozwalały także zręcznie prac pieniądze. Gang-

sterzy całej Ameryki uznali Las Vegas za teren otwarty. Każdy mógł robić biznes, jeśli zostawił konkurencję w spokoju.

Powstało Sin City, Miasto Grzechu, łatwego bogactwa i seksu, gdy reszta Ameryki jeszcze żyła w cnocie. Wyczyny Franka Sinatry, Steve'a Martina i Sammy Daviesa Jr. dostarczały prasie rozkosznego zgorzelenia. Tutaj zaczął karierę osławiony Liberace, pianista, który wyniósł kicz na nowe wyżyny. W kwietniu 1956 przez tydzień śpiewał Elvis Presley, ale zrobił kłapę. Nawet Ronald Reagan występował krótko z tresowanymi małpami. Były to czasy, gdy hotele urządziły na dachach „party atomowe”. Przy koktajlach goście podziwiali rozbłyski nieba od bomb odpalanych na pobliskich poligonach. Pieniądze, pycha, potęga – cóż mogło być lepszego?

Ślady starego Miasta Grzechu zachowały się dziś w północnej części bulwaru. Punktem granicznym jest kasyno Riviera, na fasadzie którego lśnią posładki siedmiu tancerek z brązu. Do tyłeczka artystki przywiera chłopak, symulując stosunek, drugi robi mu zdjęcie, rozrywając półmrok fleszem. Dalej zaczynają wabić neonami kaplice, niektóre *drive in*, gdzie dają ślub bez konieczności wysiadania narzeczonych



Manhattan w miniaturze. Namiastka stolicy świata

z auta. Bardziej stateczne przybytki przypominają kościółki. Te mają oferty od 30 do 300 dolarów z własnym orszakiem i świadkami. Można też wynająć Elvisa – do wyboru: młodego lub starego, w repertuarze miłosnym. Między kaplicami mieszczą się motele. Niektóre zachwalają na witrynach szerokie łóżka i filmy pornograficzne w cenie wynajmu pokoju – 29 dolarów za noc. Wypada to taniej niż artystka. Na ścianie przystanku autobusowego widzę plakat z wielkim rysunkiem zrobionym ręką dziecka: nad krwawiącym trupem stoi zmartwiony chłopiec z pistoletem i w podpisie jaka się, że nie chciał. To apel do rodziców, żeby zabezpieczać broń. Przecież tak łatwo o wypadek.

Ja wiem, że to nieeleganckie podawać cenę zamiast wnikliwej analizy formy. Człowiek dobrze wychowany nie pyta, ile kosztował garnitur, lecz oceni materiał i krój. Ale nie w Las Vegas. Masz miliard, to go pokaż! Tyle właśnie kosztował Mandalay Bay, co widać. Stał na miejscu 40-letniego kasyna zburzonego w przeddzień Nowego Roku 1997. Transmisję z wybuchu prowadziła na żywo telewizja Fox zamiast tradycyjnej fety na Times Square w Nowym Jorku. Tłum pół miliona ludzi zgromadzony na bulwarze skando-

wał: „*Blow it up! Blow it up!*”. Wyszadzenie w powietrze nierentownych zabytków należy tu do krzepiących rozrywek, bo świadczy o postępie. Na opróżnionym miejscu stał kolosalny złoty pałac o motywach azjatyckich, z basenem, gdzie morskie fale na półtora metra umożliwiały zawody *surfingu*.

W szklanym tunelu dla publiczności biegnącym przez akwarium spotykam się pysk w pysk z rekinem; patrzymy sobie w oczy, oceniamy zęby. Do Mandalay Bay lubi przyjeżdżać młoda finansjera. Nocny bar dla tej klienteli nazywa się Plac Czerwony. Jest utrzymany w tonacji krwi, z freskami radzieckich plakatów z okresu Wielkiej Czystki. Energiczni, lecz chyba trochę głodni, proleci patrzą ze ścian na porcję kawioru Bieluga po 99 dolarów i talerze z Roquefort Crusted Filet Mignon za 29 dolarów, z ziemniaczkami *purée*, opiekany czosnkiem i sosem z czerwonego wina. Zamawiam Smirnoffa zimnego jak wygrana wojna. Wejście do baru przypomina kolumnadę Mauzoleum Lenina; od frontu stoi wódz rewolucji nadnaturalnej wielkości, gniewnie ochlapany białą farbą, aczkolwiek bez głowy. Sama głowa leży wewnątrz baru na podłodze, w alkwie na wódki. Stukam w pomnik i słyszę znajomy



Hotel Bellagio – najdroższy nocleg w mieście



Od frontonu Bellagio biją fontanny tańczące do muzyki

dźwięk plastiku. Nieładnie. Nie podrabia się łupów.

Co znaczą skrupuły, gdy nawet miliard dolarów traci na znaczeniu? Steve Wynn wydał aż miliard sześćset milionów, by wystawić willę włoską dla trzech tysięcy gości. Bellagio jest najkosztowniejszym hotelem na świecie. Sprowadzone z Włoch marmury i cyprysy oraz kolekcja mistrzów malarstwa za 285 milionów mają dodać klasy nuworyszom. Tak, tak, nie podaje się ceny garnituru, ale... Podziwiam z bulwaru rozwiązanie przestrzeni. Dolne piętra Bellagio wyglądają jak miasteczko nad jeziorem, górne piętra z dachem przypominają pałac, a środek wypełnia płaska ściana wieżowca. Od frontu lśni lustro czterech hektarów wody, skąd biją fontanny tańczące do muzyki. 1400 tryskających stru-

lekcją impresjonistów pożyczoną za ciężkie miliony z Ermitażu. Niech to słyszy Petersburg. Nowe Las Vegas ma dla każdego propozycje nie do odrzucenia.

„Te kasyna stworzyłby Bóg, gdyby miał pieniądze” – powiedział Wynn. Ba! Na niektórych nawet się pojawił. Jezus w „Ostatniej Wieczery” Leonarda da Vinci uważnie spogląda na postój taksówek z plafonu nad podjazdem hotelu Wenecjanin, Chłopak w pasiastej koszulce śpiewa piosenkę gondoliera, otwierając gościom drzwiczki samochodów. Wzdłuż bulwaru stoją co kilkadziesiąt kroków niscy chłopcy meksykańscy i wciskają przechodniom reklamy „artystek rozrywkowych”. W nowym Las Vegas najstarszy zawód świata używa nowomowy. Trzeba iść prosto przed siebie, wte-

wysoko, że nie sięgam strumieniem. Patrzę na zdjęcia ludzi przemykających na Zachód. Gustowna tablica podaje, że podczas prób ucieczki zginęło sto osób. Po tej stronie muru łatwe chwile triumfu nad komuną; po tamtej lała się krew. Robię w tył zwrot i ruszam z powrotem na południe.

Z atrakcji miasta został mi pałac cesarza Japonii. Wcześniej pokonany wróg Ameryki użyłczył oprawy dla największej w świecie kolekcji samochodów. W kasynie Imperial Pałace mieści się chyba jedyne muzeum, gdzie wszystko jest na sprzedaż. W gruncie rzeczy to świątynia totemów tego kraju, gdzie marka auta określa przynależność plemienia. Prolet od szewroleta wchodzi tu w skupieniu. Nie mogę oderwać oczu od pancernego rolls-royce'a '79 w kolorze zielonym z kremowym pasem w szare kwiatki na bokach karoserii. Należał do niejakiego Bhagwan Shree Rajneesh. Ten zebrał ponad sto rolls-royce'ów. Był przewodnikiem duchowym bogaczy. Auto w cenie 160 tysięcy dolarów kosztowało pierwotnie 10 razy więcej. Jest jednak odporne na bomby i ma ukryte gniazda karabinów. Jak to, po co? Kto chce wejść przez ucho igielne do nieba, ten musi się przedzierać.

Czy są jakieś pytania? Ponoć hiszpańscy konkwistadorzy w tych rejonach kontynentu szukali miasta niewiarygodnego bogactwa, wiecznej młodości i niezwy-

kłych rozkoszy. Mówiły o nim indiańskie legendy. Jednak wyprawa za wyprawą niczego nie znalazły. Objawiło się dopiero po czterech stuleciach na pustyni Mojave. Miasto złota i światła. Zawsze tam było. Czekają tylko sposobności, by się zmaterializować.

Przed opuszczeniem hotelu sięgam w pokoju do szuflady szafki nocnej, gdzie powinna być Biblia w czarnych okładkach, jak wszędzie w Ameryce. Okładka ma ulubiony kolor lokalny, czyli złoty. Otwieram i na oślep wybieram palcem miejsce w Piśmie. Stale mi tu mówią coś o Bogu, chcę więc sprawdzić, co myśli o Las Vegas. Odezwiał się Ezechiel werselem 6,6. „Gdziekolwiek byście tylko mieszkali, miasta opustoszeją, a wyżyny zniszczą, tak że wasze ołtarze zostaną opuszczone... bożki wasze zdruzgotane... a dzieła wasze unicestwione”.

No to jak, błogosławi czy przeklina? Wychodząc, wrzucam klucz do skrzynki przy windzie. To najszybszy sposób, by się wymeldować wśród tysięcy ludzi, którzy codziennie przewijają się przez Luxor. Jeszcze tylko sprawdzam stan kasy Megabucks. W ciągu czterech dni od mojego przyjazdu przybyło pół miliona. Nikt nie rozbił banku. Można już wygrać 14 907 189 dolarów. Dorzuciłem dolara. Z rewersu banknotu spojrzało bezradne oko Opatrzności.

KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI

Jak napisać pracę dyplomową

Od kilku miesięcy wiele się mówi o pisaniu prac dyplomowych przez firmy, które całkiem swobodnie świadczą tę odpłatną usługę na obszarze całego kraju, inkasując bodaj po 10 milionów lirów za sztukę. Fakt, że niektórzy młodzi absolwenci i naukowcy dorabiają sobie, pisząc prace za innych, to historia stara jak świat. „Laików” oburza co innego – że ten handel nie podlega żadnej kontroli.

Otóż handel ten są w stanie kontrolować jedynie wykładowcy przedmiotów fakultatywnych, na których seminaria – o ile wykładowca nie stawia ocen celujących na piękne oczy – zgłaszają się tylko studenci ambitni. Od takich studentów można wymagać, by określili temat pracy już na początku trzeciego roku i poświęcili kolejne dwa lata na jej pisanie i na wielokrotne przeróbki. Profesorowi, który każdemu studentowi poświęca tak wiele uwagi, uda się poprowadzić co najwyżej trzy albo cztery prace rocznie. Osoba, która biorąc udział w seminarium takiego promotora, chciałaby kupić sobie pracę dyplomową, musiałaby korzystać z cudzej pomocy przez dwa lata i pytać swojego autora, jak uzasadnić kolejne poprawki. Taka praca kosztowałaby nie 10, lecz sto milionów lirów.

Tak więc student, który nie ma ochoty, czasu czy też zdolności, by napisać pracę samodzielnie, zgłasza się do jednego z tych nieszczęsnych profesorów, którzy prowadzą wykłady obowiązkowe. Na niektórych uniwersytetach takie wykłady gromadzą do dwóch tysięcy słuchaczy. Wyobraźmy sobie, że istnieje jakaś oblegana katedra myrmekologii, w której wszyscy oddają się bez reszty złożonej problematyce mrówek. Na tym kierunku wykładano by pewnie dwa przedmioty ogólne – podstawy myrmekologii i historii myrmekologii – oraz przedmioty specjalistyczne, na przykład: mrówki Azji Środkowej, DNA mrówek i komunikację pomiędzy mrówkami.

Wyobraźmy sobie studentów tej katedry, którzy nie zostali przyjęci na seminarium: mrówki Azji Środkowej, ponieważ cała literatura przedmiotu jest niemieckojęzyczna, a oni nie znają niemieckiego, którzy nie zostali przy-

jęci również na seminarium: DNA mrówek, ponieważ udział w nim wymagałby od nich zaawansowanej wiedzy biologicznej, i nie zostali przyjęci na komunikację pomiędzy mrówkami, ponieważ nie znają podstawowych pojęć z zakresu zoosemiotyki. Co robi nieszczęśnik, który, co prawda, mógł wybrać inny kierunek, lecz wybrał właśnie ten i w końcu zdał wszystkie egzaminy, choć z bardzo niskimi notami?

Idzie do profesora podstaw myrmekologii, czyli przedmiotu ogólnego, a ten – o ile nie

Student znajduje analogiczną pracę napisaną 10 lat temu na tym samym wydziale pod kierunkiem innego profesora lub pracę sprzed roku napisaną na wydziale odległym o 200 kilometrów. Uaktualnia bibliografię i sprawa jest załatwiona

oblał go wcześniej na egzaminie – nie może go już odesłać. „Wiesz co? – powie wykładowca – w latach 30., bardzo krótko, działała genewska szkoła myrmekologii, która miała dwóch albo trzech słynnych uczonych i wszyscy ci uczeni razem wzięci napisali co najwyżej 10 prac, z których wszystkie zostały przetłumaczone na włoski. Napisz mi porządną i udomakowaną pracę na temat tej szkoły”.

We włoskim systemie uniwersyteckim, w którym każdy student na zakończenie pierwszych czterech lat kursu musi napisać pracę, czyli książkę, nie można żądać, by jego praca była oryginalna i zasługiwała od razu na Nagrodę Nobla. Ci, którym się to udaje, zostają naukowcami i profesorami, lecz od większości możemy się domagać tylko uczciwej kompilacji, poprawnie i wyczerpująco referującej dostępną wiedzę na dany temat.

Student idzie do agencji pisania prac, a tam bierze go pod swoją opiekę młody absolwent, który wie, gdzie znaleźć analogiczną pracę napisaną 10 lat temu na tym samym wydziale, w czasach kiedy seminaria prowadził jakiś inny profesor, lub pracę sprzed roku napisaną na wydziale odległym o 200 kilometrów. Uaktualnia bibliografię i sprawa jest załatwiona. Jeśli student jest cwany, natychmiast zgłasza się z pierwszym rozdziałem do promotora, który mówi, że jest on poprawny, i każe mu pisać dalej.

Jak temu przeciwdziałać? Pomnożyć podstawy myrmekologii przez cztery, dzięki czemu profesor będzie miał nie tysiąc, lecz 250 studentów. Można też żądać obecności obowiązkowej, ograniczając równocześnie liczbę studentów na wykładzie do 30 i biorąc od nich po 30 milionów lirów rocznie – jak to się robi w Ameryce. Można też pogodzić się z wprowadzoną w tym roku reformą, która dopuszcza dyplom pierwszego stopnia po trzech latach, bez obowiązku pisania pracy dyplomowej.

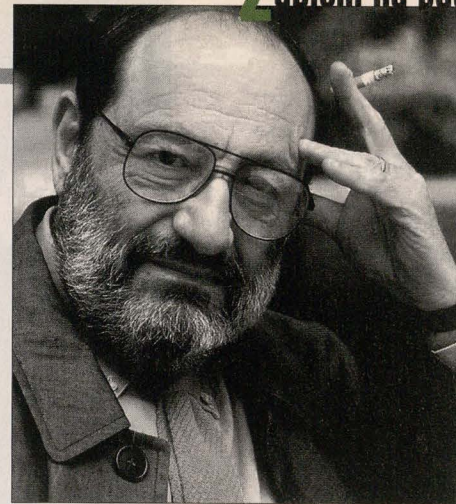
W książeczce „Jak pisać pracę dyplomową” twierdziłem, że przygotowywanie pracy stanowi fundamentalne doświadczenie życiowe, i myślę tak w dalszym ciągu. W czasach gdy dyplom uzyskiwało 30 proc. studentów, a wielu wykruśzało się po drodze właśnie ze strachu przed pracą, stawała się ona fundamentalnym doświadczeniem życiowym jedynie dla jednej trzeciej. Jeśli chcemy, żeby na pierwszym poziomie dyplom uzyskiwało prawie sto procent tych, którzy zaczęli studia, trzeba zrezygnować z pomysłu, by praca stała się bardziej zaawansowanym stadium ich nauki. Na pracę przyjdzie czas dopiero na drugim etapie, a tam już żartów nie będzie.

UMBERTO ECO

tłumaczyła Magdalena Mikołajewska

* Wprowadzona w ubiegłym roku we Włoszech reforma uniwersytecka przewiduje dyplomy pierwszego i drugiego stopnia. Pierwszy uzyskuje się po trzech latach, bez żadnej pracy końcowej; warunkiem uzyskania drugiego jest obrona pracy dyplomowej po pięciu latach studiów (przyp. tłum.).

Eco



FOT. SURVEAST NEWS

Taksówka ruszyła
spod budynku
muzeum.
W środku siedział
Jego Wysokość
Tutmosis I.
Nie żył
od trzech
tysięcy lat
i jechał
do szpitala

LESZEK K. TALKO



W Palermo na Sycylii XIX-wieczne mumie stoją w podziemiach klasztoru kapucynów

Historia naturalna mumii

Eksploatacja mumii rozpoczęła się w XV wieku. Tłumy robotników ryły złoża, docierały do tajnych korytarzy i przekopywały nekropolie. Znalezione mumie trafiały do młyna, żarna miały wyschnięte ciała sprzed tysiącleci. Na proszek czekały już tłumy chorych w Europie przekonanych, że *mumiya* – proszek z mumii zażywany po obiedzie – uleczy ich z kataru, reumatyzmu i doda sił vitalnych.

Właściwie lekarze skłonni byli przepisywać *mumię* na wszelkie dolegliwości. Nic dziwnego, że bardzo szybko pojawili się dostawcy fałszywej *mumii*. Prawdziwych mumii zaczynało brakować, a rynek wciąż domagał się nowych dostaw. Handlarze szybko zorientowali się, że konsument nie odróżni proszku z prawdziwej mumii od proszku z mumii byka czy kota. Zastępy Egipcjan ruszyły więc odkopywać zmumifikowane tysiące lat temu zwierzęta. Odbiorcy nie narzekali. Przez setki lat

mumiya była dobra na wszystko i, jak zgodnie narzekali się lekarze i pacjenci, naprawdę działała.

Dopiero w XVIII wieku Europejczycy zrezygnowali z kuracji mumiami. Zmieniły się rynki zbytu – w Azji *mumiya* nadal sprzedawała się do skona.

Transport ryb właśnie dotarł

O tym, jak powstaje mumia, pierwszy napisał Herodot. Aby po śmierci ciało stało się pierwszorzędną mumią, trzeba było być bogatym człowiekiem. Wysoko wykwalifikowani specjaliści rozcinali zwłoki, usuwali wnętrzności z wyjątkiem serca (uważano je za siedzisko duszy, tak jak dziś mózg). Narządy wewnętrzne trafiały do specjalnych urn, a ciało myto winem palmowym, nacierano wonnościami, przyprawami, olejками, miodem lub woskiem pszczelim i zszywano.

Potem następowało moczenie przez 70 dni w natronie – miksturze konserwującej, której dokładnego składu do dziś nie znamy. Teraz mumia gotowa była do owinięcia w bandażę i złożenia w sarkofagu. Dla mniej zamożnych procedurę upraszczano, rezygnując z pierwszego etapu.

Przez pięć tysięcy lat, aż do początków naszej ery, proces udoskonalano. W XVI stuleciu p.n.e. opracowano metodę wyciągania mózgu przez nos.

Tak samo konserwowano zwierzęta – byki, ptaki, koty. Samych tylko mumii kotów było tyle, że w XIX wieku Anglicy importowali je całymi tonami. Używali ich jako składnika nawozów sztucznych.

Właśnie Anglicy zniszczyli najwięcej mumii, używając ich do najdziwniejszych celów. W XIX wieku bardzo modne w angielskim towarzystwie były przyjęcia połączone z odwijaniem mumii. Rzecz jasna, mumie trzeba było

najpierw zamówić u handlarzy działających w Egipcie, przetransportować do Anglii (docierały tu statki wypełnione po brzegi mumiami) i dostarczyć adresatowi. Wyspecjalizowane firmy przewoziły je z wykopalisk do portu w Aleksandrii.

Tak jak bywa z innymi towarami, za eksportowane mumie trzeba było zapłacić cło. Przez długi czas w taryfikatorze brakowało odpowiedniej pozycji, mumie podciągano więc pod „suszone ryby”. W ten sposób Egipt stał się głównym dostawcą suszonych ryb dla Zjednoczonego Królestwa.

Mumie docierały wreszcie do Anglii. Teraz wystarczyło już tylko zaprosić znajomych na uroczyste odwijanie. Imprezy cieszyły się niesłabnącym powodzeniem. Eleganccy panowie i panie po kolei odwijali bandażę spowijającą mumie i robili zakładki, czy okaże się ona kobietą, czy mężczyzną. Oczywiście odwinięta mumia nie przedstawiała już żadnej wartości, pakowano ją więc do pudła

wy oficjalny zawód poszukiwacza grobów. Poszukiwacze rabowali egipskie groby i niszczyli mumie, płacąc przy tym pilnie podatki i procenty od znalezionych skarbów.

Ocalałe z tysiącletnich pogromów mumie trafiały od drugiej połowy XIX wieku do muzeów i zaczęły budzić lęk. Przestały być lekarstwem czy rozrywką towarzyską. Naukowcy zaczęli je na serio badać. Niedługo po wynalezieniu aparatu rentgenowskiego archeolodzy wpadli na pomysł, żeby prześwietlić zachowane mumie królów z muzeum w Kairze. Aparaty rentgenowskie były zbyt duże, żeby przewieźć je do muzeum, więc mumie trzeba było zawieźć do nich. Jak? Po prostu, taksówką. W ten sposób król Tutmosis I odbył po tysiącach lat nieoczekiwaną przejażdżkę.

Znacznie dalej wybrała się mumia Ramzesa II, która w roku 1975 pojechała na badania z Kairu aż do Paryża. Faraon ten był jednym z najsławniejszych i najpotężniejszych. Na lotnisku w Paryżu na mumie oczekiwała kompania honorowa



Mumia egipskiej kapłanki Eso Eris z Akhmin, 664–525 p.n.e.

i zakopywano w ogródku albo wstawiano na strych, gdzie po latach z przerażeniem odkrywały ją wnuki.

Przyszła mumia do aparatu...

Dopiero w drugiej połowie XIX wieku mumiami zajęli się naukowcy, a nie konsumenci. Nie zostało im dużo obiektów badań. Najpierw przez tysiąclecia grobowce były okradane przez złodziei. Kradli złoto, a mumie cięli na kawałeczki, szukając ukrytych często między zwojami bandażi kosztowności. Pierwsi złodzieje pojawiali się już następnego dnia po pogrzebie, a egipscy kapłani, chcąc uchronić dostojne zwłoki przed zbezczeszczeniem, przenosili je do lepiej strzeżonych kryjówek.

Kiedy Egipt został opanowany przez Arabów, nic już nie chroniło mumii. Do ksiąg wpisano no-

niczmy na głowę państwa. Zadaniem naukowców było odkrycie, na co umarł potężny król i co sprawiło, że stan mumii jest coraz gorszy. Udało się. Ramzes cierpiał na kilka chorób, ale umarł na uogólnioną infekcję (posocznice), a mumie niszczył grzyb.

Od tej pory przebadano setki zakonserwowanych Egipcjan. Dzięki temu wiadomo, na co umierali, co jedli i ile lat żyli. W niektórych przypadkach udało się nawet odczytać kawałki kodu genetycznego.

Zemsta mumii

Najlepiej zachowane mumie były tak podobne do żywych ludzi, że zaczęły budzić grozę. Strach zaczął się szerzyć na początku XX wieku. A gdyby tak mumia wstała? Co wtedy? – takie pytania zadali sobie autorzy książek i filmów.

Pierwszy film o mumii, która obudzona z tysiącletniego snu wstaje i ściga swoich odkrywców, nakręcono w roku 1906. Fabuła kilkuminutowego filmiku w zasadzie idealnie koresponduje ze scenariuszem megaprodukcji obecných niedawno na ekranach kin „Mumii” i „Powrotu mumii”. Grupa archeologów i poszukiwaczy skarbów trafia do zapomnianego grobowca. W sarkofagu opatrzonym napisami zaklinającymi, żeby zostawić zmarłych w spokoju, leży nienaruszona mumia. Odkrywczy oczywiście lekceważą starożytne ostrzeżenia i wydobywają ją. Ta ożywa – w zależności od filmu – albo od razu, albo dopiero po przewiezieniu do muzeum za granicą. Zaczyna mordować ludzi.

Mordujące mumie były faworytami reżyserów drugorzędnych filmów. Niepotrzebne okazały się skomplikowane dekoracje i kosztowna charakterystyka. Wystarczyło owinać aktora bandażami i już mógł wzbudzać przestach. Tytuły filmów: „Krwawa mumia”, „Zemsta mumii” czy „Atak morderczej mumii” mówią wszystko.

Kiedy w roku 1922 Howard Carter odkrył grób Tutanchamona, rozpoczęła się fala bulwarowych spekulacji. Czy to mumia faraona wyładowała swój gniew na odkrywcach i doprowadziła do śmierci kilku z nich? Tłumaczenia, że tak się nie stało, były bezcelowe. Opinia publiczna wiedziała swoje: mumia faraona mści się za złamanie spokoju.

Nikogo nie zastanawiało, dlaczego tysiące innych mumii – zjadanych, przerabianych na nawozy albo rozbieranych z bandażi na przyjęciach – jak do tej pory nie wyrażały swojego sprzeciwu.

Dziadek o włos

Strażnik przed wejściem do konwentu kapucynów w Palermo jest wyraźnie znudzony. Cena biletu – co łaska. – Pięć tysięcy lirów – odpowiada, żeby nie było wątpliwości. W podziemiach konwentu leży i stoi tysiąc mumii. Najbogatsi mieszkańcy miasta kazali się tu grzebać aż do początków XX wieku, a mikroklimat sprawił, że ich ciała zakonserwowały się znakomicie.

Stoją teraz w długich korytarzach przymocowani drutem do ścian. Setki mumii ubranych w nieco zetałe surduty, sutanny, suknie. Jest kącik dziecięcy – z mumiami kilkuletnich – i kącik dziewczęcy. Dziewice śpią się najbardziej. Za szybą najsławniejsza mumia. Siedmioletnia dziewczynka, która umarła 80 lat temu. Wciąż jeszcze rumiana, jakby przed chwilą zasnęła.

Miejscowy lekarz zakonserwował jej ciało wynalezioną przez siebie miksturą. Umarł wkrótce potem i zabrał tajemnicę do grobu.

W Palermo mumie nie straszą. Na Wszystkich Świętych do kapucynów przychodzą rodziny z małymi dziećmi. Dziadkowie i babcie z twarzami spokojnymi, a niekiedy wykrzywionymi grymasem, stoją tu na wyciągnięcie ręki. Można sięgnąć do kieszeni surduta pradziadka, sprawdzić, czy z babcią wszystko w porządku.

Sama śmierć. Samo życie.

Czarny Oscar

ANDRZEJ KOŁODYŃSKI

Pierwszy czarnoskóry laureat Oscara za rolę pierwszoplanową. Pierwszy Afroamerykanin, który na ekranie całował białą kobietę. Teraz otrzymuje honorowego Oscara

„Co robię ze swoim czasem?” – pyta Sidney Poitier już na pierwszej stronie autobiograficznej książki „Miara człowieka” („The Measure of a Man”). Pytanie o wykorzystanie czasu zadane przez kogoś po siedemdziesiątce nie jest przypadkowe. Odpowiada się na nie całym życiem. Jego życie było bogate i ciekawe, to pewne. A jeśli nie przyniosło zwycięstwa, o które walczył, przynajmniej utorowało drogę innym.

Wygnanie z raju

„Szum morza, zapach wiatru, głosy matki i ojca, braci i siostr...”. To było na Bahamach, na małej wyspie Cat. Tam się wychował, chociaż na świat przyszedł w Miami na Florydzie 20 lutego 1927 roku. Urodził się jako wcześniak, tak słabowity, że ojciec natychmiast zaczął szukać pudełka po butach, w którym można by go pochować. Jednak przeżył. Był najmłodszym z ośmiorga dzieci ubożego hodowcy pomidorów. Wyrósł na łobuziaka i ledwie liczył szkoły. Wolał pomagać w gospodarstwie. Sielanka się skończyła, kiedy rodzina nie mogła już się utrzymać z pomidorów i powędrowała do miasta, do

Nassau. Sidney miał wtedy 11 lat i groziło mu, że zostanie młodocianym złodziejem, jeśli nie kimś gorszym.

Wysłano go więc do jednego ze starszych braci, Cyryla, do Miami. Zaczął pracować, poznał, co to miejska bieda, samotność i uprzedzenia rasowe.

A potem był Nowy Jork. Jak w hollywoodzkiej bajce o sukcesie, w której nie dba się o prawdopodobieństwo, za to podkreśla filozofię Ameryki – kraju nieograniczonych możliwości. Wylądował tam z trzema dolarami w kieszeni, zatrudnił się jako pomywacz i sypiał na dachu rudery w pobliżu teatru Capitol. Kiedy przyszła zima, zaciągnął się do wojska, podając fałszywy wiek. Jednak nie wysłano go w cieplejsze okolice. Otrzymał służbę w szpitalu dla nerwowo chorych na Long Island. Wkrótce sam zaczął udawać przypadłości nerwowe, żeby się zwolnić. Trochę to potrwało, ale w końcu wyrzucono go z wojska wiosną roku 1945. I wtedy przeczytał ogłoszenie, że American Negro Theatre – teatr czarnych – poszukuje kandydatów na aktorów. Ogłoszenie, które zmieniło jego życie. Na zawsze.

Szczeble kariery

Przystojny, wysoki chłopak podobał się, ale mówił ze śmiesznym akcentem z Wysp Karaibskich. Nie miał szans. Okazało się jednak, że jest uparty. Przez kilka miesięcy uczył się wymowy z radia, zarabiając na utrzymanie wszelkimi możliwymi sposobami. Reżyser Frederick O'Neal zaczął udzielać mu lekcji w zamian za sprzątanie w teatrze nocami, po przedstawieniach. Dostrzegł w nim talent. Z czasem Poitier stał się dublerem wybijającego się aktora Harry'ego Belafonte i znalazł się na scenie.

W ciągu pięciu lat zagrał bodaj wszystkie role z ograniczonego repertuaru czarnoskórego aktora. A w 1950 pojechał do Hollywood. Znowu ukrył prawdziwy wiek: twierdził, że ma 27 lat, naprawdę miał 22. I otrzymał rolę więziennego lekarza, który walczy o autorytet w wirze gwałtownie narastającego konfliktu rasowego. Była to rola zapowiadająca typ bohatera, jaki miał odtąd konsekwentnie budować na ekranie. Pełen godności, ambitny i walczący z przesądami rasowymi Afroamerykanin. Ale nie tylko człowiek-pomnik. Poitier miał wiele ciepła i ujmującą osobowość. Był inteligentny i wzbudzał zaufanie. Miał uśmiech, którym podbił widownię. Urodzony gwiazdor.

Grał teraz w wielu filmach, jednak międzynarodową sławę przyniosła mu dopiero dramatyczna „Ucieczka w kajdanach” z roku 1958. Była to opowieść o dwóch zbiegłych więźniach, czarnym



Poitier i jego Oscar (Santa Monica, 1964)



Jego ekselencja ambasador wysp Bahama (Tokio, 1997)

i białym, skutych łańcuchem i mimo wzajemnej nienawiści zmuszonych do współdziałania. Zagubieni w bagnach, ścigani, rozpaczliwie walczą o przeżycie. Białym więźniem był Tony Curtis. Film zrealizował słynny z podejmowania kontrowersyjnych tematów Stanley Kramer. Dziś wydać się może historyczny w tonie i obciążony zbyt oczywistym przesłaniem, ale wówczas był niezwykle aktualny. Odnosił ogromny sukces i zapoczątkował całą serię mocnych, antyrasistowskich obrazów. Poitier, nominowany za tę rolę do Oscara, stał się ich gwiazdorem. Nie miał konkurencji.

Sukces i nienawiść

W pełni zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności. Chciał przełamać stereotyp i dlatego grywał czarnoskórych przedstawicieli średniej klasy, zamożnych, wykształconych, mądrych i szlachetnych. Po latach radził zaczynającemu karierę Denzelowi Washingtonowi: pierwsze trzy albo cztery filmy przesadzają o wizerunku na ekranie, jaki będzie się miało już zawsze. Świadomie grał więc rolę „większe niż życie”.

Udało mu się, sprzyjał temu także czas. Kiedy Martin Luther King Jr. otrzymał Nagrodę Nobla, a Thurgood Marshall wkraczał do historii jako pierwszy Murzyn w todze sędziego Sądu Najwyższego. Przemysł filmowy nagrodił



Z Katharine Houghton w „Zgadnij, kto przyjdzie na obiad” (1967)



Z Tonym Curtisem w „Ucieczka w kajdanach” (1958)

Poitiera Oscarem w roku 1964 i był to – do dziś – jedyny Oscar za rolę pierwszoplanową dla Afroamerykanina. Nagrodzony został za film „Lilie polne” – wzruszającą, ciepłą historię włóczęgi, który pomaga zakonnikom zbiegłym z NRD za ocean wybudować kaplicę.

W roku 1967 zagrał w trzech filmach uznanych za świadectwa przemiany wykraczającej daleko poza Hollywood. Przede wszystkim w komedii „Zgadnij, kto przyjdzie na obiad?”, w której córka białych liberałów sprowadza do domu czarnoskórego kandydata na męża, zmuszając rodziców do konfrontacji z głoszonymi ideami. To bodaj pierwszy film o romansie białej kobiety i czarnego mężczyzny, który skończył się *happy endem*. Zaraz potem był skromny brytyjski film „Nauczyciel z przedmieścia” z rolą wychowawcy, który zdobywa szacunek i miłość proletariackich, oczywiście białych, uczniów pełnych przesądów rasowych. Wreszcie sensacyjny dramat „W upalną noc” rozgrywający się w dusznej atmosferze rasistowskiego Południa, gdzie czarnoskóry detektyw musi sobie poradzić z okazywaną mu na każdym kroku wrogością. To były hity i Poitier znalazł się na pierwszym miejscu listy najbardziej kasowych gwiazd. Znowu jako pierwszy w dziejach czarnoskóry aktor.

Poza ekranem też starał się utrzymać wyobrażenie sukcesu. Jego małżeństwo z tancerką Juanitą Hardy było jak z reklamy: dwoje pięknych ludzi i piękne dzieci – cztery córki, które przychodziły na świat niemal co roku. Rozwiedli się po 15 latach, kiedy u boku Sid-

neya pojawiła się pełna temperamentu aktorka Diahann Carroll. Dopiero pod koniec lat 60. zastąpiła ją partnerka młodsza o 16 lat – tym razem biała. Poznał ją w Paryżu, na planie filmowym. Nazywała się Joanna Shimkus, miała blond włosy i niebieskie oczy. Pobrali się dopiero po kilku latach, w styczniu 1976, i nadal są małżeństwem. Mają dwie córki, z których młodsza – Sydney Tamiia Poitier – robi karierę aktorską.

Jednak u szczytu powodzenia nastąpiła gwałtowna zmiana. Zmieniła się polityczna atmosfera. Malcolm X, zabójstwo Martina Luthera Kinga i Czarne Pantery – wszystko to oznaczało radykalizację rasowego konfliktu. Ekstremistyczne ruchy odrzucały model społecznego kompromisu, jaki wyłaniał się z filmów Poitiera. Oskarżony o bierność w nowej sytuacji, został zaatakowany nawet przez „New York Times”. Wycofał się więc i w ukryciu, na Bahamach, gdzie spędził dzieciństwo, próbował przemyśleć swoje życie.

Być symbolem

Chwilowa ucieczka nie oznaczała jednak rezygnacji. Poitier powrócił, ale w innym charakterze – jako reżyser. Niemal na 10 lat porzucił aktorstwo. Już wcześniej, w roku 1968, napisał scenariusz romantycznej komedii tylko dla czarnoskórych wykonawców. Kilka lat później stanął za kamerą przy kręceniu filmu „Buck i kaznodzieja”, w którym sam też zresztą zagrał, obok Harry’ego Belafonte, kiedyś rywala, teraz przyjaciela. Jego kolejne filmy miały charakter komediowy, ale były *allblack* – wyłącznie z czarnoskórymi aktorami.

Takie odejście od dotychczasowej filozofii porozumienia stanowiło rodzaj manifestu. Radykalnego, mimo mało poważnej tonacji. Paradoks polegał na tym, że niemal wszystkie te filmy stawały się kasowymi przebojami z entuzjazmem przyjmowanymi przez publiczność niezależnie od koloru skóry. Przynajmniej jeden – „Czyste szaleństwo” z kapitalnym, już czarno-białym, duetem Richard Pryor – Gene Wilder – należy dziś do klasyki amerykańskiego kina.

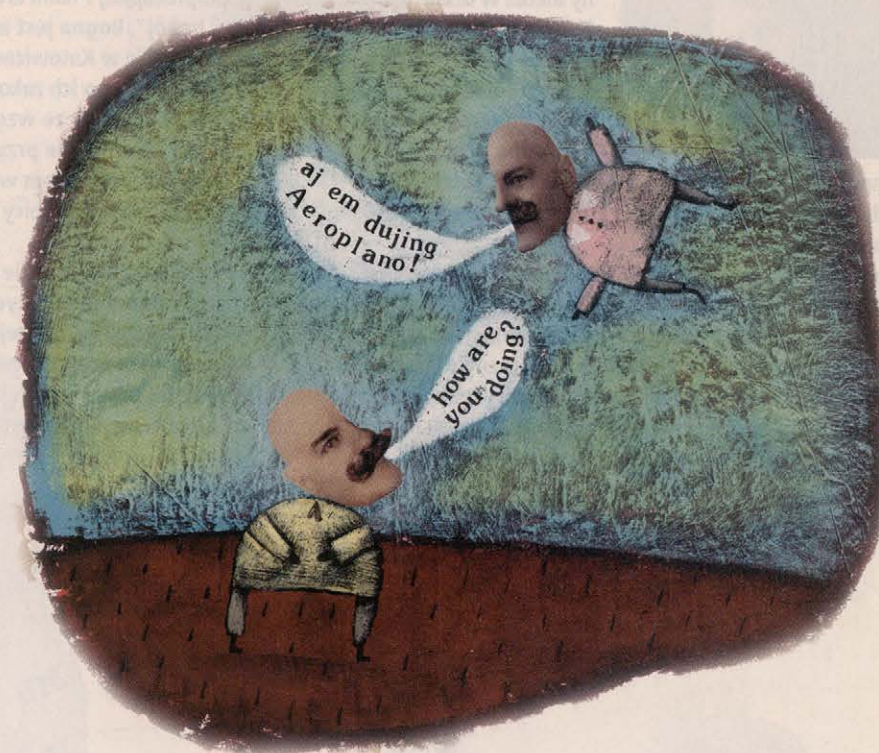
Energia Poitiera nie słabła. W 1997 r. objął urząd ambasadora wysp Bahama w Japonii. Pisał. A wcześniej powrócił do aktorstwa. Jego 55. rolą ekranową był Nelson Mandela w telewizyjnym filmie „Mandela i De Klerk”. Zagrał z siłą i pasją. Jakby chciał powiedzieć publiczności: „Patrzcie na mnie: oto, kim jestem!”.

Brzmi to patetycznie, ale dla Afroamerykanów Sidney Poitier pozostaje żywym symbolem walki i nadziei. Mierzył wysoko i otworzył drogę innym. W roku 1962 mówił, że jest jedynym Murzynem utrzymującym się z aktorstwa w przemyśle filmowym, który zatrudniał kilkanaście tysięcy aktorów. Od tej pory sytuacja zmieniła się zasadniczo. Czarnoskórzy aktorzy znaleźli się wśród hollywoodzkich gwiazd – James Earl James, Morgan Freeman, Will Smith, Denzel Washington – zresztą nie tylko oni. Filmy czarnoskórych reżyserów trafiają na listy kasowych rekordów. Horyzonty kina uległy poszerzeniu. Komu jak komu, ale Poitierowi należy się więc honorowy Oscar za szczególne zasługi dla amerykańskiego przemysłu filmowego.

ANDRZEJ KOŁODYŃSKI

Angielski all’italiano

We Włoszech angielskiego nie zna nie tylko premier, lecz także jego recepcjonistka. Nikt się tym nie przejmuje, wychodząc z założenia, że we Włoszech powinno się mówić po włosku



rys. JOANNA SZACHOWSKA

Jednym ze sloganów wyborczych Silvia Berlusconi’ego było: „Trzy razy »i« – Inglese, Internet, Impresa” (angielski, Internet, przedsiębiorstwo). Teraz opozycja i media mają używanie. Powiadają, że zgodnie z obawami Berlusconi’emu bez trudu udało się przekształcić rząd w przedsiębiorstwo (naturalnie własne), ale z angielskim i Internetem jest kłopot.

Prawda ta wyszła na jaw za sprawą portalu internetowego włoskiego rządu przeznaczonego dla użytkowników anglojęzycznych, w którym roi się o kuriozalnych błędach. Z notki po angielsku o wicepremierze Gianfranco Finim wynika, że jest synem niejakej Bolonii (zamiast: urodził się w Bolonii). A dalej: „Córka ma jednego. Narodowy sekretarz Człoa Młodzieży jest elektą zastępcą dla, zanim się przekreśli 26 czerwca 1983. Wybrać w maju 2001 do Izby Reprezentantów z większościowym systemem w *circoscrizione XV*”. Zdumienie czytającego ten tekst we własnym języku Anglika musi być tym większe, że *circoscrizione* (okręg wybor-

czy) może mu się kojarzyć wyłącznie z *circumcision*, czyli obrzezaniem. Hm... Fini jest szefem Sojuszu Narodowego.

Dowiadujemy się też, że minister spraw zagranicznych Renato Ruggiero był megafonem (zamiast: rzecznikiem) przewodniczącego Komisji Europejskiej. Natomiast Rocco Buttiglione, minister do spraw UE, studiował pod kierunkiem profesora Augusta z Orzecha Włoskiego, bo nazwisko del Noce z rozpędu również przetłumaczono na angielski (na: *Walnut*). Taki sam los spotkał uczelnię cieszącą się we Włoszech największym prestiżem – l’Universita Bocconi – która przemieniła się w Mediolański Uniwersytet Pełnych Ust albo Kęsa (*mouthful*), bo *la bocca* to po włosku „usta”.

Kiedy te rewelacje opublikował zaalarmowany przez czytelnika rzymski dziennik „La Repubblica”, nieszczęsna angielska strona internetowa wyszła z cyberprzestrzeni po angielsku – natychmiast, bez słowa. Dopiero następnego dnia rząd wydał komunikat, że autorem

tłumaczeń była... maszyna. Natychmiast pojawiły się podejrzenia, że użyto słynnej Enigmy.

Jednak z pozoru obłądny pomysł zastąpienia tłumacza maszyną (jeśli to prawda) we Włoszech dziwić nie może. Prawda jest bowiem taka, że Włosi – może poza mediolańczykami – nie władają językami obcymi. Mój brytyjski znajomy po żmudnej wymianie faktów po angielsku z biurem prasowym włoskiego rządu otrzymał zgodę na 20-minutowy wywiad z premierem Berlusconi’em. Przyleciał z Londynu do Rzymu, ale nie przewidział jednego: że w Palazzo Chigi (rezydencji rządu) i w siedzibie Forza Italia (partii Berlusconi’ego) nikt spośród portierów, recepcjonistek i karabinierów nie włada angielskim. Nie udało mu się sforsować bramy wejściowej i musiał z kwitkiem wrócić do Anglii. I może lepiej się stało, bo Brytyjczyk nie zdawał sobie również sprawy, że Berlusconi – autor hasła „*Inglese, Internet, Impresa*” – też nie zna angielskiego. Tu zresztą trafił swój na swego. Brytyjczykom, którzy

w ogóle nie znają języków, wydaje się, że cały świat mówi po angielsku, a jeśli nie mówi, to powinien.

Mówiąc krótko, we Włoszech trzeba mówić po włosku. Nie mówiąc już o pisaniu. Bolesnie przekonał się o tym ostatnio niemiecki kierowca TIR-a. Przesiedział kilkanaście godzin we włoskim areszcie, bo w dokumentach przewozowych było napisane *Laden* (po niemiecku „ładunek”). Celnikom skojarzyło się to z najbardziej poszukiwanym terrorystą świata.

Z drugiej strony, angielski pcha się do włoskiego słownika politycznego drzwiami i oknami. Mamy już *leadera*, *devolution* i ministerstwo *welfare*. Jednak na wskroś nowoczesny lider postkomunistycznej Partii Demokratycznej Lewicy Walter Veltroni wyraźnie przesolił. Wprawiając towarzyszy w osłupienie, wystartował w ostatnich wyborach pod amerykańskim hasłem: „*I care*” (Mnie zależy). Wybory naturalnie przegrał, a większość Włochów do dziś sądzi, że jego hasło było jakąś niejasną aluzją do Ikara.

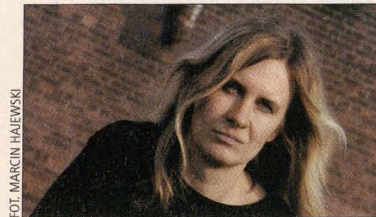
PIOTR KOWALCZUK

BOGNA OTTO-WĘGRZYN

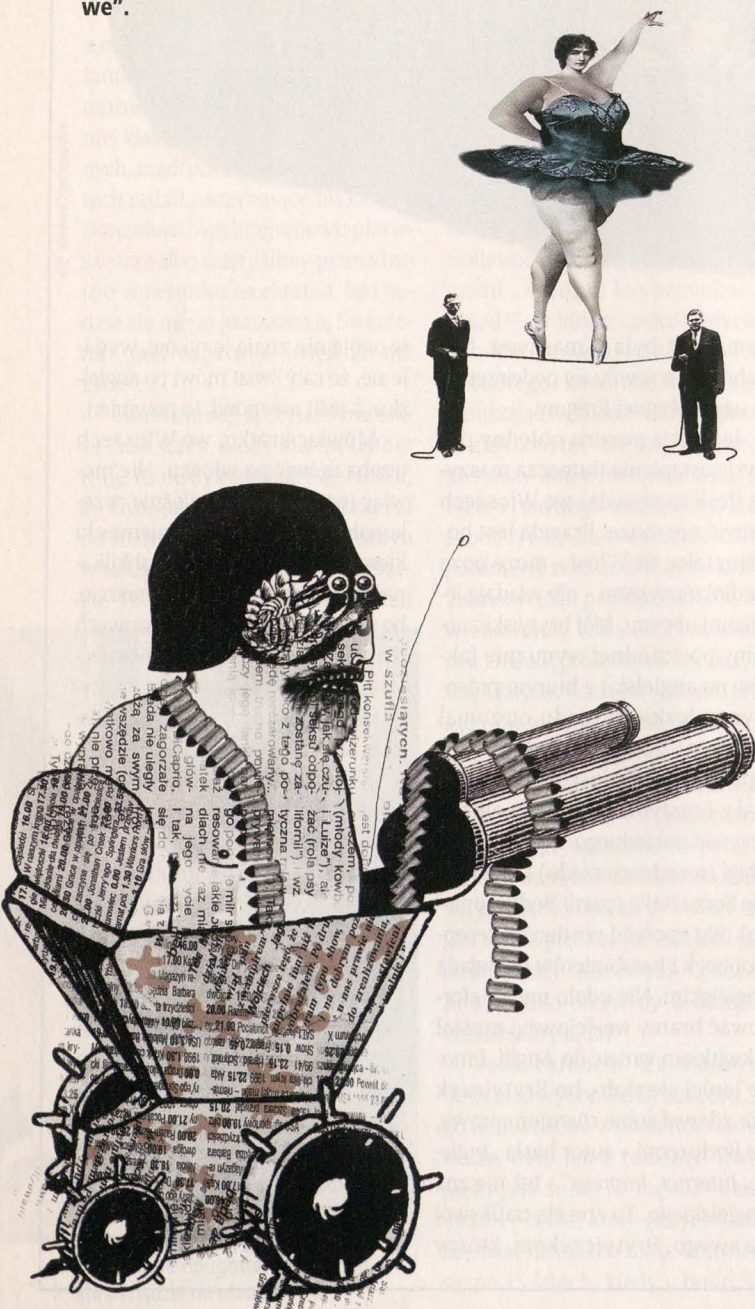
Jury Międzynarodowej Wystawy „Satyrykon 2002” przyznało srebrny medal w dziale humoru i satyry współpracującej z nami artystce Bogne Otto-Węgrzyn za cykl „Wojna i pokój”. Bogna jest absolwentką (1990) krakowskiej ASP (Wydział Grafiki w Katowicach). Sama o sobie pisze tak: „Podczas studiów i zaraz po ich zakończeniu zajmowałam się głównie malarstwem. Jednak ze względu na trudną sytuację gospodarczą kraju proceder ten nie przyniósł

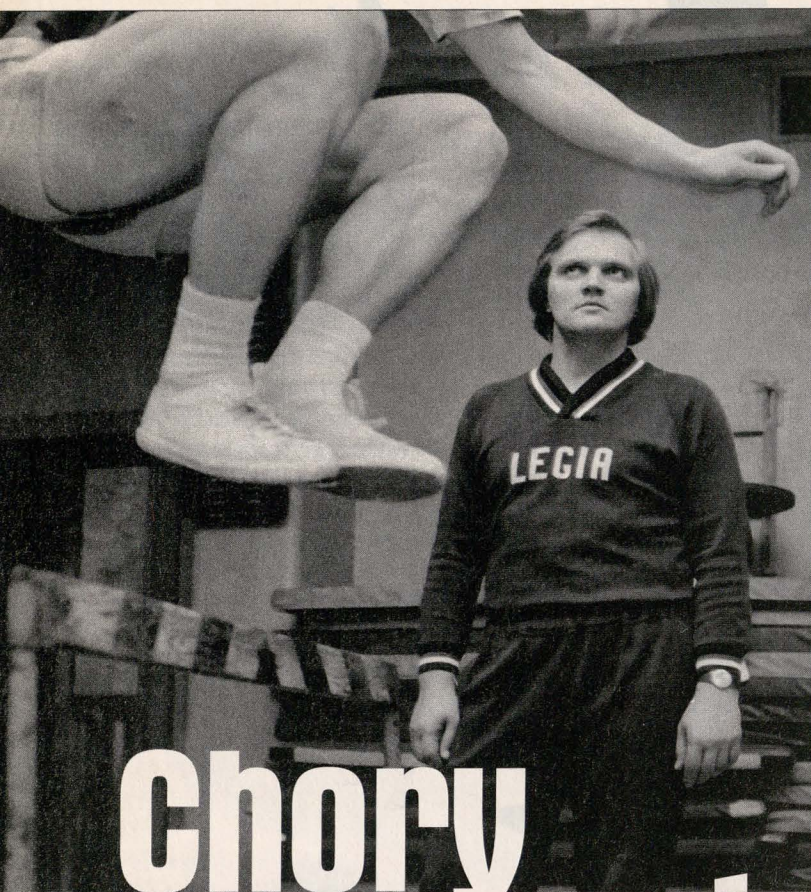
mi spodziewanych korzyści finansowych. Z kolei zajęłam się tendencyjnym ilustrowaniem wybranych zjawisk z życia człowieka i przyrody, uprawiając rysunek prasowy. Niektórzy Czytelnicy przysyłali mi listy z pogrózkami.

W rok po skończeniu studiów zetknęłam się po raz pierwszy z poligrafią działającą na bazie przygotowań komputerowych. Z konieczności nauczyłam się obsługi programów graficznych, co w tamtych czasach bywało o wiele zabawniejsze, gdyż wiedza nielicznych nauczających w tej dziedzinie zazwyczaj nie obejmowała całości zagadnienia i funkcjonowanie grafika w pracowni DTP miało nieustający aspekt śmiertelnego ryzyka i zaskoczenia. Nabyte w tej pracy umiejętności warsztatowe i wątpliwej wartości spostrzeżenia socjologiczne staram się obecnie wykorzystywać, realizując grafiki komputerowe”.



FOT. MARCIN HAJEWSKI





Chory na sport

FOT. PAUL FORUM

nauczyciela WF postanowił zostać siatkarzem. Choroba, na którą cierpiał Wagner, przytrafia się niewielu ludziom, bo większość normalnej populacji lekcje WF traktuje jak zło konieczne, a o ćwiczeniach fizycznych przypomina sobie na moment, gdy zwisające fałdy tłuszczu straszą w lustrze jak wyrzut sumienia. Dla nich sport wyczynowy to głupota, bo jaka mądrość może się kryć w doprowadzaniu organizmu do kresu wytrzymałości? Wystarczy popatrzeć i logicznie pomyśleć: pokurczone twarze maratończyków, zdeformowane stopy piłkarzy, artretyczne kolana siatkarzy. Na czym miałyby polegać przyjemność w skakaniu 400 razy dziennie przez metrowej wysokości płotek z 15-kilogramowym obciążeniem? A przecież taką właśnie zaprawę fundował Wagner swoim podopiecznym podczas treningów.

Nie, sport to nie jest zdrowie. Sport wyczynowy to nieuleczalna choroba. Dla tych, dla których staje się życiową pasją, szybko przeraża się w narkotyczną potrzebę współzawodnictwa. Tak jak istotą polityki jest pogon za władzą, tak sensem wyczynowego sportu jest nienasycona żądza zwycięstwa, która wymaga od zawodnika i trenera coraz to większej ofiary. W roku 1985 trener piłkarskiej reprezentacji Szkocji Jock Stein zmarł na atak serca podczas meczu swojej drużyny z Walią. W październiku ubiegłego roku francuski trener Liverpoolu Gérard Houllier dostał ataku serca podczas meczu ligowego. Do dziś nie wrócił do pracy.

Liczne są zastępy sportowców i trenerów, którzy nie potrafili opłacać niszczylielskiej natury sportu. A może to nie sport jest z natury diabelski, ale typy, które zaludniają jego świat? Może George Best i Gerd Müller zostaliby alkoholikami, nawet jeśli zamiast trafić w „okienko” na boisku, pracowaliby w okienku na pocztę? Może Kazimierz Deyna zginąłby w wypadku samochodowym nieszczęśliwy i opuszczony przez ludzi, nawet jeśli zamiast wykręcać „rogale” (tak nazywały się jego silnie podkreśnione strzały z wolnego), lepiłby rogałe jako piekarz?

Nawet przyjaciele Huberta Wagnera wspominają go jako człowieka ogarniętego manią zwyciężania. Drugie miejsce go nie intere-

sowało. Jakie tajemne motywacje nakazywały mu tak bezkompromisowy perfekcjonizm? Jaką charyzmą albo manipulacją przekonywał do siebie kilkuset dorosłych ludzi, którymi kierował na różnych etapach swojej kariery trenerskiej? Czy nie chodziło przypadkiem o wyzwanie w nich najbardziej wulgarne, demoniczne strachu? Strachu przed autorytetem trenera, przed krytyką, przed porażką, przed wypadnięciem ze składu?

Może i tak. Zwycięzców nie sędzi się za metody. Ale przecież nie sposób manipulować dorosłymi ludźmi bez ich współpracy. „Wagner wytworzył coś takiego, że w domu długo nie mogliśmy wytrzymać – mówił niedawno »GW« siatkarz Wagnera Tomasz Wójtowicz. – Po dwóch, trzech dniach ciągnęło nas z powrotem, jak marynarza na morze”. Ciągnęło, choć dla czego ciągnęło, nie zrozumie nikt, kto nie zna smaku sportowej klęski albo triumfu.

Czy domyślasz się, drogi Czytelniku, co mógł czuć Hubert Wagner albo którykolwiek z jego graczy, gdy piłka upadła za linią po ostatnim niecelnym uderzeniu Rosjanina w finale olimpiady w Montrealu? Czy wiesz, co czuł Kazimierz Deyna, gdy nie strzelił karnego w meczu z Argentyną w roku 1978? Nie masz o tym najmniejszego pojęcia, bo tego typu uniesienia i upadki zarezerwowane są dla nich – chorych na sport.

Co ciekawe, większości udaje się dotrzeć do końca kariery, przeżyć – wydawać by się mogło – najbardziej stresujące momenty, by polec dopiero w starciu z prozą dnia codziennego. Serca im pękają, wątroby martwią, gdy nie starcza pożywienia dla stresu: zwycięstw i porażek. Zabijają ich różne rzeczy: samotność, gorycz życia w zapomnieniu, brak aplauzu widowni. Hubert Wagner oddał ducha, gdy – jak napisał Zdzisław Ambroziak – „w jego ukochanej siatkówce zagnieździło się wszystko, czym gardził: zachłanność, hipokryzja, nieodpowiedzialność, kłamstwo”.

– No i co pan dobrego narobił? – spytał doktor Andrzej Wiczyński kierowcę z zakrwawioną twarzą.

– Zasłałem... – odpowiedział Hubert Wagner.

DARIUSZ ROSIAK

Hubert Wagner od wielu lat był chory. Właściwie zachorował w dzieciństwie, kiedy za namową nauczyciela WF postanowił zostać siatkarzem

– No i co pan dobrego narobił? – spytał doktor Andrzej Wiczyński kierowcę z zakrwawioną twarzą, który chwilę wcześniej staranował czerwoną nubirą sznur pojazdów na Wspólnej w Warszawie. Był 13 marca, kilka minut po 11. Doktor Wiczyński, chirurg z długoletnim stażem, który przypadkowo przechodził koło miejsca kolizji, z trudem wyłamał pocięte drzwi

w samochodzie i przystąpił do reanimacji rannego. Odpływał spod jego rąk w błyskawicznym tempie. Ani próby doktora Wiczyńskiego, ani 40-minutowe starania lekarzy z pogotowia nie uratowały kierowcy, który doznał ataku serca za kierownicą.

– Czy chociaż pan wie, kogo pan ratował? – pytał potem Wiczyńskiego policjant spisujący raport z wypadku.

– Nie mam pojęcia. Ratowałem człowieka.

– To był Hubert Wagner, ten trener.

Dla jednych po prostu człowiek, dla innych „ten trener”, dla kibiców, którzy pamiętają lata 70. – „Kat”, dyktator, który żelazną ręką poprowadził polską reprezentację w piłce siatkowej do mistrzostwa świata w Meksyku i triumfu na olimpiadzie w Montrealu.

Hubert Wagner od wielu lat był chory. Właściwie zachorował w dzieciństwie, kiedy za namową

43 mm
35 mm

1 MODUŁ

Już wkrótce w „Przekroju” nowe, tańsze, ogłoszenia modułowe, które możesz:

**– zamówić już za 600 zł,
– dowolnie powiększać, łącząc moduły,
– zlecić nam do zaprojektowania lub przysłać gotowe**

**PRZE
KRÓJ**

UWAGA

CENNIK:

1 MODUŁ	600 zł
2 MODUŁY	1200 zł
3 MODUŁY	1800 zł
4 MODUŁY	zgadnij lub negocjuj

do cen należy doliczyć podatek VAT – 22%

Szczegółowych informacji udziela:
Wydawnictwo Edipresse Polska SA
Biuro Reklamy „Przekrój”, ul. Wiejska 12
00-490 Warszawa
tel./faks (0-prefiks-22) 627 23 09, 626 96 17
e-mail: reklama.przekroj@edipresse.pl

90 mm
120 mm

TAJEMNICA PADMY 28

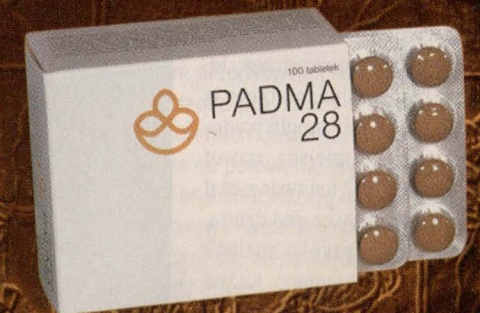
Nowoczesna medycyna odkrywa tajemnicę skuteczności starych receptur

Padma 28 – LEK 3 POKOLEŃ

Dla dzieci – naturalny sprzymierzeniec układu odpornościowego

Dla rodziców – kompleksowa profilaktyka miażdżycy, zapobiega zawałom serca i udarom mózgu

Dla dziadków – leczy zaawansowane postaci chorób krążenia, utrzymuje w formie fizycznej i psychicznej



TYMOFARM LECZYMY PRZYCZYNĘ CHOROBY
00-790 Warszawa ul. Willowa 8/10 lok. 41
tel. (0-22) 646-02-38, internet: www.tymofarm.pl

We współczesnym świecie chyba już każdy słyszał coś o czarnych dziurach. Najczęściej pojawiają się one w kontekście innych przepastnych dziur (ostatnio – budżetowej), trafiają nawet do bajek dla dzieci – chociażby rysunkowej „Różowej Pantery” czy książeczek Macieja Wojtyszki o przygodach Bromby i jej przyjaciół.

Czy jednak czarna dziura może być sympatyczna? To przecież prawdziwa gwiazda śmierci – wsysa wszystko, co pojawi się w jej okolicy, i więzi w swym środku na zawsze za pomocą nieskończonej wielkiej grawitacji. Nawet czas staje w miejscu wewnątrz tego kosmicznego kanibala, który sam kiedyś był gwiazdą, a teraz po kawałku pożera inne kosmiczne obiekty.

Jednak – choć wszyscy wiedzą, że czarne dziury istnieją – jest też grupka ludzi, którzy mają co do tego poważne wątpliwości. To naukowcy.

Są, choć ich nie ma

Czarną dziurę wymyślono, przebadano i opisano przede wszystkim za pomocą wzorów matematycznych.

Niemiecki astronom Karl Schwarzschild w iście bojowych warunkach – na froncie I wojny światowej – odkrył, że z teorii względności Einsteina wynika, iż grawitacja potrafi zakrzywić czasoprzestrzeń. Jeżeli będzie bardzo silna, zakrzywi ją tak, że nic nie będzie mogło wydostać się z takiego miejsca, nawet światło. W roku 1967 ten twór został oficjalnie ochrzczony czarną dziurą.

Astronomowie szybko znaleźli kandydatów do tego miana. Każda gwiazda z wiekiem robi się gęstsza – coraz mniej w niej wodoru i helu, a coraz więcej cięższych pierwiastków takich jak żelazo. Im gęstszy jest obiekt, tym silniejsze jego pole grawitacyjne. Bardzo masywna gwiazda może osiągnąć taką gęstość, że jej własna grawitacja ją po prostu zmiażdży. Będzie się zapadać sama w siebie, aż wreszcie stanie się nieskończeniem małym punktem otoczonym nieskończeniem silnym polem grawitacyjnym – czyli tak zwaną osobliwością.

Po czym astronom może poznać taki obiekt? Ano po tym, że go... nie widać. Takie miejsce pochłania wszelką materię i światło, więc teo-

Dziura w dziurze

JAN STRADOWSKI

Istnieją tylko
w wyobraźni naukowców.
Nikt ich nie widział
ani nie zmierzył.
Więc może w ogóle ich nie ma?
Albo... są wszystkim,
co istnieje?



FOT. SHUTTERSTOCK

Czarne dziury prawdopodobnie są bardzo powszechne w kosmosie. Wytycz wzrok i spróbuj znaleźć choć jedną na tym zdjęciu (podpowiedź – jest czarna)

retycznie powinno być czarnym punktem na tle nieba. No, ale niebo też jest czarne. Dlatego badacze szukali raczej śladów żarłoczości czarnej dziury. I okazało się, że faktycznie – są takie miejsca w kosmosie, gdzie z normalnej gwiazdy coś wysysa materię i wciąga ją tak mocno, że owa materia świeci, a potem znika.

Dziś znamy już wiele takich miejsc. Naukowcy uważają wręcz, że

bardzo masywne czarne dziury znajdują się w jądrach większości galaktyk, a więc także i naszej Drogi Mlecznej. Przymierzają się już do wyprodukowania miniaturowych dziur w laboratoriach, aby je lepiej zbadać.

A może nie ma ich, choć są?

Nadal jednak wszelkie badania dotyczą tworów czysto teoretycz-

nych. Owszem, widzimy coś, co wygląda jak czarna dziura, ale skąd wiemy, co znajduje się w jej środku?

Oczywiście dzięki obliczeniom. Naukowcy ustalili w ten sposób na przykład, że czarne dziury mogą wirować wokół własnej osi i posiadać ładunek elektryczny. Słynny Stephen Hawking odkrył, że zgodnie z prawami fizyki kwantowej powinny one nawet świecić, a więc po jakimś czasie każda z nich całkowicie „wyparuje”. Pojawiła się też teoria, że każdej wysysającej energię i materię czarnej dziury towarzyszy – gdzieś daleko w kosmosie – biała dziura, która wszystko, co pożarte, zwraca naturze.

Jednak nadal nie rozwiązano podstawowego problemu. Badacze czarnych dziur przyznawali, że w środku tychże załamują się znane im prawa fizyki. Otóż we współczesnej fizyce coś, co jest nieskończone – jak gęstość i grawitacja wewnątrz czarnej dziury – to dowód porażki. Nieskończoności sprawiają, że nie sposób sensownie wykonać jakichkolwiek obliczeń.

Nadeszła jednak odsiecz, która – jak to często w nauce bywa – wywróciła wszystko do góry nogami. Wybitny polski fizyk mieszkający w USA Paweł Mazur (reprezentujący Uniwersytet Karoliny Południowej) wraz ze swym kolegą Emilem Mottolą z Narodowego Laboratorium Los Alamos obliczyli bowiem, że czarnych dziur... nie ma.

Wszyscy jesteśmy w...

A w każdym razie nie ma takich czarnych dziur, jakie dotychczas znaliśmy. Zamiast nich mamy tak zwane niedoszłe czarne dziury, zwane w oryginale *gravastars*. Ta nazwa lepiej pasuje do ich charakteru, gdyż faktycznie to gwiazdy, których budowa i właściwości są bardzo silnie związane z grawitacją.

Określenie „niedoszłe” dotyczy zaś powstawania owych gwiazd. Otóż zdaniem Mazura i Mottoli proces zapadania się bardzo ciężkiej gwiazdy nie prowadzi do powstania nieskończonego małego punktu, ale zatrzymuje się wcześniej. Rolę hamulca spełniają tu prawa fizyki kwantowej.

Na pierwszy rzut oka *gravastar* wydaje się jeszcze dziwniejsza

od czarnej dziury. Jest bańką czy też skorupą zbudowaną z bardzo gęstej materii, o właściwościach niespotykanych w zwykłym Wszechświecie. Przykładowo, niedoszła czarna dziura o masie 50 naszych Słońc miałaby średnicę 300 kilometrów, ale grubość jej skorupy wynosiłaby zaledwie kilkadziesiąt metrów. Łyzeczka materii tworzącej skorupę ważyłaby sto milionów ton – pisze tygodnik „New Scientist”.

A co siedzi w środku? Poskręcana czasoprzestrzeń o bardzo nietypowych właściwościach. Nie pozwala ona na przykład, aby coś wydostało się z wnętrza *gravastar* – wszystko jest zwracane w kierunku środka tego dziwnego tworu.

Najciekawsze jednak jest to, że z zewnątrz niedoszła czarna dziura wygląda niemal dokładnie tak samo jak zwykła. Ma bardzo silne pole grawitacyjne, które wciąga okoliczną materię i światło. Jednak w tym przypadku nic nie ginie w otchłaniach osobliwości. Cokolwiek spadnie na skorupę *gravastar*, jest zamieniane w energię i wypromieniowywane na zewnątrz.

Tak więc niedoszła czarna dziura świeci – i to znacznie silniej niż zwykła. Takie zjawisko teoretycznie można by zaobserwować w kosmosie. Wtedy okaże się, kto miał rację – Stephen Hawking czy Paweł Mazur. A może odpowiedź będzie jeszcze inna?

Na razie koncepcja *gravastar* zbiera pochlebne, choć ostrożne, recenzje. Najważniejsze jest to, że pozostaje w całkowitej zgodzie z aktualną nauką i nie występuje w niej żadne nieprzyjemne dla fizyków nieskończoności.

Co więcej, właściwości czasoprzestrzeni zawartej w niedoszłej czarnej dziurze nie są całkiem nowe. – Gdybyśmy powiększyli niedoszłą czarną dziurę do rozmiarów naszego Wszechświata, okazałoby się, że zachowuje się ona identycznie – coraz szybciej się rozszerza. Więc my sami możemy się znajdować wewnątrz gigantycznej *gravastar*! – mówi Emil Mottola.

A czy w tych dziurach, które występują w naszym Wszechświecie, ukrywają się inne wszechświaty? Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Ale i tak warto pamiętać, że czarna dziura nie musi być kanibalem czy gwiazdą śmierci.

MARZENNA NOWAKOWSKA I PIOTR SOCHA przedstawiają:



KON BY SIE UŚMIAŁ

DOMKOKRAŻCY

Pąkle nie umieją ruszyć się z miejsca. A jednak znalazły sposób, by uprawiać orgie

Życie spędzają nieruchome, zamknięte w wapiennych domkach przypominających miniaturowe góry o gładkich zboczach. Przez ich uchylone wieczka wysuwają odnóża podobne do rybackich sieci i cierpliwie wyłapują drobinki pokarmu. Podróże odbywają tylko te, którym udało się osiedlić na ciele wieloryba, skorupie morskiego żółwia lub na dnie statków. Reszta nieruchomo tkwi na falochronach, skałach, wielkich głazach, wystawiona na bezlitosne uderzenia fal, ataki krabów, palące promienie słońca w czasie odpływu. Nic dziwnego, że jeżeli w tych warunkach w ogóle myślą, to z rzadka i tylko o seksie.

Pąkle są obojnakami. Przez kilka godzin odgrywają rolę samic, a potem samców. Nie mogą chodzić na randki, więc w gościnę do innych domków wysyłają... penisy. Zwierzak występujący w roli samca otwiera wieczko, wysuwa cienki, zwiny narząd, wielokrotnie dłuższy od właściciela, i zwiedza kolonię, w której mieszka. Odwiedziny w domku innego pąkla trwają niewiele ponad dwie sekundy, po czym samiec wycofuje się na krótko i znów wraca na mgnienie oka. Musi zachować czujność, bo na jego obnażony narząd



czyhają głodne kraby. Mogą go też urwać fale. Japońscy naukowcy, którzy po raz pierwszy filmowali zaloty dzikich pąkli, obliczyli, że jeden zwierz występujący w roli samicy w ciągu ponad godziny może przyjąć odwiedziny nawet 11 samców. Ponieważ wracają oni wielokrotnie, do zbliżenia dochodzi w tym czasie ponad 500 razy!

Na podstawie „Journal of Zoology” z lutego 2001

KRÓL NA DRUGĄ ZMIANĘ

Przez lata samce lwów oskarżano o lenistwo. Tymczasem światło dzienne ujrzały nowe fakty: one ciężko pracują! Ale nocą



To dziennikarze przedstawiali lwy w roli darmozjadów, choć – trzeba przyznać – opierali się na rezultatach wieloletnich obserwacji naukowych. Wynikało z nich, że na polowanie wyprawiają się głównie lwice, i to one dostarczają mięso grzywiastym samcom. Lwy żyjące samotnie również jedzą na cudzy koszt. Odpędzają od zdobyczy słabszych myśliwych – gepardy, likaony i hieny. Uczeń trochę tłumaczyli króla zwierząt, że mając rozmiary dwukrotnie większe od samic i do tego wielką grzywę, nie jest on w stanie niepostrzeżenie podejść do zdobyczy, czego z łatwością dokonują drobne lwice. Szczególne trudności przypisywano dominującym samcom, których grzywa przybiera barwę czarną już z daleka widoczną wśród płowych traw.

Najnowsze badania prowadzone w Parku Narodowym Krügera w Afryce Południowej udowadniają, że te oceny były wysoce niesprawiedliwe. Lwy są równie pracowitymi myśliwymi jak lwice. Wybierają nawet zdobycz większego kalibru – ogromne bawoły afrykańskie. Najlepiej poluje się im nocą i w wysokich trawach. Panie natomiast specjalizują się w zebrach i antylopach impala. Lew okazał się więc władcą w każdym calu. I to skromnym, bo nie pcha się w światła reflektorów!

Na podstawie „Journal of Zoology” z kwietnia 2001

Kłopoty wagi lekkiej

TEKST OLGA WOŹNIAK ✱ RYSUNKI PIOTR GIDLEWSKI



Masz problemy z sercem, w szkole nie szło ci za dobrze i na dodatek nie miałeś nigdy śmiałości do kobiet? Zamiast sprawdzać, czy to cechy twojego znaku zodiaku, zapytaj mamy, ile ważyłeś w chwili przyjścia na świat

„Pokaż mi, ile ważysz, a powiem ci, kim będziesz” – nad taką propozycją powinien się zastanowić (gdyby umiał) każdy rozsądny niemowlak. Na pewno zaś powinna o niej pamiętać przyszła matka.

Ostatnie badania wpływu wagi urodzeniowej dzieci na ich dalsze życie pokazują, że liczba kilogramów, z którymi przychodzi na świat, nie pozostaje bez znaczenia dla ich zdrowia, inteligencji, a nawet... stanu cywilnego.

Ciężki los lżejszych

W Polsce ośmioro na sto nowo narodzonych dzieci waży za mało. To dwa razy więcej niż w Europie Zachodniej. W USA zbyt niską wagę ma około 1 proc. niemowląt (w ciągu jednego roku przybywa tam blisko 40 tysięcy dzieci).

Powodem do zmartwienia niemowlaków i ich mam powinna być waga poniżej 2,5 kilograma. – Zbyt niska waga urodzeniowa sprzyja wadom wrodzonym, zespołowi zaburzeń oddychania, niedotlenienia wewnątrzmacicznego i urazom porodowym – mówi dr Michael Greene, dyrektor oddziału neonatologicznego w bostońskim Massachusetts General Hospital (USA).

Zespół naukowców pod kierownictwem dr. Greena przebadali 242 osoby urodzone w Cleveland w latach 1977–1979. Wybierano te, które dwadzieścia kilka lat temu przyszły na świat z bardzo niską wagą. Badacze interesowały choroby przez nie przebyte, ich iloraz inteligencji, przebieg nauki, nałogi. Wyniki porównano z danymi ich rówieśników, którzy, przychodząc na świat, ważyli ponad 2,5 kilograma. Wnioski badacze opublikowało pismo „New England Journal of Medicine”.

Okazało się, że „lżejsi” częściej zapadali na astmę, mieli słabszy wzrok, gorszą koordynację ruchową. Częściej dochodziło u nich do porażenia mózgowego przy porodzie. Byli także bardziej podatni na przewlekłe choroby (cukrzycę, alergie, choroby układu krążenia). Dzieci „wagi lekkiej” jako dorośli nie osiągały też zwykle takiej samej sprawności intelektualnej co ich rówieśnicy o odpowiedniej liczbie kilogramów. Mieli przeważnie niższe IQ, rzadziej kończyli wyższe studia albo szkoły pomaturalne.

Jest jednak coś na pocieszenie. „Lżejsi” rzadziej w dorosłym życiu uzależniają się od narkotyków i alkoholu! – Być może dlatego, że używkami nie musieli rekompensować sobie braku uwagi ze strony rodziców – spekuluje dr Michael Greene. – Jako dzieci byli z reguły słabsi i bardziej chorowici od rówieśników. Rodzice zwykle troszczyli się o nich bardziej niż o grubaski.

Inteligencja w kilogramach

Dlaczego jednak niska waga urodzeniowa ma wpływ na to, czy skończymy uniwersytet, czy tylko zawodówkę? Jednym z najczęstszych powodów niedowagi są przedwczesne narodziny.

Naukowcy z Yale University przy użyciu magnetycznego rezonansu jądrowego zbadali mózgi 25 ośmiolatków, których przeciętna waga w chwili urodzenia wynosiła 907 gramów (wszystkie dzieci urodziły się pomiędzy 26. a 33. tygodniem ciąży). Dla porównania badaniu poddano również 39 dzieci, które przyszły na świat z wagą ponad trzech kilogramów.

Okazało się, że po ośmiu latach od urodzenia były wcześniejsze rejony mózgu – korę sensomotoryczną oraz płaty skroniowe. Odpowiadają one między innymi za przetwarzanie i odbieranie bodźców słuchowych, pamięć oraz niektóre funkcje mowy. Rejony te były u nich mniejsze o 11–35 proc. Także wyniki testów na inteligencję okazały się u „lekkich” dzieci gorsze – 50 proc. urodzonych z wagą poniżej kilograma miało kłopoty z nauką, a jedna piąta powtarzała rok.

Im mniej ważyły niemowlaki, tym bardziej były narażone na takie zaburzenia.

Niemowlę rośnie w cieple

Obok przedwczesnego przyjścia na świat za niską wagę urodzeniową może być odpowiedzialnych więcej przyczyn, na przykład infekcja przebyta w ciąży przez matkę, sztuczne wywołanie porodu z powodu komplikacji albo ciąża mnoga. Ryzykiem urodzenia dziecka z niedowagą obciążone są też ko-

biety cierpiące na nadciśnienie i padaczkę.

Najnowszy numer „Psychosomatic Medicine”, powołując się na badania amerykańskich naukowców, podaje, że źródłem niedowagi dzieci należy szukać także w... psychice matek. – Waga urodzeniowa noworodka może zależeć od wsparcia społecznego, jakie otrzymała matka w trakcie ciąży – uważa dr Pamela Feldman z University of California w Los Angeles, kierownik zespołu badawczego. – Jego niedostatek może spowodować ograniczenia w rozwoju płodu i przyczynić się do niskiej wagi niemowlaka – mówi.

Aby sprawdzić tę tezę, naukowcy przebadali 250 przyszłych matek, próbując ustalić, czy mają one przyjaciół, do których mogłyby zwrócić się o pomoc i wsparcie po porodzie. Chcieli również stwierdzić, czy kobiety mogą liczyć na swoich rodziców, i wreszcie, czy ojciec dziecka będzie pomagał (między innymi finansowo) przyszłej mamie. Odkryto, że panie, które podczas ciąży nie czuły się osamotnione, urodziły dzieci o wyższej wadze.

– Pocucie wsparcia społecznego łagodzi reakcje organizmu matki na stres, przez co płód może bezpiecznie się rozwijać – wyjaśnia dr Feldman. – Dodatkowo bliskie osoby mogą zachęcać ciężarne do zdrowego stylu życia: rzucenia palenia, lepszego odżywiania, niedużego kawy, alkoholu, leków. Z naszych badań wynika również, że kobiety czujące bliskość i opiekę partnera czy rodziców częściej poddają się leczeniu chorób mogących wpływać na wagę urodzeniową ich dzieci, takich jak schorzenia serca czy wysokie ciśnienie krwi.

Okazuje się też, że zbawienne działanie mają nie tylko ciepłe gesty rodziny czy przyjaciół, lecz także zachowanie pielęgniarek i pracowników socjalnych. Kobiety czują się bezpieczniej, gdy spotykają się z serdecznością z ich strony oraz gdy są dobrze poinformowane o przebiegu ciąży i porodu.

Zważony narzeczony

Wszystko to jest ważne nie tylko ze względu na zdrowie i inteligencję przyszłych pokoleń, lecz tak-

że dlatego, iż mężczyźni, którzy urodzili się jako chucherka... rzadziej się żenią. Na łamach „British Medical Journal” donosi o tym międzynarodowy zespół naukowców.

Wiadomo, że mężczyźni stanu wolnego częściej zapadają na choroby układu krążenia i żyją krócej niż ich żonaci koledzy. Naukowcy mieli różne pomysły mające wyjaśnić to zjawisko. Odwracali kota ogonem, twierdząc, że to zdrowi mężczyźni częściej się żenią. Przypuszczali również, że wchodzi tu w grę czynniki społeczne i psychologiczne wynikające ze wspólnego życia z drugą osobą. Innym możliwym wyjaśnieniem był fakt, że czynniki decydujące o samotnym życiu mężczyzny pozostają w jakimś związku z jego podatnością na rozwój chorób układu krążenia.

Skądinąd wiadomo, że ryzyko zapadnięcia na choroby serca jest większe przy niskiej wadze urodze-

niowej. Badacze pod kierunkiem prof. Davida I.W. Phillipsa z amerykańskiego Southampton General Hospital postanowili ruszyć tym tropem. Zaczęli badać, czy istnieje jakiś związek pomiędzy wagą urodzeniową a przyszłym stanem cywilnym danego mężczyzny.

Zespół uczonych z Southampton General Hospital, National Public Health Institute w Helsinkach oraz z Concord Hospital w Sydney w Australii przeanalizował dane dotyczące ponad trzech tysięcy mężczyzn, którzy urodzili się w University Central Hospital w Helsinkach w latach 1924–1933. Należeli oni do pokolenia, w którym małżeństwo było uważane za normę społeczną. Uczni porównali dane, jakie zebrano o noworodkach tuż po urodzeniu, z informacjami na temat wagi i wzrostu tych chłopców w wieku 15 lat. Potem wrócili do nich, gdy stali się już dorosłymi mężczyznami (czyli w latach 70.), i sprawdzili ich stan cywilny, przynależność do grupy społecznej i dochody.

Co się okazało? Szanse na zawarcie małżeństwa rosły o 1,42 raza z każdym kilogramem urodzeniowej wagi ciała noworodka! Ten stan rzeczy utrzymywał się przez resztę ich życia. 259 z badanych mężczyzn, którzy w wieku 15 lat ważyli o 2,4 kilograma mniej i byli niżsi o dwa centymetry od rówieśników, nigdy się nie ożeniło. Pochodzili też z uboższych i mniej wykształconych grup społecznych.

– Ciężar chłopca w życiu płodowym ma związek z rozwojem jego mózgu, a co za tym idzie – i z jego późniejszymi cechami osobowości, reakcjami emocjonalnymi, temperamentem, które w przyszłości determinują wybór partnerki – wyjaśnia prof. David I.W. Phillips. – W ten sposób związek, jaki występuje pomiędzy przyszłym stanem zdrowia mężczyzny i jego stanem cywilnym, może być kształtowany już w brzuchu matki.

Warto o tym wszystkim pamiętać, chociaż nie należy wpadać w panikę, gdy okaże się, że nasz nowo narodzony potomek ma mniej fałdek niż należy. Może nie będzie tak źle, skoro chuderlakami w dzieciństwie były takie sławy jak Izaak Newton, Karol Darwin, Wiktor Hugo, Wolter czy Napoleon Bonaparte.



Muzyka zaklęta w kamieniach



Kiedy gram w takich wnętrzach jak kościół, natychmiast czuję, że te kamienie słyszały o wiele więcej muzyki ode mnie, mam wrażenie, że budzę pamięć świątyni, o wiele starszą i pełniejszą od mojej

MAGDALENA ŁOŚ, JACEK HAWRYLUK: Czy to prawda, że grał Pan kiedyś też muzykę rockową i jazz?

JORDI SAVALL: Tak, gdy miałem 13-14 lat. To było w epoce Elvisa Presleya, w połowie lat 60. Grałem na gitarze, perkusji i organkach.

Za to będąc studentem, odkrywał Pan symfonie Beethovena. Zanim nagrał Pan III Symfonię, upłynęły całe dekady.

– Dokładnie tak. Ale wiele jest rzeczy, których jeszcze w życiu nie zrobiłem...

Na przykład?

– Pasje Bacha. Albo „Mesjasz” Haendla, albo „Cztery pory roku” Vivaldiego... [śmiech]

...to już chyba najwyższy czas, by je nagrać?

JORDI SAVALL

Muzyk, gambista, dyrygent, szef trzech zespołów (Hespèrion XXI, La Capella Reial de Catalunya, Le Concert des Nations) wykonujących muzykę dawną, producent, szef firmy płytowej Alia Vox. Wraz z żoną – śpiewaczką Montserrat Figueras – od lat propaguje tradycyjną muzykę katalońską i sefardyjską. W jednym z pierwszych programów zestawiał muzykę żydowską i chrześcijańską, tworząc muzyczną panoramę średniowiecznej Hiszpanii. Przygotował ścieżkę dźwiękową do filmów „Wszystkie poranki świata”, „Joanna d’Arc” i „Markiza”.

– Nie widzę powodów, by robić to teraz, ale któregoś dnia na pewno je nagram. Dlaczego nie? Pasje to co innego. Czuję ogromny szacunek do tej muzyki i mam już w głowie pewien idealny sposób, w który mógłbym je nagrać – mam na myśli rodzaj brzmienia. Odnalazłem już głosy, które mnie interesują, i w ten sposób bardzo powoli przygotowuję mojego idealnego Bacha. Zapowiada się to na wyjątkowe przedsięwzięcie, jakiego nigdy jeszcze nie realizowałem.

W przeciwieństwie do innych artystów Pan znany jest z filozoficznego podejścia do muzyki. Posługuje się Pan językiem humanisty, co w dzisiejszym muzycznym świecie wydaje się rzadkością.

– A wielka szkoda, ponieważ muzyka jest tak bardzo związana z człowiekiem. Jej podstawową funkcją jest to, by ludzie mogli się między sobą porozumieć, by mogli być szczęśliwi, by wspólnie podążali do źródeł piękna.

Jednak to wymaga doskonałego porozumienia ze współpracującymi muzykami, co takie łatwe chyba nie jest...

– Muzyków, z którymi współpracuję, zawsze wybieram osobiście. Nie oddzielam człowieka od muzyki. Gdy wspólnie gramy, wchodzimy w relacje niemal intymne, otwieramy przed sobą serca. Nie można się całkowicie otworzyć przed osobą, do której nie ma się zaufania.

Ostatnio na przykład wystawialiśmy „Orfeusza” Claudia Monteverdiego. Przez półtora miesiąca ponad sto osób żyło razem: śpiewacy, instrumentalniści, tancerze, asystenci. Dla mnie było to niezwykle ważne,

Z JORDI SAVALLEM ROZMAWIAJĄ MAGDALENA ŁOŚ I JACEK HAWRYLUK

by ich wszystkich poznać i dowiedzieć się, jakimi osobami są na co dzień. Najbardziej zdumiewające okazało się jednak to, że wszyscy, cała setka, czuliśmy się doskonale. Oczywiście jeden jest bardziej uciążliwy, drugi mniej, ktoś tam jest obraźliwy, inny zanadto nerwowy. Ale wszyscy przynależą do jednej grupy. Wiele śpiewaków i instrumentalistów pod koniec naszej pracy powiedziało mi, że nigdy wcześniej nie czuli się tak fantastycznie podczas wystawiania opery. Z reguły każdy chodzi swoimi ścieżkami, siedzi w swoim pokoju, nie ma kontaktu z innymi. A tutaj wszyscy czuli się jak w rodzinie.

Przyznaję, jestem okrutnie wymagający wobec muzyków, z którymi pracuję. Ale gdy ktoś popełnia błąd, uśmiewam się. Nie robię awantury, później jednak rozmawiam. Pytam, co się stało, doradzam większą koncentrację. Staram się zrozumieć, w czym tkwi problem. Proszę pamiętać, że każdy z nas jest inny. To, kim jesteśmy, jest rezultatem ewolucji, w której liczy się całe nasze życie: dzieciństwo, edukacja, rodzina...

Często powtarza Pan, że piękna interpretacja powstaje wtedy, gdy nie słysząc w niej perfekcji i rutyny, ale gdy muzyk przechodzi samego siebie. Czy nie odnosi Pan wrażenia, że dzisiaj coraz trudniej odnaleźć interpretacje tworzone z pasją i sercem?

– Dzieje się tak, ponieważ żyjemy w ciągłym pośpiechu. Nie mamy na nic czasu. Kiedy patrzę wstecz, przypomina mi się Pablo Casals. Między dniem, kiedy odkrył on „Suty” Bacha w małym sklepiku w Barcelonie, a koncertem, kiedy po raz pierwszy publicznie je wykonał, minęło prawie 12 lat. Ja zacząłem grać muzykę Marina Marais na violę da gamba na początku lat 60., zaś zacząłem ją nagrywać 10 lat później. Wcześniej ćwiczyłem, studiowałem,

grałem koncerty. Dziś niezwykle rzadko udaje się odnaleźć ludzi, którzy pracują 10 lat, po to by coś zagrać na koncercie czy zarejestrować na płycie. Student, który po pierwszym czy drugim roku nauki nie dał jeszcze koncertu albo nie uczestniczył w nagraniu płyty, wydaje się sfrustrowany.

Szybkość tego wszystkiego, co się dzieje w świecie, sprawia, że nie mamy czasu, by poznać coś dogłębnie. W przeszłości poświęcaliśmy bardzo dużo czasu na czytanie książek. Spędzałem całe godziny na czytaniu i studiowaniu dawnych traktatów. Dzisiaj sięga się po streszczenia. Niewiele studentów – choć oczywiście są wyjątki – poświęca czas na pójście do biblioteki i własne poszukiwania. Dzieje się tak, ponieważ wszyscy od razu chcą być świetnymi wykonawcami. Dzisiaj mamy więcej muzyków wykonujących dawny repertuar niż na przykład w latach 70. Konkurencja jest znacznie większa, a przez to i obciążenie psychicznie bardziej dotkliwe. Trzeba walczyć o swoje i należy to robić szybko, by ktoś cię nie ubiegł. Ale to bardzo niebezpieczne.

Proszę pamiętać, że wszystkie rzeczy przychodzą przecież same z siebie, w odpowiednim czasie. Tak podpowiada mi moje wieloletnie doświadczenie. Należy codziennie uczciwie wykonywać swoją pracę, a pewnego dnia będziemy zbierać jej owoce. Ale nie stanie się to w dniu, w którym na to czekamy. To będzie nieznanym dziełem, kiedy wszystko samo się ułoży. Filozofia zen mówi, że każda droga ma swój koniec i że najważniejszą rzeczą jest cierpliwe podążanie nią. Gdy tak będziemy czynić, osiągniemy cel.

Granie przed publicznością to ekshibicjonizm, czasami dość trudny psychologicznie. Czy praca w studiu daje Panu więcej komfortu?

– Właściwie nie nagrywam w studiu. Studio jest zimne, martwe... Lubie pracować w miejscach, w których czuje się historię. Kiedy gram w takich wnętrzach jak kościół w Cardonie, natychmiast czuję, że te kamienie słyszały o wiele więcej muzyki ode mnie. Tam muzyka już jest. Grając w takiej przestrzeni, mam wrażenie, że budzę pamięć świątyni, o wiele starszą i pełniejszą od mojej. Właśnie wtedy rozpoczyna się dialog z muzyką zakletą w kamieniach, z ich pamięcią dźwięków przeszłości. To rzecz absolutnie wyjątkowa... Kamienie nie są martwe, są świadkami obdarzonymi pamięcią – to było dla mnie sensacyjnym odkryciem. Pamięć nie jest wyłącznie atrybutem żyjących. Już sam kościół zbudowano w taki sposób, że w jego konstrukcję wpisane jest życie. Kiedy wchodzi się do środka i coś mówi, nasz głos za każdym razem brzmi inaczej – gdy kościół jest pusty, gdy są w nim ludzie...

Jeśli na koncert przyjdzie dwa tysiące ludzi, każdy zachowa go w pamięci, choć każdy w inny sposób. Wspomnienia będą silniejsze lub słabsze, mniej lub bardziej magiczne,

zależne od nastroju, od tego, z kim przyszło się na koncert. Jeśli jesteś zakochany, wspomnienia będą mocne i wyraźne, jeśli akurat źle się czujesz, zapamiętasz to inaczej...

Natomiast płyta jest dla mnie sposobem zatrzymania pamięci, zamknięcia jej w małym przedmiocie i ożywiania przy każdym naciśnięciu klawisza. Dźwięk nie jest nieruchomy, on wędruje... Magią nagrania jest uchwycenie dźwięku w jego „podróż” między chwilą, kiedy opuszcza usta śpiewaka, a momentem gdy dotyka drzwi niebios.

A więc technika to tylko środek otwierający nam drzwi do świata artysty?

– Właśnie tak. W tym sensie jest ona tylko pośrednikiem. Dlatego zawsze tak ważne jest dla mnie „ustalenie” dźwięku. Jestem gotowy poświęcić temu każdą ilość czasu. W kościele w Cardonie nagrywamy ponad 26 lat. I nawet po tylu latach – mimo że tak świetnie znamy akustykę tego wnętrza – nadal godzinami ustawiamy mikrofony i poszukujemy naszego ideału. To dziwne, ale w niczym nie pomagają wszystkie

wcześniejsze doświadczenia. Za każdym razem inna jest wilgotność powietrza, temperatura... Niby wiemy, na jakiej wysokości powinny stać mikrofony dla wokalistów, jak należy je rozmieścić dla zespołu instrumentalnego, znamy wiele szczegółów akustycznych, jednak zawsze musimy słuchać, zastanawiać się i szukać nowych rozwiązań.

Niekiedy po kilku latach wykonywania jakiegoś utworu myślimy, że doskonale go znamy, gdy jednak przyjeżdżamy do Cardony, wchodzimy do kościoła i próbujemy, nagle okazuje się... że pracę trzeba zacząć od początku! Zdarza się, że w środku nocy znajdujemy już rozwiązanie, ale gdy rano wracamy, okazuje się, że można by jeszcze wiele poprawić. No, ale w końcu jednak trzeba się zatrzymać, coś wybrać, podjąć decyzję. Dla mnie jednak chwila, kiedy nie można już niczego zmienić, jest bardzo frustrująca.

Od ubiegłego roku jest Pan stałym felietonistą magazynu muzyki dawnej „Goldberg”. Pierwszy Pana tekst rozpoczął motto zaczerpnięte z „Notatnika” Eliasa Canettiego z 1942 roku,

w którym autor postrzega muzykę jako prawdziwie żywą historię ludzkości wyrażającą nasze najgłębsze uczucia. Ta jedność człowieka i muzyki jest Panu bardzo bliska. To filozofia, której pozostaje Pan wierny od wielu lat.

– To prawda, bowiem człowiek, jeżeli chce pozostać człowiekiem, musi odnaleźć harmonię we wszystkim, co robi: poczynając od relacji z samym sobą, z innymi, w kontaktach ze światem. Jednym z największych problemów naszej epoki jest to, że wszystko się rozdziela. Panuje powszechne przekonanie, że można być pełnowartościowym człowiekiem, ale jednocześnie niszczyć świat, że można być człowiekiem honoru i wykonywać innych. Oddziela się to, co się robi na co dzień, od tego, kim chciałoby się być. Tekst Eliasa Canettiego pozwala się zastanowić i odnaleźć sens tej filozofii, która powinna być prawdziwą filozofią ludzkości.

I którą można odczytywać także w kontekście muzyki.

– Niekoniecznie. W swoich felietonach staram się mówić nie tylko o muzyce, lecz pokazywać ją w kontekście życia codziennego. Wydaje mi się, że jednym z największych przekleństw naszej epoki jest specjalizacja. Oczywiście może być ona pozytywna, gdy pozwala zgłębić określony problem, ale staje się wręcz nieznosna, gdy przeszkadza nawiązać kontakt z innymi dziedzinami. Życie duchowe, wewnętrzne człowieka jest najważniejsze, ale rozwija się tylko wtedy, gdy człowiek jest w stanie żyć pełnią życia. Oczywiście to w dużym stopniu utopia, bo przecież wszyscy jesteśmy ograniczeni czasem i wykonywanymi obowiązkami. O wartości człowieka nie decyduje jednak styl i sposób życia, ale codzienne postrzeganie świata w jego integralności, a nie tylko w drobnych fragmentach. Prawdziwego życia nie odnajdziemy w gazetach, nie zobaczymy w telewizji. Dziennikarze zbyt często widzą tylko kawałek kamienia, nie dostrzegając w nim Mojżesza, który tam jest. Oglądamy kamień, a nie dzieło z niego stworzone. I to dlatego potrzebujemy trzeciego, wewnętrznego, oka.

Rozmawiali
MAGDALENA ŁOŚ
I JACEK HAWRYLUK

Piękna rzeźba ze śniegu

WSPOMNIENIE O MARIANIE HEMARZE (4 IV 1901 – 11 III 1972)

„Pewnej zimy – mówi Vasari – gdy wiele śniegu spadło we Florencji, Piotr Medyceusz posłał po Michała Anioła, by na dziedzińcu pałacu wykonał figurę ze śniegu; i była to rzeźba niezwykła”. Międzywojenne dwudziestolecie było taką właśnie rzeźbą – niezwykłą, ale ze śniegu.

Tuż przed wybuchem wojny w Stawisku Iwaszkiewiczów zebrał się goście ze sfer literackich. Baliński siadł do fortepianu i grał cały wieczór szlagiery dwudziestolecia. „Jedno *shimmy* po drugim, jedno tango po drugim, a myśmy słuchali tak, jakbyśmy wiedzieli, że to minęło na zawsze”. W ostatnią niedzielę sierpnia 1939 roku topniała przed nimi piękna rzeźba ze śniegu.

10 lat później moja matka tłukła co dzień w pianino w sąsiadującym ze Stawiskiem zetempowskim ośrodku w Turczynku. W kolejce EKD spotykała wciąż ponurego, okutanego w szale i jakąś babską pelisę, Iwaszkiewicza. Nigdy nie poznał w niej roześmianej uczennicy Lefelda i Różyckiego z któregoś z tużprzedwojennych balów.

Po pracy matka otwierała burżujski relikwiarz, fortepian, i zaczynała grać przedwojenne przeboje Hemara, z którym poznał ją kiedyś pianista Adolf Rezler: „Pensylwaniec”, „Małego żigolo”, „Czy pani Marta jest grzechu warta”, „Wspomnij mnie”. Był to obłok, w którym kryła się przed światem. I wciąż kupowała nuty, bo Marian Hemar napisał blisko dwa tysiące piosenek. I tak na tekstach Hemara uczyłem się mówić.

*Zakochany księżyc
Włóczy się po niebie,
Pewnie go coś dręczy,
Pewnie smuci się.
I ja smutny chodzę,
Wśród gwiazd szukam ciebie,
A księżyc – kto go tam wie? –
Pewnie też mu źle!*
– dzwoniło w zamknięte okno,



Dzięki jego piosenkom mieszkańców naszego kraju spowijał niegdyś obłok lirycznego żartu

za którym widniał ceglany komin mokotowskiego więzienia. Można tam było trafić za niedawną „Piosenkę o mojej Warszawie” zbiegłego na Zachód Harrisa, a co dopiero za wroga ludu Hemara.

Ów głos z tamtego świata podszepnął mi wkrótce, że matka – i reszta dorosłych – pochodzą z tajemnej krainy, do której nigdy nie będę miał wstępu. Głos Hemara dał mi zaznać gorzkiego smaku wydziedziczenia. Ale czym była moja gorycz wobec jej goryczy?

Pamiętam, jak z pliku nowo kupionych na bazarze nut wypadł program jakiejś rewii. Z jednej strony był fotos pani w bardzo długich, siatkowych pończochach, a z drugiej taki mniej więcej tekst:

Modele futer w pierwszym finale z firmy Tytus Kowalski, toaleta

M. Gabrieli z firmy B. Myszkorowski, kapelusz M. Gabrieli z firmy Chapeaux de Luxe, pantofle Zizi Halamy z firmy Dobrobut, toaleta St. Karlińskiej z firmy Zuzanna, przybranie z futra St. Karlińskiej z firmy L'Hiver, toalety J. Piaskowskiej z firmy Gustaw Zmigryder, garnitur T. Olszy z firmy H. Lipszyc, frak J. Rolanda z firmy P. Borkowski, smoking L. Sempolińskiego z firmy B. Schneider; wszyscy panowie w drugim finale ubrani przez firmę A. Chojnacki, owoce i pióra z firmy Lilja, gramofon na poczekalni z firmy B. Rudzki...

Zażądałem wyjaśnień i mama się popłakała. Bo dotykany był z tego wszystkiego tylko Hemar. Dotykany, lecz nierzeczywisty. Tak Hemar, wywołując z nicości

świat zaginionych uczuć, niepodobne do ruin Marszałkowskiej egzotyczne kraje, luksusową psychologię, jakiej nie zdradzał nikt prawdziwy, dał mi poznać magiczną moc nostalgii w głosie mojej matki.

Lecz czym była jej gorycz wobec jego goryczy? Inną goryczą, której z kolei my niezdolni byliśmy pojąć. Okazało się to od lat 50., gdy jego żywy głos zaczął dobiegać z radia. Były to dosyć długie rymowane felietony. O Stalinie, Bierucie, Churchillu i Cyrankiewiczu. Wciąż nowe, lecz takie same. Wrzące jak ciekły azot od lodowatej ironii, lecz jeszcze nie trwalsze od pięknej rzeźby ze śniegu. Zdobywszy po latach opasy tom emigracyjnych „Siedmiu lat chudych”, samych szpil u Iwaszkiewicza naliczyłem ze 30. Propagandowo bezsilne, były jednak frapujące dla ucha. Jeśli głos nie zanikał wśród trzasków, wyławiałem z eteru osobliwe rymy: „szwależer – with pleasure”, „wywlec – privilege”, „uprzykrzon – spirit of contradiction”, „bidet – has been torpeded”. Tak za sprawą Hemara odkrywałem dziwność politycznie podejrzanej mowy.

Czas rozwiął leżący na fortepianie stos nut. Zrabował pierwsze sceny i ostatnią kartkę błyskotliwej farsy „Kariera Alfa Omegi” oraz najlepszą z przedwojennych komedii Hemara „Firmę”, którą trzeba było na powrót tłumaczyć z niemieckiego. Gdzieś w Londynie spoczywa pod kluczem nie mniej niż 500 – tak jest! – sztuk Hemara. Wymierają ostatni ludzie pamiętający, kim byli Prystor czy Bartel i czemu kobieta – jak w sztuce „Dwaj panowie B.” – nie mogła przyjąć sama do mieszkania mężczyzny. I że dzięki piosence mieszkańców naszego kraju spowijał kiedyś na co dzień obłok lirycznego żartu, nim stopniał bez śladu jak piękna rzeźba ze śniegu.

JAN GONDOWICZ



Jestem okrutnie wymagający wobec muzyków, z którymi pracuję. Ale gdy ktoś popełnia błąd, uśmiecham się, później rozmawiam, doradzam większą koncentrację

Encyklopedia

Czy kiedykolwiek uda się go uczłowieczyć?
W kinach PIERWSZY FILM z Tytusem,
w księgarniach ALBUM
z jego najstarszymi przygodami,
a w „Przekroju”
CAŁY ŚWIAT KOMIKSU
o najbardziej znanej polskiej małpie
ROZPISANY NA 111 HASEŁ

ABSTRAKTLAND – świat wewnątrz kubistycznego obrazu, wrogi wobec rzeczywistości wiernie przedstawianej. [XVIII]

AEROGRAFOLOT – pojazd w kształcie aerografu, którym Romek i A'Tomek podążają na ratunek Tytusowi porwanemu przez handlarzy sztuką. Pułap wyobraźni – dwa tysiące nikiforów. [XVIII]

AKUKUTOWN – miasto na Dzikim Zachodzie, gdzie Tytus, ujeżdżając na rodeo dziką świnię, wygrywa dwa rewolwery. [IX]

AM-FEFE-TAMINA – substancja, po której głupiemu wydaje się, że jest mądry, składnik BIAŁEGO OBŁOKU. [XXIII]

ANTYFLUDUBO – miotacz antyfluidów ducha bojowego, uspokaja zwaśnionych. Wynaleziony przez profesora T'ALENTA, stosowany przez Tytusa, Romka i A'Tomka podczas NATO-wskiej interwencji w TRAPEZFIKU. [XXIV]

ANTYORTOGRAF – maszyna zastępująca w redakcji „TRELI MORELI” maszynistkę, korektora i innych pracowników. Píše artykuły wprost z głowy dziennikarza, ale jak ten jest kiepski, to wylatuje chała (bułka). W pierwotnej wersji przygód w „PRYCHCIKU” nazywana po prostu mózgiem elektronowym. [XVI]

ASIZO – kubistyczna pokraka poderwana przez Tytusa w ABSTRAKTLANDZIE. Po komputerowym przekształceniu przez prof. T'ALENTA okazuje się sličną panną o imieniu Zosia (anagram Asizo). [XVIII]

A'TOMEK – niski, tęgi okularnik o cechach przywódczych, najczęściej zastępowy w harcerstwie, ale przyjmuje także funkcje kierownicze w innych okolicznościach. Racjonalista, przeciwieństwo emocjonal-

nego Tytusa. W pierwszym cyklu komiksu z roku 1957 miał na imię ROMEK, potem to się zmieniło.

AUTOKONIK – pojazd wygrany przez Tytusa, Romka i A'Tomka jako premia za bilet wstępu na wystawę samochodową, mechaniczna wersja konika polnego z przeszkloną kabiną. [Zero]

BIAŁY OBŁOK – narkotyk, którego handlarzy pracodawcy Tytus, Romek i A'Tomek, wytwarzany w PAPAVERLANDZIE. [XXIII]

BZIKOTYKOLAND – urojony kraj, do którego trafia Tytus w narkotycznym widzie po zażyciu BIAŁEGO OBŁOKU. [XXIII]

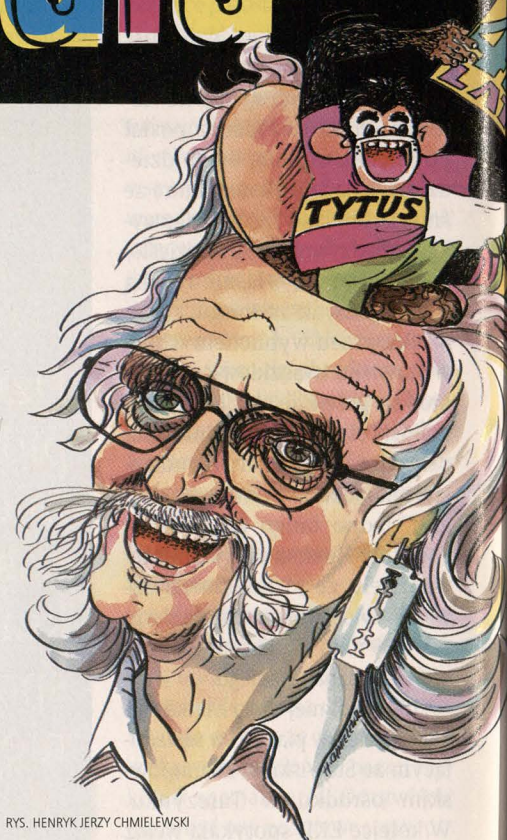
BZIKOTYKOLOT – skonstruowany przez profesora T'ALENTA pojazd w kształcie strzykawki, którym Tytus, Romek i A'Tomek udają się do PAPAVERLANDU walczyć z narkotykową mafią. Strzyka strumieniem neuronów. [XXIII]

CACYTAMINA – antidotum na AM-FEFE-TAMINĘ. [XXIII]

CAPUCHINO MONIKA – pierwsza miłość Tytusa, występuje w pominiętym w Księdze Zero cyklu komiksów z roku 1960. Uratowana w Afryce przed ukąszeniem węża córka podróżnika. Początkowo pisze dla niej wiersze miłosne, ale porzuca ją na rzecz sportu, przekonawszy się, że całowanie się z Moniką nie jest wcale nadzwyczajne i bardziej niż jej usta smakuje mu cukierki.

CIPCIPBURG – miasto na Dzikim Zachodzie. Tytus jako rewolwerowiec do wynajęcia ochrania pociąg jadący tam z AKUKUTOWN. [IX]

CIUCIUCACY – miejscowość, w której Tytus zostaje porwany przez menedżerów boksu zawodowe-



rys. HENRYK JERZY CHMIELEWSKI

go i w której pod pseudonimem DŁUGOREKI BOMBARDIER odbywa walkę z ŻELAZNĄ PIĘŚCIĄ. Karykatura kapitalistycznej Ameryki. [VI]

CYBER – policyjny pies elektronowy z wykrywaczem narkotyków skonstruowany przez profesora T'ALENTA. [XXII]

DECYBELIANIE – mieszkańcy planety NEUMA, których Tytus zapoznaje z muzyką. [XVII]

DE ZOO – nazwisko TYTUSA. Przedstawia się nim swej pierwszej miłości MONICE CAPUCHINO. Nawiązuje do ogrodu zoologicznego, do którego Romek i A'Tomek oddali Tytusa po pierwszej podróży w kosmos [Zero]. Nazwisko DE ZOO nosi także jego wuj BZOFIK z TRAPEZFIKU. [XXIV]

DŁUGOREKI – sobowtór Tytusa, bandyta ścigany na Dzikim Zachodzie listem gończym. Omyłkowo porwany przez Romka i A'Tomka, wyskoczywszy z filmu, wszczynając bójkę w warszawskim kinie, aresztowany przez Milicję Obywatelską. [IX]

DŁUGOREKI BOMBARDIER – pseudonim Tytusa w walce bokserskiej z ŻELAZNĄ PIĘŚCIĄ. [VI]

DOSYTA – starożytna gliniana bogini pojawiająca się w wyobrażeniach Tytusa. [XIX]

DOWCIPLINA – paliwo do MIELOLOTU wytwarzane przez opowiadanie kawałów do naczynia z rozpuszczalnikami dowiepów. [X]

TYTUSA

PAWEŁ DUNIN-WASOWICZ

DUSZEK – upiór przysmarowany przez Tytusa, Romka i A'Tomka – bezdomny w zamku rozebranym przez chłopów na cegły. [XI]

DUŻUŚ – gigantyczna małpa z obcej planety, w której uchu podróżowali w pierwszym cyklu z lat 1957/1958 wszyscy trzej bohaterowie komiksu. W kanonicznej księdze VII w uchu Dużusia podróżuje sam Tytus i to nie w kosmosie, lecz w wyobrażeniach o pradziejach Ziemi. [Zero, VII]

ELEKTROANTYCYMBALOFALOGRAF – urządzenie wprowadzające wiadomości bezpośrednio do mózgu Tytusa, posiada także opcję redukcji poziomu wiedzy, z której Tytus również korzysta, kiedy czuje się przeciążony pracą uczonego. [XIV]

ENERGICUM – pierwszy podejrzany specyfik w komiksach o Tytusie. Romek i A'Tomek zostali nim poczęstowani domięśniowo (w tyłki) w Protońskiej Republice Technicznej. Jedna kropla zastępuje 40 tysięcy obiadów. Energia ich rozpierała tak bardzo, iż artysta w berecie (pierwszy autoportret PAPCIIA CHMIELA) zagroził im, że jak będą psuć ramki, to przestanie ich rysować. [Zero]

EUROKRESKOUNIA – świat, do którego trafiają we wspólnym śnie Tytus, Romek i A'Tomek. Wszyscy jego mieszkańcy są oznakowani kodami paskowymi. Tytus prowadzi w nim firmę TITUS KRECHA. [XXVII]

FAJFOKLOKSITY – miejscowość, do której reporter Tytus zostaje wysłany w delegację z „TRELI MORELI”. [XVI]

w „Światach Młodych” z roku 1958.

GWIZDKOLOT – pojazd w kształcie gwizdka. Napędza go dźwięk małego gwizdka harcerskiego wzmacniany elektronicznie. [XIV]

HECOLICJA – policja totalitarnego państwa szczęścia i dobrobytu na WYPACH NONSENSU. [XX]

HELIOAMFIBIOCOŁKOPTER – pojazd przysłany Romkowi i A'Tomkowi przez WUJKA JANA, podróżują nim z Tytusem do Australii. [Zero]

HELOGEN – elektryczny pies, który poraził prądem Tytusa na wystawie na wyspie robotów (WYPACH NONSENSU). [XIII]

HOPSASA – babcia Tytusa, mieszka w TRAPEZFIKU. [XXIV]

HUMOROLISSIMUS – przywódca totalitarnego państwa szczęścia i dobrobytu na WYPACH NONSENSU. [XX]

HUMOROMETR – urządzenie do pomiaru nudo-sfery mierzonej w TYTUSACH. [III]

INTERPRETODREAMSYSTEM-MACHINA – urządzenie skonstruowane przez profesora T'ALENTA służące do programowania snów.

JĘDZOSŁAW – imię księżąt z zamku DUSZKA. Kolejni Jędzosiawowie byli coraz grubszy, ostatni jadał przy stole z półokrągłym wycięciem na brzuchu. [XI]

K-1 – kapsuła z kleptomointensyfikatorem skradziona jej wynalazcy T'ALENTOWI. Wzbudza instynkty złodziejskie, otwarta przypadkiem przez

FIOL – kwiat, który wyrósł Tytusowi na głowie wskutek migania się od nauki. [XIV]

FORMIKUSOLOT – pojazd latający w kształcie owada, którym Tytus, Romek i A'Tomek docierają do świata mrówek. [XXI]

GANGSTEROLOT – pojazd przypominający rewolwer, którym Romek i A'Tomek szukają Tytusa napromienionego K-1. [XXII]

GROSTALENT – pierwotne nazwisko profesora T'ALENTA

Tytusa napromieniowała go i uczyniła szefem mafii MAMONA. [XXII]

KARBULOT – wielki ssak międzygwiazdny, na którym podróżują Tytus, Romek i A'Tomek. Żywi się meteorytami i dowiepami przenikającymi z Ziemi. Zamiast żołądka ma precelek uranowy. [III]

KLEPTOSAURUS – kosmiczne zwierzę; schwytane i oswojone służy za autokar dla drużyny harcerskiej stworów z NUDNOWA. [III]

KOGUTKOWO GÓRNE – miejscowość, do której Romek i A'Tomek podróżują z Tytusem, aby ten mógł wystartować w tamtejszej olimpiadzie. Po przybyciu na miejsce okazuje się, że olimpiada w Kogutkowie owszem, odbywa się, ale szachowa – nieprzygotowany do niej Tytus ucieka TRĄBOLOTEM do TRAPEZFIKU. [VI]

KOSMOCZKI – kosmiczne stwory o kształcie smoczków; Tytusowi udaje się odwrócić ich uwagę od rakiety puszką mleka skondensowanego. [III]

KROWOKUR – monstrum wyhodowane przez Tytusa w jego marzeniach o pracy naukowej. Daje codziennie cysternę mleka i znosi ją gigant. [VII]

KYNORIN – preparat, którym Tytus, Romek i A'Tomek zostają poczęstowani na wyspie dowiepnisów (WYPACH NONSENSU) przez jej mieszkańców. Zmienia ludzi (tylko psychicznie) w warczące psy. [XIII]

LILI-PUT – rakiety krasnoludków zmniejszające Tytusa, Romka i A'Tomka do ich rozmiarów, z innymi głowicami – powiększające. Być może natchnęły Juliusza Machulskiego do filmu „Kingsajz”? [XV]

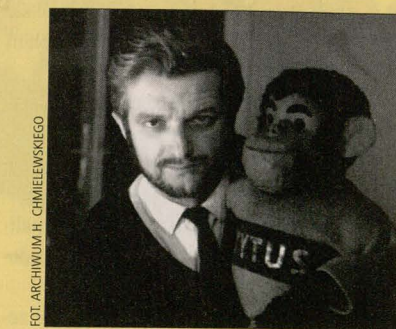
LOVELOT – skonstruowany przez profesora T'ALENTA pojazd, którym Tytus i SZYMPANSIA odbywają podróż poślubną. Napędzany ich falami biotycznych. W chwilach gdy małżonkowie przestają się kochać, rolę napędu zastępczego przejmują kopulujące króliki. [XXVI]

LUNASZEK – owad księżycowy; rozmnaża się przez najmniejszą wspólną wielokrotność, jadowity w czasie pełni. [III]

ŁOBUZOWO – miejscowość, w której Tytus, Romek i A'Tomek werbują młodzież z poprawczaka do specjalnej jednostki NATO. [XXIV]

MAMONA – nazwa mafii założonej przez Tytusa pod wpływem K-1. [XXII]

TYTUS DE ZOO, NAJOŚNIEJSZY POLSKI BOHATER KOMIKSOWY, KOŃCZY W TYM ROKU 45 LAT. MOGLIBYŚMY NAWET OGŁOSIĆ ROK 2002 ROKIEM TYTUSA. PO RAZ PIERWSZY W POSTACI KSIĄŻKOWEJ UKAZUJĄ SIĘ W KSIĘDZE ZERO (WYDAWNICTWO EGEMONT) NAJOŚNIEJSZE KOMIKSY O TYTUSIE, ROMKU I A'TOMKU PRZEDRUKOWANE ZE STARYCH »ŚWIATÓW MŁODYCH«. W KINACH W PIERWSZY DZIEŃ WIOSNY BĘDZIE MIAŁ PREMIERĘ PEŁNOMETRAŻOWY FILM LESZKA GAŁYSZA »TYTUS, ROMEK I A'TOMEK WŚRÓD ZŁODZIEI MARZENIA« Z BOHATERAMI WYMYŚLONYMI PRZEZ PAPCIIA CHMIELA, CHOĆ ZREALIZOWANY NIE WEDŁUG JEGO SCENARIUSZA (KONKURS NA NOWEŁĘ ROZPISANY PRZEZ PRODUCENTA WYGRAŁA MAŁGORZATA SIKORSKA-MISZCZUK). TYTUS PRZEMÓWI W NIM GŁOSEM... MARKA



FOT. ARCHIWUM H. CHMIELEWSKIEGO
Henryk Jerzy Chmielewski z Tytusem. Lata 60.

KONDRATA. HENRYK JERZY CHMIELEWSKI RYSUJE WŁAŚNIE XXVIII KSIĄŻECZKĘ Z TYTUSA

SEM, ROMKIEM I A'TOMKIEM. ZDRADZIŁ »PRZEKROJOWI«, ŻE MA JUŻ GOTOWE PIERWSZE OSIEM PLANYSZ. TYM RAZEM PRZYGODY BĘDĄ SIĘ ROZGRYWAĆ W INTERNECIE. PÓŁ ROKU TEMU 78-LETNI PAPIO DOŁĄCZYŁ BOWIEM DO SPOŁECZNOŚCI SIECI I ZAFASCYNOWANY JEJ MOŻLIWOŚCIAMI PRZENOSI SVOICH BOHATERÓW DO RZECZYWISTOŚCI WIRTUALNEJ. W INTERNECIE DZIAŁAJĄ JUŻ DWIE OFICJALNE STRONY POŚWIĘCONE TYTUSOWI – WWW.TYTUS.WP.PL I WWW.GAZETAPL.TYTUS. OBOK RANKINGU ULUBIONYCH KSIĄG (PROWADZI KSIĘGA XII – »BIESZCZADZKA«, PRZED XI – »OCHRONA ZABYTKÓW« I IX – »KOWBOJSKĄ«) MOŻNA NA NICH ZNALEZĆ WIELE CIEKAWOSTEK O TYTUSIE. ALE TO MY W »PRZEKROJU« PUBLIKUJEMY DZIŚ NAJOŚNIEJSZĄ TYTUSOWĄ ENCYKLOPEDIĘ!

MICHOTEK – kapral Ludowego Wojska Polskiego, razem z którym Tytus pozoruje na manewrach dywersantów. [IV]

MIELOLOT – statek powietrzny w kształcie maszyny do mięsa, wyjątkowo dzieło nie profesora T'ALENTA, ale pędzla PAPCIA CHMIELA, napędzany DOWCIPLINĄ, pali 15 dowcipów na sto kilometrów. [X]

MILLEK – pudełko konstrukcji profesora T'ALENTA; pozwala chwytającym je przenosić się w czasie. Nazwa z roku 1958, w kanonicznym, książkowym wydaniu księgi VIII nazywane po prostu aparakiem. [Zero, VIII]

MIODOLAND i MLEKOLAND – krainy zwiedzane w pijackiej wizji przez Tytusa, Romka i A'Tomka po upiciu się miodem pitnym. [XXVI]

MŁYNKOLOT – skonstruowany przez profesora

OKARYNOLOT – pojazd w kształcie okaryny, którym Romek i A'Tomek wyruszają na ratunek uprowadzonemu w kosmos Tytusowi. [XVII]

OMAMICA – restauracja w BZIKOTYKOLANDZIE. Serwuje ćpunburgery, melancholie, obseski, psychopatki, heroinkle, kokainki, guanocuszki i morfinki w czekoladzie.

OPTY-COLA – nazwa handlowa wody ze źródła radości odkrytego przez Tytusa w Bieszczadach. Płyn o działaniu euforycznym. [XII]

ORDER PALMY Z GOLD KOKOSANY – odznaczenie, którym zostają uhonorowani Tytus, Romek i A'Tomek przez prezydenta O'BZIKA za przywrócenie demokracji w TRAPEZFIKU. [XXIV]

O'RETY – imię, jakie nadają Tytusowi – jako swemu prorokowi, który z tym okrzykiem spadł im

„PRYCHCIK” – gazeta, w późniejszej, książkowej wersji znana jako „TRELE MORELE”. [Zero]

PTYŚ – imię nadane HELIOAMFIBIOZŁOKOPTEROWI przyslanemu przez WUJKA JANA z Australii. [Zero]

RHINOKUKUNAMUNIU – urządzenie do wachania wiedzy, dzięki któremu Tytus nabywa ją na poziomie uniwersyteckim (a następnie zmniejsza do poziomu maturzysty za pomocą ELEKTROANTYCYMBALO-FALOGRAFU). [XIV]

ROMEK – wysoki dryblas z grzywką, trochę złośliwy, podlizuje się A'TOMKOWI. Stałe elementy ubioru: apaszka i buty kowbojki. W pierwszym cyklu komiksu z roku 1957 miał na imię A'TOMEK, potem to się zmieniło.

ROZALIA – mechaniczny koń, z którym Tytus, Romek i A'Tomek poznają przepisy ruchu drogowego.



Księga Zero – tak wyglądali Tytus, Romek i A'Tomek 40 lat temu

T'ALENTA pojazd napędzany mieleniem jęzorem, występuje tylko w najnowszych wydaniach księgi X. [X]

MONDRALICUM ALERGICUM – starożytna mikstura znaleziona przez Tytusa w pracowni alchemicznej ukrytej w studni malborskiego zamku. Dzięki jej wzmacniającemu umysł działaniu Tytusowi udaje się zdać poprawkę z geografii. [VII]

MYSIULA – ulubiona mysz doświadczalna profesora T'ALENTA, rodzi małe, na przykład w czarno-białą kratkę, którymi uczony niezmiennie obdarowuje Tytusa, Romka i A'Tomka. [XIII]

N-2 – neutralizator likwidujący skłonności bandzierskie, którym trzeba było potraktować Tytusa będącego pod wpływem K-1. [XXII]

NEUMA – planeta zamieszkiwana przez DECY-BELIAN. [XVII]

NIKOTYŃSKA REPUBLIKA TABACKA – jedno z państw na WYSPACH NONSENSU, gdzie palenie tytoniu jest obowiązkowe, a niepalący – więzieni w rezerwacie. Tytus na czele tych ostatnich wzbudza rewolucję, zamykając dopływ dymu. [XIII]

NUDNOWO – miejsce na obcej planecie zaludnione przez znudzone stworki, które Tytusowi, Romkowi i A'Tomkowi udaje się ożywić, tworząc z nich drużynę harcerską. [III]

O'BZIK – prezydent TRAPEZFIKU. [XXIV]

ODRZUTKI – tornistry odrzutowe, za pomocą których Tytus, Romek i A'Tomek poruszają się ponad Polską. [VII]

ze skały – członkowie wędrownej sekty. Po dojechaniu do AKUKUTOWN wyznawcy okazują się zwykłymi kupcami – religijne stroje były jedynie kamuflażem odwracającym uwagę indiańskich dzieci od przeżozonego towaru – cukierków. [IX]

PAPAUERLAND – wyspa na południu archipelagu WYSP NONSENSU, miejsce produkcji BIAŁEGO OBŁOKU. [XXIII]

PAPCIO CHMIEL – rysownik, według późnych wydań księgi I twórca Tytusa, który powstał z rozlanej plamy tuszu. Pojawia się (jako artysta w berecie) już w pierwszym cyklu komiksu z lat 1957/1958. Występuje pierwotnie jako Heniek i Dziadzio Chmiel (w latach 60. z długą brodą), by w końcu stać się Papciem. Namalował Tytusowi żonę SZYMPANSIĘ i udzielił im ślubu.

PESY-COLA – depresjogenna woda ze źródła smutku odkrytego przez Tytusa w Bieszczadach. [XII]

PIF PAF CITY – miasto na Dzikim Zachodzie, gdzie grasuje bandyta DŁUGOREKI. [IX]

PRADZIEJCZYK JAN – archeolog, na wykopaliskach u którego Tytus i SZYMPSIA spędzają miodowy miesiąc. [XXVI]

PRASOLOT – statek powietrzny w kształcie żelazka o napędzie duszowym. [XI]

PROTOŃSKA REPUBLIKA TECHNICZNA – zrobotyzowane państwo na odległej planecie, gdzie Tytus, Romek i A'Tomek dotarli w pierwszym cyklu swoich przygód. [Zero]

go. Według komiksów ze „Świata Młodych” z wiosny roku 1962 (pominięte w Księdze Zero) Rozalię skonstruował w podwórkowej szopie samodzielnie Tytus, według wczesnych wydań księgi II – A'Tomek (również w szopie), według nowszych Rozalia jest dziełem profesora T'ALENTA. [II]

SABINKA – koleżanka, która urządziła imieniny. Jej gość jako prezent własnoręcznie sprokurował perfumy według starej francuskiej receptury, niestety zażdrośny – bo niezaprośzony – Tytus podmienił je na cuchnącą cieć, czym wywołał skandal. Według pierwotnej wersji gościem tym był A'Tomek, według późniejszej, niejako kanonicznej – Romek. [Zero, XVI]

SALIGIA – władca planety TRANSFORMACJA w filmie Leszka Gałysza. Odbiera ludziom marzenia i przerabia je na reklamy. Zwabia do siebie Tytusa, aby i jego ogołocić z marzeń. [„Tytus, Romek i A'Tomek wśród złodziei marzeń”]

SLAJDOLOT – pojazd skonstruowany przez profesora T'ALENTA w celu fotogrametryczno-topograficzno-socjologicznej penetracji WYSP NONSENSU. Przypomina rzutnik do przeżrocz, energię pobiera z piękna krajobrazu. [XIII]

STRZAŁY ZNIKĄD

1) tytuł filmu, do którego wskoczył Tytus, przenosząc się tym sposobem do świata Dzikiego Zachodu,

2) jednostka czasu na Dzikim Zachodzie. [IX]

SYFONOLOT – pojazd w kształcie syfonu dostarczony przez profesora T'ALENTA Romkowi i A'Tomkowi zdążającym na ratunek zaginionemu w dżungli Tytusowi. Jego paliwem są kiepskie teksty, zużywa kilogram makulatury na godzinę lotu. [XVI]

SZCZERBASZCZENKO – mrówka-marszałek, dowódca czarnych szczek w walce z rudnicami. Tytus jest jego zastępcą do spraw polityczno-wychowawczych. [XXI]

SZYMPANSIA (alias SZYMPSIA) – żona Tytusa. Małpa namalowana na jego życzenie w XXV księdze przez PAPCIA CHMIELA, który następnie udziela młodej parze ślubu na Hawajach. [XXV, XXVI, XXVII]

ŚREDNI MISTRZ – dostojnik krzyżacki, więzi Tytusa. Wygląda jak Adolf Hitler (wąsik, kosmyk na czole). Przejaw walki z rewizjonizmem niemieckim. [VIII]

T'ALENT (wcześniej GROSTALENT) – profesor, wynalazca, etatowy dostawca wszelkich specyfików i pojazdów. W nowszych wydaniach klasycznych ksiąg autor przypisuje mu zbudowanie nawet tych pojazdów, które we wcześniejszych były dziełem A'Tomka (na przykład ROZALII). Biała grzywa w stylu Alberta Einsteina, we wcześniejszych wcieleniach [Zero] nośił brodę.

TIK-TAK TYTUS COMPANY – nazwa przedsiębiorstwa Tytusa eksploatującego odkrytą przezeń pomiędzy CIPCIPIBURGIEM a AKUKUTOWN kopalnię zegarków (szafkowych, kieszonkowych, na rękę, a także na nogę). Jako właściciel Tik-Tak Company Tytus przedstawiany jest jak archetypowy milioner z sowieckiego „Krokodila” – w cylindrze i z cygarem. W pominiętym w wyborze do Księgi Zero – cyklu komiksów z roku 1960 – spółdzielnia TYTUS & KAPANY. [IX]

TITUS KRECHA – firma prowadzona przez Tytusa w EUROKRESKOLANDII, zajmuje się produkcją kresek. [XXVII]

TRANSFORMACJA – planeta, na którą zły książę SALIGIA zwabia Tytusa w filmie Leszka Gałysza. [„Tytus, Romek i A'Tomek wśród złodziei marzeń”]

TRAPEZFIK – kraj lub miasto w Afryce Środkowej, mityczna ojczyzna Tytusa. Tytus, Romek i A'Tomek lądują w sali kina w Trapezfiku, wyskoczywszy z westernu w finale księgi IX. W księdze XXIV jako oddział specjalny NATO przywracają w Trapezfiku demokrację po puczu czarownicy, który ogłosił się cesarzem, uwięził prezydenta O'BZIKA, a także wujka Tytusa – BZOFIKA DE ZOO – i jego babcię HOPSASĘ. [VI, IX, XXIV]

TRABOLOT – pojazd w kształcie trąbki, którym Tytus, Romek i A'Tomek podróżują na olimpiadę do KOGUTKOWA GÓRNEGO. Skonstruowany w wolnej chwili przez orkiestranta, wsysa chmury i wypuszcza z drugiej strony deszcz, grad lub śnieg. [VI]

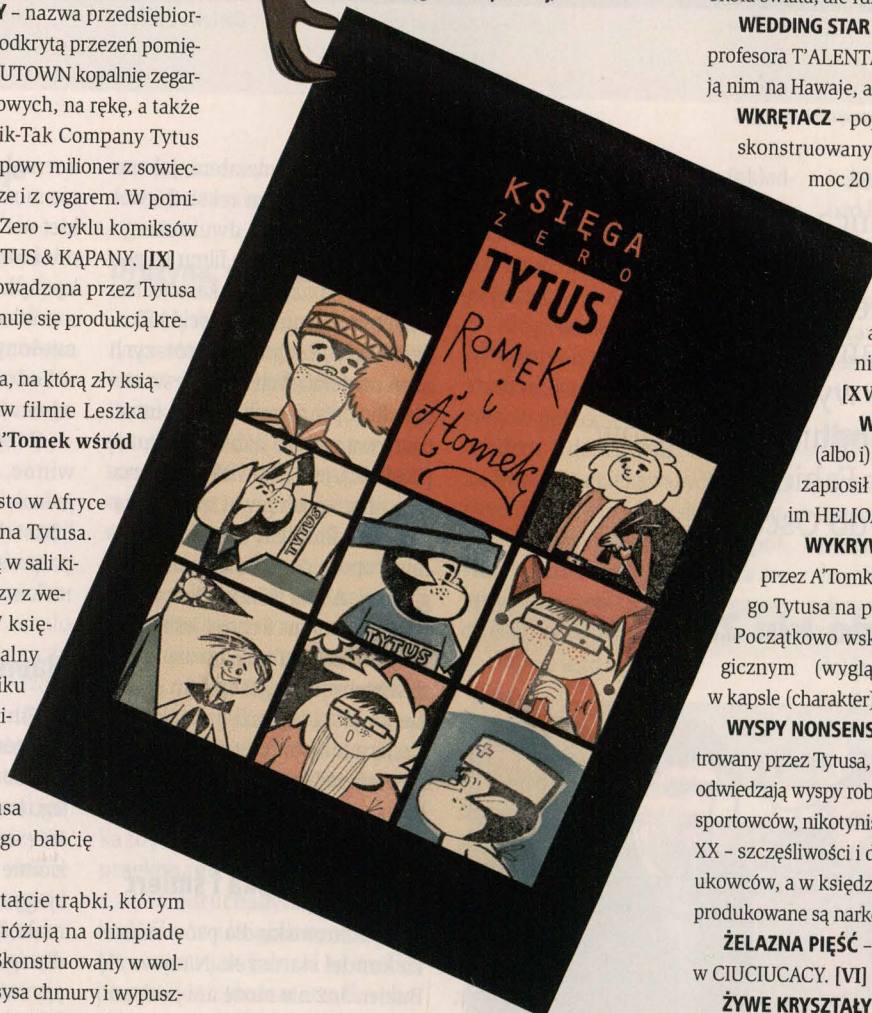
„TRELE MORELE” – gazeta, w której Tytus zatrudniony początkowo jako goniec wskutek zbiegu nie-szczęść zostaje redaktorem naczelnym. We wczesnych komiksach ze „Świata Młodych” te same przygody odbywał w redakcji „PRYCHCIKA”. [XVI]

TYTUS

1) (DE ZOO) – małpa, której niekończącym się uczłowieczaniem zajmują się Romek i A'Tomek. Według późnych wydań księgi I namalowana przez PAPCIA CHMIELA z przypadkowo rozla-



Tytus najnowszy – z filmu Leszka Gałysza (powyżej) – i najstarszy – okładka Księgi Zero (poniżej)



ty. Działa raczej emocjonalnie niż racjonalnie. Ożeniony z SZYMPANSIĄ,

2) jednostka miary nudosfery. 1 tytus = 10 wiców. [III] **TYTUS & KAPANY** – spółdzielcza kopalnia zegarków z pominiętego w Księdze Zero cyklu komiksów z roku 1960. Po jej otwarciu „blady strach padł na cyberblaty kapitalistycznych producentów” (cytat całkiem serio).

VIDEOBZIKOLOT – dostarczony przez profesora T'ALENTA pojazd w kształcie kamery VHS, którym Tytus, Romek i A'Tomek odbywają drugą wyprawę na WYSPY NONSENSU. Jego paliwem są dowcipy radiowe, filtr wulgaryzmów dowcipów wymienny co 10 tysięcy kilometrów. [XX]

WAN-NATO-LOT – interwencyjny statek powietrzny NATO, wzorowany na WANNOLODIE. [XXIV]

WANNOAMFIBIOHELIPODUSZKOCZŁOGOLOT – pojazd ofiarowany Tytusowi, Romkowi i A'Tomkowi przez bratnich pionierów w radzieckim obozie Artek. [V]

WANNOLOT – statek latający, według komiksu ze „Świata Młodych” z roku 1962 (niewłaśczonego do Księgi Zero) zbudowany przez Tytusa, natomiast według oficjalnej księgi V przez A'Tomka na podstawie książeczki „Zrób to sam”. Służy do podróży dookoła świata, ale rdzewieje i pęka nad Saharą. [V]

WEDDING STAR – stereowiec skonstruowany przez profesora T'ALENTA. Tytus i SZYMPANSIA podróżują nim na Hawaje, aby tam wziąć ślub. [XXV]

WKRETA CZ – pojazd do penetracji wnętrza Ziemi skonstruowany przez profesora T'ALENTA, ma moc 20 tysięcy kretów. Uwaga: warto po-

równać wkretacz z koncepcją łodzi podziemnej z socjantystycznej powieści „Drogi podziemne” radzieckiego autora W. Ochotnikowa (wydawnictwo MON, Warszawa 1951). [XV]

WUJEK JAN – krewny Romka lub (albo i) A'Tomka (no bo nie Tytusa), który zaprosił całą trójkę do Australii i przysłał im HELIOAMFIBIOZŁOKOPTER. [Zero]

WYKRYWACZ TYTUSA – skonstruowany przez A'Tomka aparacik lokalizujący zaginionego Tytusa na podstawie wyglądu i charakteru. Początkowo wskazuje małpę w muzeum zoologicznym (wygląd) oraz chłopca grającego w kapsle (charakter). [VII]

WYSPY NONSENSU – archipeląg wielokrotnie penetrowany przez Tytusa, Romka i A'Tomka. W księdze XIII odwiedzają wyspy robotów, dowcipniów, biurokratów, sportowców, nikotynistów, samochodziarzy; w księdze XX – szczęśliwości i dobrobytu, deskorolkowców, naukowców, a w księdze XXIII – PAPAUERLAND, gdzie produkowane są narkotyki. [XIII, XX, XXIII]

ŻELAZNA PIĘŚĆ – bokser, z którym Tytus walczy w CIUCIUCACY. [VI]

ŻYWE KRYSTAŁY – mieszkańcy mitycznej Atlantydą odnalezieni przez Tytusa, Romka i A'Tomka we wnętrzu Ziemi, skryształizowani wskutek działania olbrzymiego ciśnienia. [XV]

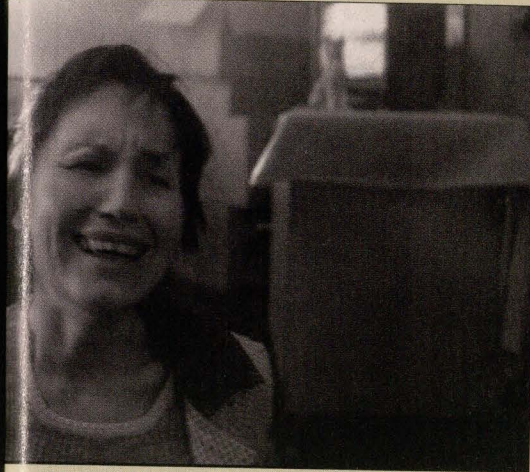
Chłopiec, twardziel i pies



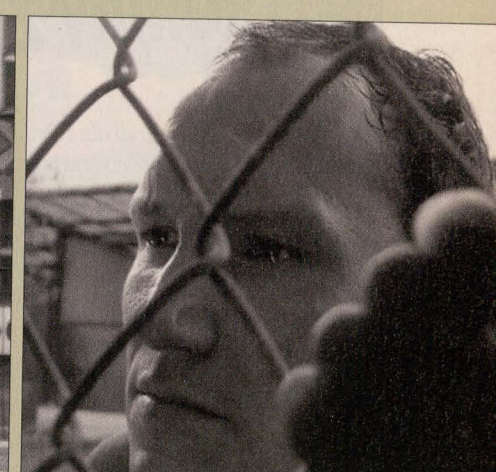
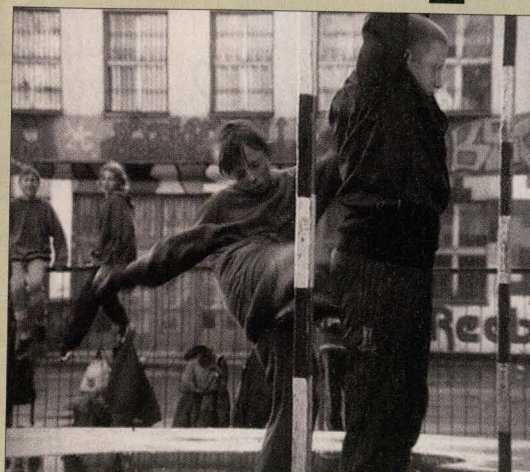
Bartek – Bartosz Idczak



Bartek i Bukiet



Matka – Katarzyna Bargiełowska



Trener – Mariusz Jakus

„Męska sprawa” jest od początku do końca wymyślona, ale przekonuje bardziej niż niejeden film zrobiony ukrytą kamerą. Trwa 26 minut. To wystarczyło, żeby autor zdjęć Bogumił Godfrejow i reżyser Sławomir Fabicki dostali nominacje do Oscara

Film wchodzi do kin 22 marca



Godfrejow (z lewej) i Fabicki

Nie wiedziałem, jak zacząć ten tekst. Nawet pomimo dwukrotnego obejrzenia filmu na wypożyczonej kasie. Nie to, żebym nie umiał skleić kilkudziesięciu dłuższych i krótszych zdań zawierających osobiste wrażenia albo opisujących materię utworu. Słowa zawsze jakoś w końcu się poddadzą, jeśli człowiek wystarczająco długo posługiwał się nimi zawodowo. Problem w tym, że żyjemy w epoce do niemożliwości rozagadanej. A film Fabickiego trwa zaledwie 26 minut. I nawet jeśli jest to tylko szkolna etiuda, co usprawiedliwiałoby jej długość, mam poczucie, że jest to oszczędność wzbudzająca innego rodzaju szacunek. Powiedzieć jak najwięcej jak najkrócej. Ba, łatwo się mówi...

Bukiet, kanapka i śmierć

W schronisku dla psów mieszka kundel staruszek. Nazywa się Bukiet. Już nie może ani jeść, ani, za przeproszeniem, srać. Jego przyjaciel nazywa się Bartek, ma może 12, może 13 lat. Wszystko ich różni poza jednym: mają podobne, smutne oczy. Ale poza wszystkim Bartek jest zdrowym,

normalnym chłopakiem i za nic nie może zrozumieć, dlaczego Bukiet nie chce jeść przynoszonych mu kanapek. Myśli, że winne są kanapki. Raz były z szynką, raz z mielonym. Ale nawet jeśli ten mielony był ze szpinakiem, to w końcu jeszcze nie powód, żeby odmawiać żarcia.

Oczywiście nie kanapki były winne, ale starość psa. Młodość jednak nie rozumie starości, więc i Bartek nie rozumie, że Bukiet po prostu czeka na śmierć, a nie na kanapki.

Kłamstwo, kamera i łzy

Film Fabickiego jak dobra jednoaktówka ma wątek główny i kilka pobocznych, ale tak naprawdę jego istota zawiera się w takich właśnie małych obserwacjach na poziomie smutnych oczu psa Bukieta i jego niejeżdżonych kanapek. Te małe szczegóły są ważne. Także dlatego, że w nich najlepiej widać, czy reżyser kłamie, czy kłamie jego kamera i czy kłamią aktorzy grający w udawanej sprawie. Otóż na poziomie oczu psa Bukieta i oczu Bartka pełnych łez na widok niejeżdżonych kanapek film nie kłamie ani przez moment.

Pośredniak, prowincja i Łódź

Bartek ma młodszego brata, lojalnego kumpla. Ich matka chałupniczo montuje lalki i chyba cała rodzina z tego żyje, bo ojciec nie ma pracy i pół dnia wyleguje się w łóżku, dopóki żona nie wypchnie go do pośredniaka – a nuż będzie jakaś robota.

Wiemy, że rzecz dzieje się w Łodzi. Ta Łódź z „Męskiej sprawy” przypomina raczej małe, biedne miasteczko niż drugie co do wielkości miasto w Polsce. Od czasu do czasu bywam w Łodzi. Wystarczy zejść ze szlaku Narutowicza – Piotrkowska – Zachodnia, by znaleźć się na podwórku podobnym do tego, na którym chłopcy tacy jak Bartek trenują w piłkę przed czekającymi ich rozgrywkami o puchar międzyszkolny. Ponurych kamienic wokół takich odrapanych podwórek, gdzie mieszkają bohaterowie „Męskiej sprawy”, są tam setki. Ale do skojarzenia dużej Łodzi z małą prowincją trzeba było osobnej refleksji już jakiś czas po obejrzeniu filmu. Fabicki umie opowiadać nienachalnie, dyskretnie, jakby tylko dając do zrozumienia. Jak na człowieka, który dopiero zaczyna – a debiutanci lubią

zaczynać z dużym hukiem, wyraziście – jest to zdumiewające.

Drużyna, matka i cham

Ta dyskretność opowiadania dotyczy też głównego wątku i może jeszcze bardziej głównych postaci. Bartek jest kapitanem szkolnej drużyny piłkarskiej. Drużynę trenuje nauczyciel WF (o ile ten skrót funkcjonuje jeszcze w dzisiejszym szkolnictwie). Trener jest, delikatnie mówiąc, fanatykiem swojego zajęcia. Przypomina trochę tych zajadłych maniaków sukcesu za wszelką cenę, którzy uważają, że zwalnianie chłopaków z geografii i matmy na rzecz kopania w piłkę jest całkiem na miejscu, bo przecież co komu z geografii, a z kopania owszem.

Widząc tę niewymyślną postać, każdy byłby po trzech minutach przekonany, że ma do czynienia z wyśmodruchanym po dziesiątkach filmów i książek stereotypem. Nie wiem, jak Fabicki to zrobił, bo przecież z trudem i rzadko udaje się to nawet filmowym wyjadaczom, ale przecież zrobił: otóż ten twardziel o chamskim języku i ciężkiej ręce okazuje się postacią dziwnie niejednoznaczną. Kiedy jesteśmy razem z Bartkiem całkowi-

cie pewni, że zachowa się dokładnie tak, jak się tego spodziewamy, robi jakiś dziwny manewr i wychodzi na to, że zamiast na przykład pogrążyć – ratuje.

Nie powinienem być mieć krztyny sympatii do tego belfra o wąskich oczkach i manierach bufetowego o północy. A przecież go polubiłem i doceniłem. I uważam za jedną z najciekawszych kreacji psychologiczno-aktorskich ostatnich czasów, przynajmniej w polskim filmie. Fabicki miał na to, przypominam, 26 minut, z czego na ekranie obywatel trener jest może połowę tego czasu.

Mimoza, klozet i kop

Film jest etiudą, krótką opowieścią o kilku dniach z życia kilkorga ludzi w jednym ze współczesnych miast Polski. Jest tam przemoc, ból, upokorzenie, bieda, a nawet cień śmierci. Ale jest też radość gry w piłkę, przyjemność nielegalnego zapalenia papierosa w szkolnym klozecie, nagłe odkrycie, że ktoś czasem zamiast worka treningowego nosi w piersi serce. Nic nie jest proste, czyli uproszczone – do tezy, do schematu. Ludzie są, jacy są, ani czarni, ani biali. Nawet Bartek nie

jest żadną uciemiężoną mimozą, nad którą tylko pochylić się i zapłakać. Pali w klozecie, chowa pod materac dzienniczek pełen wpisów o złym zachowaniu na lekcjach, w ramach dosyć wątpliwej zabawy potrafi nieźle przykopać koledze.

Konwencja, prawda i szwy

Bardzo trudno jest zrobić filmową fabułę, która naśladować dokument, nie demaskowałaby szwów po obu stronach konwencji. „Męska sprawa” jest od początku do końca wymyślona, a przecież jej dokumentacyjna wiarygodność bywa bardziej przekonująca niż niejeden film zrobiony ukrytą kamerą. Niedawno widziałem obłożone nagrodami jak piersi sowieckich generałów medalami objawienie polskiego kina – „Cześć, Tereska” Glińskiego. Tam widać wszystkie możliwe szwy.

Film Fabickiego i Godfrejowa nie ma właściwie zakończenia i widz miałby prawo powiedzieć, że coś tu nie gra. I może powiedziałby, gdyby nie ściśnięte gardło.

TADEUSZ NYCZEK

„Męska sprawa”, reż. Sławomir Fabicki, zdjęcia Bogumił Godfrejow, PWSFTViT w Łodzi, 2001

Zdjęcia publikujemy dzięki uprzejmości Dariusza Fabickiego

Bohdan Zadura

TRUMNY Z IKEI

Ford transit gloria mundi ale z ffordem K to nie przejdzie a na transita już za późno i na tej pysznej reklamie nie zarobimy pieniędzy by kupić to autko, najlepiej karminowe, jak zabawka

jak kosmiczna kapsuła, czerwony lakier przy czarnych włosach; tylko gdzie koloratka i Gérard Philipe, gdyby on tu był to mielibyśmy Stendhala, ale kiedy on umarł

Boże drogi, chyba wtedy kiedy zdawałem maturę a o ffordzie K to się jeszcze nie śniło styliście a może wizażyście a może kreatywnemu dyrektorowi od ffordów

nauczyłem się jeździć na łyżwach gdy miałem dwadzieścia osiem lat nauczyłem się pływać gdy skończyłem trzydzieści mam mówić dalej? no to wróć do łyżew

kiedyś w zimie był śnieg więc były łyżwy śniegówki jak jaskółki brzegówki jak śnieguliczki z dur aluminium dla dumnych dzieci z dwoma tępyimi płozami? łyżwa to łyżwa a tego nawet nie ma jak nazywać

więc żadna jazda na tym chyba chodziłem w kopnym śniegu bo jak małe miasteczko to niby kto ten śnieg ubije byle się przebić do studni odkopać furtkę

jeśli jej nie ukradli w Trzech Króli i czekać wiosny aż puści wszystko wszystko się przykręcało do butów buty i łyżwy to nie było jedno

no więc dwadzieścia osiem łyżwy z przekładanką na wirażach ale żadnych skoków trzydzieści to pływanie potem długo długo nic i przed miesiącem dopiero Ikea

ciemny las jasnego drewna i trzymasz rękę Ariadny bo jak puścisz to stąd nie wyjdiesz chyba że przez dach i oczy rozjeżdżają ci się jak nogi na lodowisku

i głupiejesz od tych firan i zazdrostek kratek pasków poduszek poduszeczek przytulanek kołder pokrowców szaf szafek i szafeczek kubków kubeczków czajniczków



dzwonek dzwoneczków stołów taboretów wkrętów uchwytów zawiasów gałek gałek zegarów lamp świec ram antyram rameczek foteli ław i listewki listewki listewki

wirują ci przed oczami jak czubki wysokich sosen w radzieckich filmach gdy bohater umiera trafiony kulą niemieckiego faszysty

lub/i przeżywa miłosną ekstazę z sanitariuszką I nagle pomyślałem że czegoś tu jednak brakuje I że gdyby to jej

przyszło mnie pochować i one tutaj były to miałyby w tym nieszczęściu trochę przyjemności

Bohdan Zadura, urodzony 1945, poeta, prozaik, tłumacz z angielskiego, węgierskiego, rosyjskiego i ukraińskiego. Wiersz pochodzi z tomu „Ptasia grypa” (Biuro Literackie Port Legnica, Legnica 2002). Ten sam wydawca opublikował jednocześnie Bohdana Zadurę „Między wierszami” (szkice i felietony o poezji). Patrz: www.biuroliterackie.pl

Amerykański triumf

Wieczór współczesnej polskiej poezji przyciągnął tłumy nowojorczyków

RENATA GORCZYŃSKA Z NOWEGO JORKU

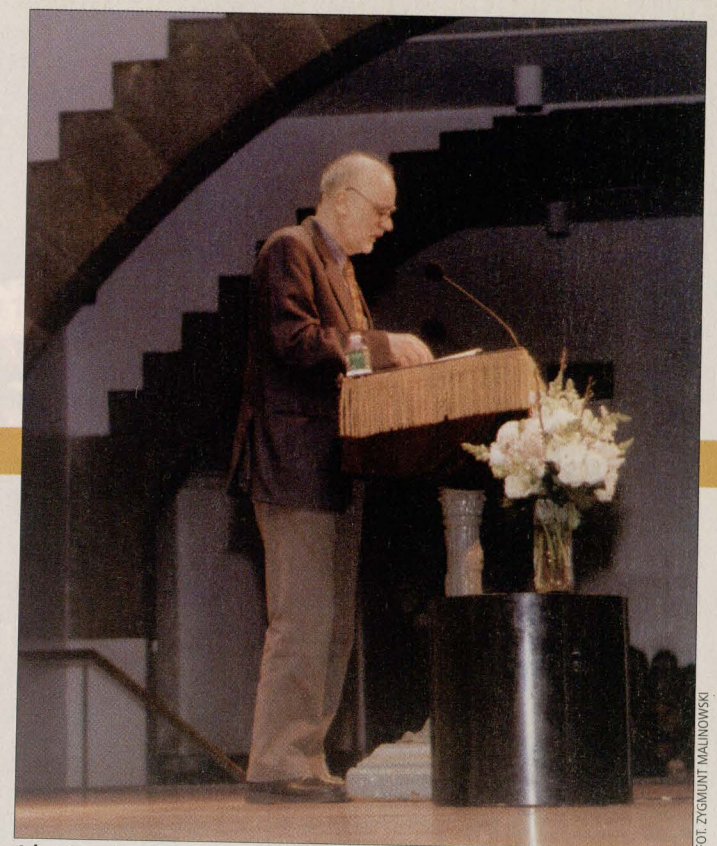
Relację z tego wydarzenia powinienem przedstawić tonem sprawozdawcy sportowego: elektryczne wręcz napięcie ponadtyśiącosobowej widowni, 12 uczestników przyjmowanych huraganowymi brawami, błyskające flesze fotoreporterów, a na koniec dwugodzinne spotkanie – owacja na stojąco. Triumfatorami wieczoru była jednak nie ekipa atletów, lecz polska poezja współczesna w przekładach na angielski – wiersze Wisławy Szymborskiej, Zbigniewa Herberta, Czesława Miłosza i Adama Zagajewskiego, którzy z wielkich portretów umieszczonych na estradzie patrzyli na amerykańskich czcicieli swojej sztuki poetyckiej. Fotos Miłosza nawet znacząco zachwiał się w trakcie wieczoru, co mogłoby świadczyć o silnej obecności duchowej nieobecnego ciała poety.

Zdumiewające? Tak, ale istnieje i racjonalne wyjaśnienie fenomenu, który 13 marca, niemal równo po sześciu miesiącach od tragedii World Trade Center, kazał się zgromadzić w środku Manhattanu tłumom spragnionym misterium poezji. Pod egidą Poetry Society of America i jej dyrektorki Alice Quinn wieczór zatytułowany „Spróbuj opiewać okaleczony świat” (cytat z wiersza Adama Zagajewskiego) raz jeszcze wykazał triumf poetyckiego słowa nad zniszczeniem. Dowiódł siły czegoś tak ulotnego jak wers poetycki, który daje nadzieję. Jako uczestniczkę wydarzenia oraz tłumaczkę poezji Miłosza i Zagajewskiego na angielski nurtowało mnie, co było impulsem do zorganizowania hołdu polskim poetom z takim

rozmachem i z tak nieprawdopodobnym odzewem ze strony publiczności. Wy tłumaczyła mi to Alice Quinn, nota bene wieloletnia szefowa działu poezji tygodnika „New Yorker”. „W pierwszym numerze naszego pisma wydanym po 11 września – powiedziała – zamieściliśmy na ostatniej stronie »Spróbuj opiewać okaleczony świat« i stała się rzecz niezwykła: nowojorczyki zaczęli ten wiersz powielać, przyklejać na szybach swoich samochodów, wieszać na murach, umieszczać na wystawach księgarń. Czerpali z niego pociechę, wzmacniali poczucie wspólnoty w obliczu tragedii. Wobec tego doszedłem do wniosku, że należy przedstawić szerszej publiczności wielkość polskiej poezji współczesnej. Wiersze żyją, gdy się je mówi na głos. Zaprosiłam więc do udziału tuzin poetów, pisarzy, profesorów literatury, tłumaczy, aktorów. Każdy z uczestników, mając do dyspozycji sześć minut na estradzie, sam dokonywał wyboru tekstów poetyckich”.

Odtwórcy wierszy przyjechali z Warszawy i z Gdyni, z Bostonu i z Berkeley; większości jednak wystarczyła taksówka lub metro. Bohater wieczoru Adam Zagajewski przybył z Houston.

Wieczór w hołdzie współczesnej poezji polskiej przekroczył najśmielsze oczekiwania organizatorów. W historycznym audytorium Cooper Union, miejscu sławnego wystąpienia prezydenta Lincolna, recytowali wiersze polskiej czwórki (oraz Tadeusza Różewicza) między innymi: Susan Sontag, Elżbieta Czyżewska, trzykrotny Poeta-Laureat Stanów Zjednoczonych Robert Pinsky, sędziwy W.S. Merwin,



Adam Zagajewski czyta swoje wiersze podczas wieczoru poetyckiego „Spróbuj opiewać okaleczony świat”

zresztą osobisty przyjaciel Herberta, Edward Hirsch, C.K. Williams – zdobywca prestiżowych nagród Pulitzera – oraz niżej podpisana. Publiczność wspaniale reagowała na wszelkie niuanse i zmiany tonu, miała też okazję w odosobnionych przypadkach wysłuchać wierszy w oryginale. Czyżewska brawurowo przedstawiła polski oryginał wiersza Szymborskiej „Urodziny”.

Skąd takie zainteresowanie w USA poezją polskich poetów? Bez wątplenia za sprawą poetów amerykańskich, którzy – jak sami twierdzą – wiele dzięki niej odkryli: poczucie historii i poczucie ironii, poczucie „metafizycznej dziwności istnienia” i poczucie humoru wynikające z uświadomienia sobie tragizmu losu. Edward Hirsch dodał w krótkim komentarzu, że nieodłącznie związane z polską poezją współczesną jest okrutne doświadczenie tych, co przeżyli dwa straszliwe w skutkach totalitaryzmy i zdają z nich relację jako ocaleni, z poczuciem winy wobec milionów zamordowanych współobywateli.

„Nie jest prawdą – rzekłam na bankiecie po Wielkim Czytaniu – że wszyscy Polacy konwersują wierszem. Jest natomiast faktem,

że niektórzy robią to fenomenalnie”. Szymborska jest autorką wiersza „Niekórzy lubią poezję”. Wbrew utartym poglądom Ameryka jest krajem poetów. Poezja żyje w licznych ośrodkach akademickich, na wieczorach autorskich, a nawet w nowojorskim *subway* czy w autobusie, gdzie istnieje zwyczaj nalepiania niedużych plakatów z krótkimi wierszami. Co więcej, dzięki rosnącej liczbie świetnych tłumaczy swobodnie przekracza bariery językowe. Mówi się wprawdzie, że poezja jest nieprzetłumaczalna, ale czy ktoś z państwa czytał „Gilgamesza” lub „Iliadę” w oryginale? Niżej podpisana przedstawiła nowojorskiej publiczności przekłady trzech wierszy z najnowszo tomu poetyckiego Czesława Miłosza „Druga przestrzeń”. Słowa podziwu, które usłyszała pod adresem Autora, przekazuje mu na tych łamach w hołdzie dla jego wiecznej młodej sztuki poetyckiej.

PS Na widowni odnotowano między innymi obecność Salmana Rushdiego, autora „Szatańskich werwetów”, oraz wnuczki Miłosza, pięknej Erin, która nauczyła się polskiego, żeby włączyć językiem dziadka.



Nie tęsknię za starymi czasami, poddaję się prawom chwili

Diabelska głębia

Z TOMASZEM STAŃKO ROZMAWIA ROBERT ZIĘBIŃSKI

ROBERT ZIĘBIŃSKI: Skąd człowiek wie akurat, że muzyk – czy jakkolwiek inny zawód – to jego powołanie? Kiedy nastąpił ten moment w Pana życiu?

TOMASZ STAŃKO: Miałem w życiu dwa takie momenty. Kiedy chodziłem do ogólniaka, słuchałem jazzu z radia. To był mój „ciemny okres”. Byłem zupełnie czysty. Troszkę nieśmiały. Nigdzie nie wychodziłem, bowiem mój ojciec był bardzo surowym człowiekiem. Siedziałem w domu i czytałem Kafkę. Siła muzyki płynącej z radiowych głośników, jej tęsknota, była dla mnie synonimem wyrwania się z samego siebie, z okowów swojego jestestwa. Namacalnie łączyła się z kolorem, zapachem i jest właśnie tym pierwszym momentem. Słuchałem wtedy Milesa Davisa, Cheta Bakera, poszukiwałem Czegoś – przez duże „C”. Choć wiedziałem już, dokąd chcę dotrzeć, trochę bałem się tego życia – jakby na to nie patrzeć, to było ostre życie.

Niby czytałem o Modiglianinie i Parkerze, ale wciąż zdawało się to niebezpieczne. Byłem na jakimś filmie [tutaj Stańko wstaje od stolika, podchodzi do okna i demonstruje opisywaną przez siebie scenę – przyp. R.Z.], rzecz dzieje się na jakiejś ulicy w San Francisco, jakaś

dziewczyna wychodzi na ulicę, staje – zupełnie nie pamiętam, co to był za film, raczej mało znaczący dla kina – w każdym razie ona stoi na tej ulicy, wyciąga jointa, zapala, taka zrelaksowana, a ja w tym momencie mówię: „Kurwa, pierdołę!”. Zamknąłem za sobą ostatnie drzwi i to był właśnie moment, kiedy zostałem tym, kim jestem do tej pory. To bynajmniej nie ma nic wspólnego z paleniem, a jedynie z osobistą decyzją dotyczącą wolności.

Powiedział Pan kiedyś, że muzyka jest częścią Pana życia i utrzymuje Pana przy życiu.

– Tak. Ja żyję muzyką, poprzez muzykę. Ona jest piękna. Jakakolwiek muzyka, każda muzyka. Lubię dźwięki.

Współpracował Pan z ogromną liczbą muzyków znanych, wielkich, legendarnych. Z kim Panu najlepiej się współpracowało, kto Panu dał najwięcej?

– Im większy muzyk, tym lepsza współpraca. Jest charyzma, indywidualność i kontakt przede wszystkim. Z Komedą współpracowało mi się zawsze świetnie, zresztą według mnie on zawsze świetnie grał na fortepianie. Z Urbaniakiem, na początku, to był mój pierwszy angaż. A potem przyszła cała śmietanka europejskich awangardowych muzyków. Obecnie współpracuje z nimi

scena jassowa, ale to już nie jest to samo. Współpraca z Donem Cherry'm – fenomenalny *cat*, znaleźliśmy się wiele lat. Kiedy wspólnie z Komedą graliśmy w Kopenhadze, to Don, który wtedy też tam mieszkał, często przychodził do nas sobie pograć. Jezu, jak teraz o tym myślę, to przecież przez cały czas ktoś się przewijał. O, przypomniał mi się Jean-Luc Ponty – to był sam początek mojej kariery, to był jakiś dziwny projekt radiowej orkiestry jazzmanów z całej Europy.

Czasami mam wrażenie, że jazz w Polsce przestał się kręcić...

– Kręcił się, bo dochodziło mnóstwo nowych rzeczy. Nadal się kręci, tylko w inny sposób. Taka jest już kolej rzeczy. Najpierw jest paru takich jak Komedą, potem wszyscy chcą tacy być i powstają szkoły. Jest coraz więcej muzyków, ale są coraz bardziej płytki. Potem z tej całej masy wychodzą rodzynki takie jak – nieskromnie mówiąc – mój obecny *band*. Bez masy oni by nie powstałi. W czasach Komedy jazz był synonimem świetnej, wielkiej sztuki, w związku z czym wszyscy najbardziej kreatywni artyści o predyspozycjach muzycznych ciągnęli właśnie w jego stronę. Ale przecież wszystko się zmienia. Według mnie to naturalne i nie tęsknię za starymi czasami.

Poddaję się prawom chwili. No, co innego zrobić?

Polska zniknęła z mapy światowego jazzu.

– Tak szczerze mówiąc, to my tam nigdy nie byliśmy. To, że był tam Komedą, o niczym nie świadczy. Zawsze istniały jednostki. Raz są, raz ich nie ma.

„Soul of Things”, Pana najnowszy album, jest niezwykle stonowany, co jednak zaskakuje najbardziej, to Pańska ewolucja od free...

– ...do „rzeczy”, do muzyki bardziej komunikatywnej.

Zmęczył się Pan.

– Nie, ale taki jest kierunek, takie prawo.

Czy nagrywając „Litanię” albo „Soul of Things”, miał Pan wrażenie, że nagrywa album przełomowy dla muzyki?

– Nie, podczas nie, ale potem... Na przykład po „Litani” producent był zachwycony. Wie

A efekt się rozmył.

– Byli za słabi, nie udźwignęli. A taki Brosmann gra przez cały czas.

Wie Pan, że wielu ludzi uważa Pana za anioła polskiego jazzu?

– Ja aniołem? Przecież ja jestem diabłem! Kiedyś zastanawialiśmy się z Mikołajem Trzaską, czy we współczesnym jazzie zjawi się jeszcze postać na miarę Johna Coltrane’a...

– A Steve Coleman! To są właśnie sprawy czasu. Coltrane trafił w swoje czasy, wcześniej Albert Ayler. W kulturze skończyły się czasy geniuszy. Już nie będzie nigdy Picassa, tylko tłumy ludzi, które będą szły w szybkie zmiany – nowi, tak jak jest w muzyce pop czy hip hopie, ciągle nowi i nowości. Bowiem dla wszystkich musi być miejsce, wszyscy chcą grać, a świat jest olbrzymi! A technika na to pozwala. Kiedy tylko Picasso mógł się wybić, a inni

– mówi „Przekrojowi” Tomasz Stańko

pan, trudno nie reagować, kiedy producent – facet, który nagrał tyle płyt, między innymi „Return To Forever” Keitha Jarett’a – mówi do mnie: „Yeah, to jest fantastyczne!”.

Grywał Pan tak zwane tło dla recytujących młodych poetów.

– To wzięło się z przypadku. Zostałem zaangażowany do zagrania czegoś na trąbce solo w przerwie pomiędzy wierszami na festiwalu poetyckim w Krakowie. To był tylko jeden koncert, ale troszkę zacząłem myśleć o tym jako o pełnoprawnym projekcie. Bowiem poezja czytana przez poetę jest czymś innym niż czytana przez aktora. Jest wtedy żywa, emocjonalna.

Jak Pan patrzy na scenę jazzową?

– Trudno powiedzieć, bo tej sceny *de facto* już nie ma. Kiedy ostatnio widziałem się z Mikołajem Trzaską na jakimś koncercie, sam przyznał, że gardzą sami sobą. Chcieliby być tacy jak Brosmann, ale są za mali. To wbrew pozorom jest trudna muzyka – grać tylko ekspresję, utrzymać energię. A oni nie wytrzymali napięcia, zmieniają się, stają się płytki. To, co mi się naprawdę w nich podobało, to decyzja, że będą stali w opozycji do tego mieszczańskiego, szkolnego nurtu, który wszędzie panuje. I to była ich największa zaleta. Ale też należy ocenić efekt tego.

jemu podobni umierali z głodu po jakichś wioskach. Nie trafili. Dzisiaj wszyscy mogą trafić. **Tak, ale jaka to będzie sztuka?**

– Płytki, ale co to za różnica? Nie przeraża mnie to, mimo że jestem starszy i należę do pokolenia, które mija. Tak już będzie: sztuka komputerowa, gdzie wszyscy naśladują wszystkich. Z drugiej strony w momencie, kiedy istnieje tyle dobrych rzeczy, nie ma miejsca dla indywidualistów. Nie każdy może wymyślić swój język – bo wszyscy powariowalibyśmy. Niech pan rzuci okiem na to, co dzieje się w takiej MTV – niektóre klipy to perełki.

Niestety, giną w natłoku kiczu...

– Ginią, ale powiem panu, to też jest taki stan przejściowy. Zobacz pan niedługo, tak jak istnieją niszowe wytwórnie, powstaną niszowe programy satelitarne.

W Internecie już istnieją niszowe stacje radiowe nadające znakomitą muzykę, której nie znajdzie Pan obecnie w żadnej rozgłośni publicznej.

– Od czasu lokomotywy Stevensona ludzie wymyślają coraz szybsze pojazdy, coraz szybciej myślą i coraz szybciej żyją...

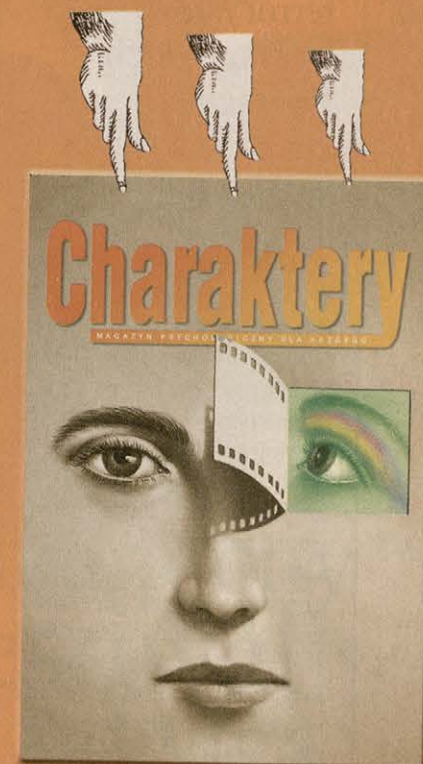
A Pan idealnie zwolnił.

– No, ja już muszę zwolnić, przecież niedługo trzeba się będzie przenieść do tego małego domku...

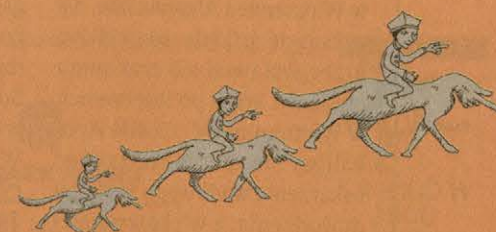
Rozmawiał **ROBERT ZIĘBIŃSKI**

Jak człowiek uczy się bólu
Ból można zrozumieć
Psychologiczne metody
oceniania typu i siły bólu
Emocjonalne przeżywanie bólu

O tym przeczytacie w:



Jedynie popularne pismo
psychologiczne dla tych,
którzy szukają, pytają,
dążą...



W kwietniowych „Charakterach”
do wygrania indeks Instytutu
Psychologii Stosowanej
Uniwersytetu Jagiellońskiego

Hollywood rusza na wojnę. Zanim jednak pokażą się kolejne filmy o amerykańskich chłopcach, którzy gromią terrorystów na wszystkich frontach, cenna jest każda chwila refleksji



Nominowany do Oscara Sławomir Idziak stylizuje zdjęcia na telewizyjny reportaż z pola walki

Filmy o wojsku powstawały w Hollywood zawsze. W okresie wojen i politycznych napięć miały podnosić morale żołnierzy i utwierdzać cywilów w poczuciu bezpieczeństwa. W czasach pokoju – zapewniać stały dopływ chętnych do służby w armii. I jeden, i drugi nurt wypracował własne wzorce: wojsko na ekranie to przede wszystkim patriotyczny obojętność, ale i romantyczna przygoda; wysiłek, ale i pewność zwycięstwa; surowy regulamin, ale i sprawiedliwość.

Wszystko to zmienia się na naszych oczach po 11 września, choć w rzeczywistości zmieniało się od dawna. Rambo walczył z komunistami w Wietnamie i Afganistanie, ale w istocie przede wszystkim przeciwstawiał się czarnemu obrazowi armii po interwencji w Wietnamie. W „Czasie Apokalipsy” można się doszukać oskarżenia wadliwego systemu dowodzenia, a w „Łowcy jeleni” – poszukiwania przyczyn wietnamskiej klęski w słabości jednostek.

„Helikopter w ogniu” Ridleya Scotta jest również filmem o klęsce. Powraca do interwencji amerykańskiej w Somalii w la-

W godzinie klęski

tach 1992–1993. Miała ona powstrzymać wojnę domową i umożliwić dotarcie międzynarodowej pomocy do głodującej ludności. Żadnego z tych celów nie udało się osiągnąć, doszło natomiast do takich incydentów jak opisany w filmie Scotta. Amerykański oddział 160 żołnierzy z elitarnych sił szybkiego reagowania przy wsparciu z powietrza miał aresztować najbliższych współpracowników miejscowego watażki Mohameda Farraha Aidida w centrum Mogadyszu. Akcja zaplanowana na godzinę zamieniła się w prawdziwą wielogodziną bitwę. Somalijskie bojówki stanęły w obronie swoich przywódców. W wyniku walk zginęło 18 Amerykanów, rany odniosło około 70, stracono dwa śmigłowce – i prestiż amerykańskiej armii. Wkrótce potem prezydent Clinton wycofał swoje oddziały z Somalii.

Ridley Scott relacjonuje przebieg fatalnej operacji, opierając się na dokumentalnej książce

Marka Bowena. W wielu elementach „Helikopter w ogniu” odwołuje się do kanonów kina wojennego: jest klasyczna dla gatunku prezentacja bohaterów, są przykłady ich męstwa i pokora dowódców, którzy zrazu nie w pełni ich doceniali.

Scott ucieka jednak od schematów, w chwili gdy przechodzi do opisu samego starcia. Sposób, w jaki je pokazuje, jednoznacznie odwołuje się do sekwencji wstępnej „Szeregowca Ryana” – z jedną istotną różnicą: tam zdobywca Oscara Janusz Kamiński stylizował zdjęcia na kroniki filmowe z lat 40., tutaj inny polski operator – nominowany do Oscara Sławomir Idziak – wzoruje się na współczesnych reportażach telewizyjnych z pola walki.

Beznamiętna relacja wzmocniona użyciem rozmaitych filtrów, w stosowaniu których Idziak jest prawdziwym mistrzem (dość przypomnieć jego zdjęcia do „Krótkiego filmu o zabijaniu”), porusza do głębi

i przenosi widza w sam środek wydarzeń. Dzięki temu pytania zadawane przez żołnierzy – o przyczyny zaważenia się precyzyjnego planu ataku, brak wsparcia, błędy w organizacji i dowodzeniu, wreszcie o sens całej operacji – stają się naszymi pytaniami. Pytaniami, które Ridley Scott podchwytuje i zadaje raz jeszcze w szerszym kontekście, nie tylko Mogadyszu i Somalii, lecz całego świata, odpowiedzialność za który znów spada na barki Amerykanów.

Hollywood rusza na wojnę. To pewne. Zanim jednak pokażą się hurraoptymistyczne filmy o dzielnych chłopcach, którzy dokonują cudów odwagi na frontach wojny z międzynarodowym terroryzmem, cenna jest każda chwila refleksji. Znajdziemy ją we wstrząsającym, przerażającym, ale i fascynującym „Helikopterze w ogniu”.

KONRAD J. ZARĘBSKI

„Helikopter w ogniu”, reż. Ridley Scott, USA 2001, Warner

SLABE

PRZECIĘTNE

ZACNE

ZNAKOMITE

WYBITNE

Z PIEKŁA RODEM

Legendarny Jack the Ripper, XIX-wieczny morderca z Londynu, do tego stopnia zagościł w naszej podświadomości, iż przed laty w „Gazecie Wyborczej” można było przeczytać następującą notkę: „Wczoraj w Warszawie odsłonięto pomnik bohatera Powstania Warszawskiego Kuby Rozpruwacza”. Sprostowanie z następnego dnia wyjaśniało, że chodziło oczywiście o pomnik Antka Rozpylacza.

Zdając sobie sprawę z tego, że wiecznie żywe są jedynie historie obfitujące w trupy, twórcy filmu dają nam jeszcze jedną wersję historii o potwornych zbrodniach popełnionych od 6 sierpnia

do 9 listopada 1888 roku w londyńskiej dzielnicy Whitechapel na tamtejszych prostytutkach. Tym razem Rozpruwacza ściga inspektor Abberline (Johnny Depp), opiumista z talentem jasnowidza. Czując miętę do rudowłosej ulicznicy Marii Kelly (Heather Graham), stara się ją uchronić przed losem koleżanek, którym ktoś podrzywa gardła i wycina narządy. Trzeba przyznać, że wyjaśnienie, iż w zbrodnię zamieszana jest brytyjska rodzina królewska, jest atrakcyjne. Intryga to najlepsza część tego filmu, szkoda jedynie, że rozmywa się w niepotrzebnych wątkach pobocznych i nadmiernej skłonności twórców do przestetyzowanych kadrów, które nie współtworzą grozy, ale wręcz ją niwelują. Abberline ratuje Marię Kelly, co wyraźnie pokazuje, że powinno się żyć w filmach, a nie w świecie rzeczywistym. Prawdziwa Maria Kelly była bowiem ostatnią ofiarą Kuby Rozpruwacza. Po jej śmierci morderstwa nagle ustały. Kim był prawdziwy zbrodniarz, nie ustalono nigdy. Podejrzewa się, że mógł to być rosyjski felczer, pracujący w roku 1888 w Londynie, do którego przybył z Paryża, gdzie również podejrzewano go o zabicie prostytutki. Rosjanin ów zniknął z Londynu i skończył w azylu dla obłąkanych w Petersburgu, gdzie w roku 1891 popełnił jeszcze jedno morderstwo na kobiecie.

(AS)

reż. Albert i Allen Hughes, USA 2001, Syrena

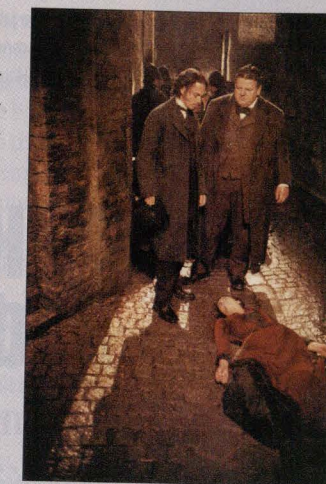
KARIERA NIKOSIA DYZMY

Hektolitra potu, które bez wątpienia wylano nad scenariuszem współczesnego „Dyzmy”, poszły, niestety, na marne. Zamiast cwanej satyry na dzisiejszą Polskę dostaliśmy gniota na miarę III RP. Miałoby być – bo o coś innego mogło chodzić artystom – pieprzenie, dowcipnie i aktualnie, a jest golizna, kawały z brodą i wdzięk rodem z tygodnika „Nie”. Wprawdzie Cezary Pazura w roli tytułowej dwoi się i troi, ale skutek jest taki jak zawsze – żałość i zgroza. A że inni aktorzy skwapliwie idą w ślady naszego gwiazdora (wyłamuje się chyba tylko Krzysztof Pieczyński – oklaski), otrzymujemy ciekawe – choć głównie ze względów pozaartystycznych – widowisko.

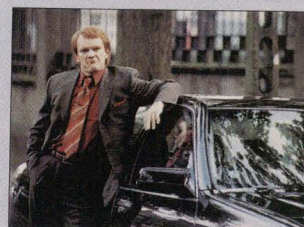
No i ta odwaga! Film powstał już po ostatnich wyborach, więc artyści bezlitośnie drwią z solidaruchów, ale – jakże przytomnie – starają się niczym nie urazić obecnych włodarzy naszego zabawnego kraju. Jeśli więc lubią Państwo popatrzeć, jak kopia leżącego – zapraszam do kin.

(MS)

reż. Jacek Bromski, Polska 2002, Vision



...



van Beeth

Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena

Kraków

25 marca–1 kwietnia 2002

www.krakow2000.pl

PKO BANK POLSKI

KULTURZE NARODOWEJ

KRAKÓW 2000 EUROPEJSKIE MIASTO KULTURY

PZU

POLSKIE LINIE LOTNICZE LOT

ORLEN

2

POLSKIE RADIO 2

RADIO KRAKÓW

wprowst

PRZEKRÓJ

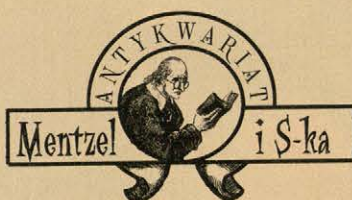
THE WARSAW VOICE

VIVA!

CITY

DIENNIK POLSKI

europakart



Mieczysław F. Rakowski,
„Rzeczpospolita na progu
lat osiemdziesiątych”, oddano
do składania 22 grudnia 1980 r.,
podpisano do druku w czerwcu 1980,
druk ukończono w lipcu 1981,
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 1981, 261 s.

Wiosną roku 1978 na korytarzu redakcji tygodnika „Polityka” Hanna Krall wyznała mi w najgłębszej konfidencji, że Mieczysław F. Rakowski pisze do szuflady książkę i jak tylko skończy, maszynopis z pewnością da jej na kilka dni do przeczytania. Identyczne wyznanie usłyszałem wkrótce od 10 innych koleżanek i kolegów z pracy. Książka, którą nasz pryncypał pisał do szuflady, była podobno tak śmiała, a proponowane w niej reformy państwa tak daleko idące, że profesor Jan Szczepański nie miał wątpliwości, iż należy ją postawić obok dzieła Ostroroga, traktatów Frycza-Modrzewskiego, kazań Skargi i pism Kollątaja czy Staszica. Zimą roku 1979 Mieczysław F. Rakowski skończył pierwszą wersję pisanej do szuflady książki i maszynopis począł krążyć wśród najbardziej zaufanych przyjaciół autora. „Prze- czytałeś już książkę Mietka?”. „Jak to? Mietek nie dał ci jeszcze swojej książki?”. „Koń- czę właśnie książkę Mietka”. „Mietek będzie u mnie dzisiaj na kolacji. Porozmawiam z nim o jego książce”. Latem roku 1981 druga wersja książki Mieczysława F. Rakowskiego ukazała się drukiem. Kiedy kilka dni temu kartkowałem ją mechanicznie, na dwa zdania zwróciłem uwagę. Pierwsze brzmiało: „Ludziom bez wyobraźni należy przypominać, że w życiu narodów i klas, bez względu na takie czy inne uwarunkowania, ideologiczne lub polityczne, dochodzi do wydarzeń, które »nie śniły się filozofom«”. A teraz drugie: „Umocnienie kierowniczej roli PZPR uważam za nadrzędny cel polityczny, na dziś i na jutro”. Swoją drogą ciekawe, czy wtedy, zimą roku 1979, poprosiłem Hannę Krall w najgłębszej konfidencji, aby maszynopis napisanej do szuflady książki Mieczysława F. Rakowskiego pożyczła mi na jeden dzień do przeczytania. Nie pamiętam. Chyba tak.

ZBMENTZEL@WP.PL

Wywiad z Thomasem Brussigiem, autorem powieści „Aleja Słoneczna”



FOT. RED DOT

W jednym z wywiadów powiedział Pan: „Chciałbym, żeby powstał taki film, po którego obejrzeniu zachodni Niemcy będą żałować, że nie mieli okazji mieszkać w NRD”. Czy w filmie „Aleja Słoneczna” to się udało?

– Myślę, że tak, film rzeczywiście odniósł ogromny sukces, a nawet stał się filmem kultowym. Wschód i wszystko, co z nim związane, stało się kultowe, a już szczególnie lata 70. Dla Zachodu NRD czy w ogóle Europa Wschodnia były zupełnie obce, a po zjednoczeniu Niemiec stały się miejscem bardziej odległym niż Księżyc. Czasami dochodziło do takich sytuacji, kiedy trzeba było zachodnim Niemcom wyjaśniać, że tutaj nie było wcale inaczej niż u nich, że też nauczylimy się jeść nożem i widelcem, że kiedy młodzi ludzie się kochali, to potem się pobierali.

W Europie Zachodniej sporo intelektualistów było pod wrażeniem komunistycznych systemów. Jednak dla wielu wizyta po drugiej stronie była wielkim rozczarowaniem.

– Oczywiście. Po zjednoczeniu na Zachodzie pojawiło się wielu rozczalonych, że eksperyment, który odpowiadał ich fantazjom na temat poprawiania świata, nie będzie już kontynuowany. Nam, którzy poddani zostaliśmy temu eksperymentowi, nie do końca on jednak odpowiadał.

Stasiuk w książce „Jak zostałem pisarzem” pisze: „Czytało się, chodziło się, słuchaliśmy, piliśmy, byliśmy ostatnim tak szczęśliwym pokoleniem”. Czy w NRD były książki, zespoły muzyczne, autorzy, którzy dla Pańskiego pokolenia byli ważni?

– Zdecydowałem się na lata 70., ponieważ są z jednej strony dość odległe, z drugiej natomiast nie do końca zbadane. Można więc za- topić się we wspomnieniach, w nostalgii, która

THOMAS BRUSSIG (ur. 1965) – wybitny niemiecki prozaik i dramaturg. Sławę przyniosła mu powieść „Helden wie wir” („Bohaterowie jak my”) z roku 1995, potem „Aleja Słoneczna” (1999). Współautor scenariuszy do filmu „Słoneczna Aleja” (reż. Leander Haussmann), który miał w Niemczech 2,5 miliona widzów

Piłka nad murem

Znam takich, dla których Polska była krajem kultowym

człowieka zdecydowanie trudniej nachodzi, kiedy w pamięci ma się same fakty. Ani książka, ani film nie tropią historycznej prawdy. Przeciwnie, ilustrują, jak to, co faktycznie pozostaje jako nasze wspomnienia, tak naprawdę nie jest już żadnym wspomnieniem.

Dla mnie dużo ważniejsze były lata 80. Wtedy właśnie, jeśli pojawiało się coś ważnego, to wszyscy o tym dyskutowali. To pewnie zabrzmiało dziwnie, ale na przykład na początku lat 80. w NRD wybuchła debata na temat egzystencjalizmu. Wtedy nareszcie ukazały się dzieła egzystencjalistów, które naprawdę powstały w latach 40. czy 50. Albo „Błaszany bębenek”, jeśli się nie mylę, wyszedł dopiero w roku 1987. To, że coś nowego może być ważne – pewnie dla Polaków będzie zaskakujące to, co teraz powiem – to przyszło wraz z Gorbaczowem. To, co wcześniej działo się w Polsce i co do nas docierało: strącanie pomników Lenina, Gdańsk, Solidarność, do tego podchodzono bardzo sceptycznie. Słychać było raczej komentarze w stylu: „Och, Boże! Do czego to doprowadzi? Jak będą strajkować, to przecież wkrótce nie będą mieli co jeść!”. Pamiętam, że jako 10-latek zbierałem butelki jako pomoc dla Wietnamu. Osiem lat później podobną zbiórkę organizowano na rzecz Polski. W ten sposób dawano nam do zrozumienia, że po wprowadzeniu stanu wojennego Polska jest krajem, który właśnie stoi na skraju całkowitego upadku.

Michael Gratz, NRD-owski pisarz i dziennikarz, pisał w swoim dzienniku: „...w Berlinie i Lipsku są Polskie Domy Kultury: płyty, sztuka, plakaty; przy okazji każdych odwiedzin nowa płyta Niemena. (...) Studencki Klub Filmowy pokazuje filmy Wajdy, Zanussiego i Kutza. Pijemy żubrówkę, aromatyzowaną wódkę ze żdźbłem trawy w środku. Polska była kultowa”. Michael Gratz

jest starszy od Pana. Czy dla Pańskiego pokolenia Polska również była krajem kultowym?

– Owszem, znam takich, dla których Polska była krajem kultowym. Te podróże na festiwale Jazz Jamboree do Warszawy, szczególnie gdy pojawiały się tam wielkie gwiazdy w stylu Milesa Davisa. Dla mnie Polska nie była kultowa. Czesław Niemen nie należał do moich ulubionych wykonawców, raczej można powiedzieć, że działał mi na nerwy, tak samo jak wielu innych piosenkarzy z bloku wschodniego, nie wyłączając zespołów NRD-owskich.

W Pana ostatniej książce „Półki piłki w grze” opisuje Pan pokrótce prawie całą historię piłki nożnej, koncentrując się oczywiście na najważniejszych meczach rozgrywanych przez Niemców.

– Opowiadam historię człowieka opętanego przez piłkę nożną. Wydaje mu się, że dzięki niej przynależy do Europy, bo na temat futbolu można się porozumieć z każdym w każdym kraju. Nawet kobiety, które z zasady nie zaliczają się do fanów piłki nożnej, czasami się nią interesują, żeby jakoś tę męską obsesję zrozumieć.

Książka jest swego rodzaju piłkarską filozofią.

– Postawiłem sobie dość trudne zadanie: żeby po przeczytaniu tej książki ci, którym ten po-

blem nie jest obcy, nie mogli oglądać meczów piłkarskich tak jak do tej pory. Dla bohatera mojej książki piłka jest konfrontacją z własnymi ułomnościami. Niedawno udało mi się nawiązać kontakt z pewnym filozofem z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie, który prawie równolegle z moją książką napisał rozprawę na temat poetyki futbolu i doszedł w niej do tych samych wniosków.

Czy Pan pamięta słynny mecz Polska – RFN w półfinałach mistrzostw świata w 1974? Pański bohater wymienia kilka ważnych pojedynków, które stoczyły drużyny z Europy Wschodniej z zachodnioniemiecką jedenastką, między innymi Węgry i NRD. Starcie na boisku dwóch zespołów jest dla niego w tym przypadku walką dwóch politycznych systemów. Dlaczego więc pominął Pan ten mecz?

– Kiedy rozgrywano ten półfinał, miałem osiem lat. Doskonale pamiętam, że mecz rozpoczął się z 45-minutowym opóźnieniem, ponieważ usuwano wodę z boiska. Pamiętam też wspaniałe parady Tomaszewskiego, a także to, że dla kraju z bloku wschodniego był to niesamowity sukces, trzecie miejsce w mistrzostwach świata. Jednak wydaje mi się, że meczem z tych mistrzostw, który ciągle jeszcze wspomina się w Niemczech, jest pojedy-

nek niemiecko-niemiecki. Ale muszę przyznać, że po raz pierwszy słyszę interpretację tego tekstu jako walki dwóch politycznych systemów.

Rozmawiała RENATA KOPYTO

Thomas Brussig przyjeżdża w marcu do Polski. Czytelnicy będą mogli go spotkać 20 w Warszawie i 21 w Krakowie.



Bohaterowie powieści, Mario i Micha, mieszkają w alei Słonecznej, ulicy, którą przedzielił mur berliński. Po stronie wschodniej zaczynała się od numeru 379. Ludzie ze strony zachodniej oglądali sobie bloki i ich mieszkańców. Do budki telefonicznej pod domem nie schodziło się bez dokumentów, ale nikt się tym

specjalnie nie przejmował. Działy się rzeczy ważniejsze. Mario zakochał się w Egzystencjalistce, która nawet w scenach miłosnych nosi beret, lubi się kochać przy Edith Piaf i pija wino Barenblut z podmienioną nalepką z wina francuskiego. Rzecz dzieje się w latach 70. i 80. W dniu złowieckiego muru toczy się wesołe życie grupki dorastających ludzi. Humoru i sprawności pióra może pozazdrościć Brussigowi nikt inny polski pisarz.

(JS)

Thomas Brussig „Aleja Słoneczna”,
Czarne, Wołowiec 2002

czytałeś
Cogito
czytaj nowy miesięcznik

• Praca po i na studiach
• Stypendia, staże, praktyki
• Studia i praca za granicą

IMPULS poznaj swoje możliwości!

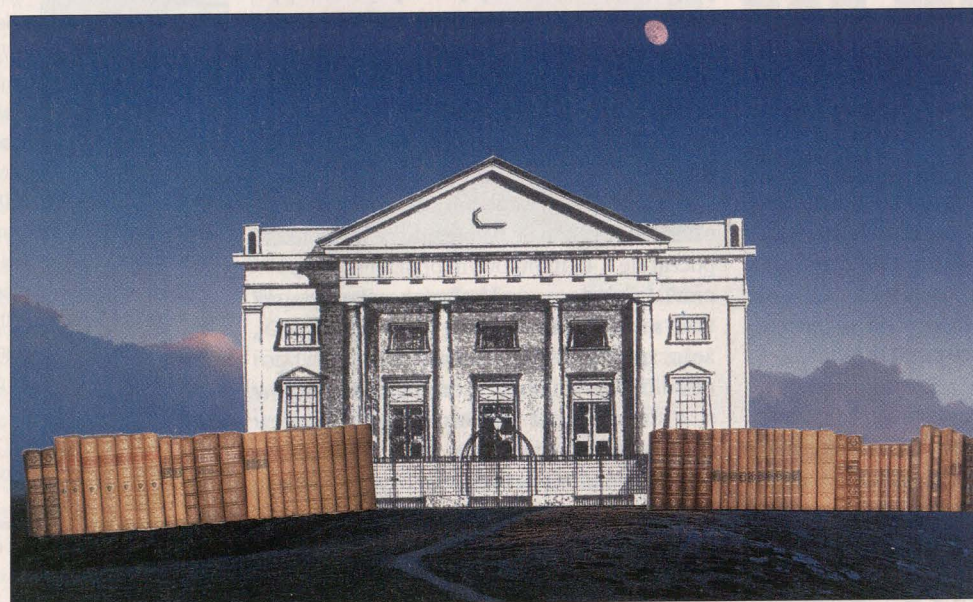
PISMO MŁODYCH
IMPULS
cena 4,60 zł
(w tym 7% VAT)
Nr 2/2002 (2) kwiecień 2002

ROZMOWA:
Kazik Staszewski

TWOJA PRZYSZŁOŚĆ:
biologia, politologia
RAPORT:
Uciekaj przed wojskiem

HENRY MILLER

Książki mego życia



To jedna z piękniejszych książek, jakie ukażą się w Polsce tej wiosny. Publikujemy przedmowę do „Książek mego życia” Henry’ego Millera napisaną przez niego samego. 58-letni skandalista, autor słynnych powieści „Zwrotnik Raka” i „Zwrotnik Koziorożca”, opowiada tutaj o swoich najważniejszych lekturach i autorach. Nie musimy zgadzać się z jego ocenami:

Miller rzuca w kął Tomasza Manna, bo sztuczny, a książka

„Trzech panów w łódce, nie licząc psa” Jerome’a K. Jerome’a wcale go nie śmieszy.

„Żyli i mówili do mnie” – pisze, a jego portrety ulubionych autorów przypominają listy do bliskich przyjaciół (niezależnie od tego, czy ich znał, czy też nie):

„Cendrars, sponiewierałeś mnie i posiniaczyłeś”. Bywa autoironiczny, gdy wspomina na przykład o swojej manii listowej – bardzo pragnął dzielić się

zachwytem nad książkami młodych autorów, stał więc listy do wydawców.

Niestety, im bardziej kogoś promował, tym gorliwiej odmawiano mu druku.

Widzimy w tej książce postać Millera – nieco egzaltowanego, który przerywa ulubioną lekturę, żeby klasnąć z radości, albo wzrusza się do łez. Cytuje jednego z mistrzów duchowych,

a zaraz potem pisze o fenomenie czytania w klozecie.

A czytelnikowi tej książki udziela się jego entuzjazm, nie tylko dla książek.

(JS)

Należy czytać coraz mniej

Lawrence’owi Clarkowi Powellowi,
bibliotekarzowi Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles

Celem tej książki, która w ciągu następnych paru lat rozrośnie się do kilku tomów, jest zakończenie opowieści o moim życiu. Traktuje ona o książkach jako decydującym doświadczeniu. Nie jest opracowaniem krytycznym ani nie zawiera programu samokształcenia.

Jednym z rezultatów owej autoanalizy – jej bowiem równa się pisanie tej książki – jest potwierdzona pewność, że należy czytać coraz mniej, a nie coraz więcej. Jak ujawni rzut oka do Załącznika, bynajmniej nie przeczytałem tyle co uczony, mól książkowy lub nawet człowiek „dobrze wykształcony” – a mimo to niewątpliwie przeczytałem sto razy więcej, niż powinienem był przeczytać dla własnego dobra. Ponoć tylko co piąty Amerykanin jest czytelnikiem „książek”. Ale nawet ta niewielka liczba czyta o wiele za dużo. Chyba nikt z nich nie żyje mądrze i w pełni.

Pojawiały się i zawsze będą się pojawiać książki, które są naprawdę rewolucyjne – to znaczy natchnione i inspirujące. Oczywiście jest ich niewiele i stanowią rzadkość. Człowiek ma szczęście, jeśli natrafi

peramentu, każdego rodzaju inteligencji. Nic dziwnego, że kształcimy lepszych inżynierów niż pisarzy, lepszych ekspertów od przemysłu niż malarzy.

Moje spotkania z książkami traktuję w dużej mierze jak spotkania z innymi przejawami życia lub myśli. Każde spotkanie kształtuje, nie izoluje. W tym, i tylko w tym, znaczeniu książki są tak samo częścią życia jak drzewa, gwiazdy czy łajno. Nie darzę ich szacunkiem *per se*. Nie zaliczam również pisarzy do jakiejś specjalnej, uprzywilejowanej kategorii. Są jak inni ludzie, nie lepsi i nie gorsi. Wykorzystują dane im zdolności tak jak każda inna grupa ludzkich istot. Jeżeli bronię ich od czasu do czasu – jako klasę – to dlatego, że uważam, iż przynajmniej w naszym społeczeństwie nigdy nie osiągnęli statusu i względów, na jakie zasługują. Szczególnie ci wielcy prawie zawsze traktowani byli jak kozły ofiarne.

Postrzeganie siebie jako czytelnika, którym byłem niegdyś, przypomina obserwację człowieka przedzierającego się przez dżunglę. Muszę przyznać, że mieszkając w sercu dżungli, dowiedziałem się o niej paru rzeczy. Życie w dżungli nigdy jednak nie było moim celem – było nim wydostanie się z niej! Jestem całkowicie przekonany, że nie ma potrzeby mieszkać w gąszczu książek. Życie samo stanowi

Sto książek, które wywarły na mnie największy wpływ: **Dzieła dramaturgów starogreckich** ■ **Księga tysiąca i jednej nocy** (wersja dla dzieci) ■ **Dzieła dramatopisarzy epoki elżbietańskiej (oprócz Szekspira)** ■ **Dzieła europejskich dramatopisarzy XIX-wiecznych, z irlandzkimi i rosyjskimi włącznie** ■ **Mity i legendy greckie** ■ **Opowieści o rycerzach króla Artura** ■ **ABÉLARD PIERRE Historia moich niedoli** ■ **ALAIN-FOURNIER Mój przyjaciel Meaulnes** ■ **ANDERSEN HANS CHRISTIAN Baśnie** ■ **AUTOR ANONIMOWY Diary of a Lost One** ■ **BALZAC HONORÉ DE Seraphita, Ludwik Lambert** ■ **BELLAMY EDWARD W roku 2000** ■ **BELLOC HILAIRE The Path to Rome** ■ **BŁAWATSKA Mme H.P. Nauka tajemna** ■ **BOCCACCIO GIOVANNI Dekameron** ■ **BRETON ANDRÉ Nadja** ■ **BRONTË EMILY Wichrowe wzgórza** ■ **BULWER-LYTTON EDWARD Ostatnie dni Pompei** ■ **CARROLL LEWIS Alicja w krainie czarów** ■ **CÉLINE LOUIS FERDINAND Podróż do kresu nocy** ■ **CELLINI BENVENUTO Benvenuto Celliniego żywot własny spisany przez niego samego** ■ **CENDRARS BLAISE – praktycznie cała twórczość** ■ **CHESTERTON G.K. Święty Franciszek z Asyżu** ■ **CONRAD JOSEPH – większość jego dzieł** ■ **COOPER JAMES FENIMORE Pięcioksiąg przygód Sokolego Oka** ■ **DEFOE DANIEL Przypadki Robinsona Cruzoe** ■ **DOSTOJEWSKI FIODOR – większość jego dzieł** ■ **DREISER THEODORE – większość jego dzieł** ➤

w całym swym życiu na garść z nich. A poza tym nie są to książki naruszające spokój ogółu. To ukryte zbiorniki, które zasilają mniej utalentowanych ludzi wiedzących, jak przemawiać do człowieka z ulicy. W każdej dziedzinie znaczna część literatury składa się ze zużytych idei. Problemem – niestety, nierozwiązanym! – jest to, do jakiego stopnia byłoby skuteczne pozbawienie dostaw taniej strawy duchowej. Jedną rzecz jest dzisiaj pewna – analfabeci na pewno nie są ludźmi najmniej inteligentnymi wśród nas.

Jeżeli ktoś dąży do wiedzy lub mądrości, niech lepiej pójdzie prosto do źródła. A ich źródłem nie jest uczony ani filozof, nie mistrz, święty ani nauczyciel, lecz samo życie – bezpośrednie doświadczenie życiowe. To samo dotyczy sztuki. Tutaj także możemy się obyć bez „mistrzów”. Kiedy piszę „życie”, mam co prawda na myśli życie innego rodzaju niż to, które dzisiaj znamy (...).

W wieku, który uważa, że do wszystkiego można dojść na skróty, musimy się jeszcze nauczyć, że najtrudniejsza droga jest ostatecznie najprostsza. Wszystko to, co przytoczono w książkach, wszystko to, co wydaje się tak strasznie ważne i niezbędne, jest tylko drobną częścią tego, z czego wypływa i z czego każdy może czerpać. Cała nasza teoria edukacji opiera się na absurdalnym założeniu, że musimy się nauczyć pływać na lądzie, zanim wejdziemy do wody. Odnosi się to zarówno do działalności twórczej, jak i do dążenia do wiedzy. Ludzi nadal uczy się tworzenia przez studiowanie dzieł innych ludzi lub przez robienie projektów i szkiców, które nigdy nie będą zrealizowane. Sztuki pisanie uczą się w szkole zamiast w wirze życia. Studentom wciąż oferuje się wzorce, które mają pasować do każdego tem-

wystarczającą dżunglę – bardzo prawdziwą i bardzo pouczającą, mówiącą łagodnie. Zapytacie jednak, czy książki nie mogą być pomocą, przewodnikiem w przedzieraniu się przez gąszcz? „N’ira pas loin – rzekł Napoleon – celui qui sait d’avance où il veut aller”.

Zasadniczym celem tej pracy jest złożenie hołdu, tam gdzie jest on należny, zadanie, którego – wiem o tym z góry – nie sposób wykonać. Gdybym miał to zrobić należycie, musiałbym paść na kolana i dziękować każdemu źdźbłu trawy za podniesienie łebka. W tej syzyfowej pracy podtrzymuje mnie przede wszystkim to, że na ogół bardzo mało wiemy o wpływach kształtujących życie i twórczość pisarza. W swej napuszonej zarozumiałości i arogancji krytycy zniekształcają prawdziwy obraz nie do poznania. Jednak autor, choćby w swoim mniemaniu w ogóle nie miał się z prawdą, nieuchronnie ów obraz deformuje. Psycholog ze swoją jednostronną oceną sytuacji dodatkowo go tylko zaciemnia. Nie sądzę, żebym jako autor był wyjątkiem od tej reguły. Ja także winien jestem deformacji, maskowania i ukrywania faktów – o ile są w ogóle jakieś „fakty”. Moje świadome wysiłki wiodły jednak – być może aż do przesady – w przeciwnym kierunku. Opo-wiadam się za objawieniem, jeśli nie zawsze za pięknym, prawdą, mądrością, harmonią i coraz większą perfekcją. W tej pracy poddaję nowe dane osądowi i analizie, podsuwam je, żeby je zaakceptowano i bawiono się nimi dla samej zabawy. Oczywiście, nie mogę pisać o wszystkich książkach, ani nawet o wszystkich ważnych, które przeczytałem w moim życiu. Zamierzam jednak pisać o książkach i autorach aż do całkowitego wyczerpania znaczenia (dla mnie) tej sfery rzeczywistości.

Podjęcie niewdzięcznego zadania wyliczenia z pamięci wszystkich książek, jakie kiedykolwiek czytałem, dostarcza mi ogromnej przyjemności i satysfakcji. Nie znam autora, który był tak szalony, by tego spróbować. Być może moja lista spowoduje jeszcze większe zamieszanie – ale nie to jest naszym celem. Ci, którzy potrafią rozszyfrować człowieka, wiedzą, jak odczytywać jego książki. Dla nich ten zestaw będzie mówił sam za siebie. (...)

U podstaw tej książki leży prawdziwa tęsknota. Nie jest to tęsknota za przeszłością samą, jak może się niekiedy wydawać, ani tęsknota za chwilami przeżytymi do ostatnich granic. Takie chwile zdarzały się – czasem dzięki kontaktowi z książkami, czasem dzięki kontaktowi z ludźmi – mężczyznami i kobietami – których nazywałem żywymi księgami. Czasem jest to tęsknota do towarzystwa chłopaków, z którymi dorastałem i z którymi chyba najsilniej związany byłem przez... książki. (Muszę tu jednak wyznać, że choć te wspomnienia są pogodne i ożywcze, w niczym nie dorównują pamięci o dniach spędzonych w towarzystwie moich dawnych bożyszczy, tych chłopaków – dla mnie wciąż są chłopakami! – którzy nosili wiekopomne nazwiska: Johnny Paul, Eddie Carney, Lester Reardon, Johnny i Jimmy Dunne i których nigdy nie widziałem z książką ani nie kojarzyłem z książką w najluźniejszy

kład Wielki Inkwizytor lub Wieczny mąż – mój ulubiony w całej twórczości Dostojewskiego – wymagają osobnych książek. Możliwe, że gdy dojdę do Bierdiajewa i owej zgrai egzaltowanych pisarzy rosyjskich z XIX wieku – ludzi ze skłonnością do eschatologii – zacznę mówić bodaj część z tego, co pragnąłem powiedzieć od dwudziestu lub więcej lat. Jest jeszcze markiz de Sade, jedna z najbardziej oczernianych, znieślawianych i błędnie rozumianych – rozmyślnie i uparcie – postaci w całej literaturze. Czas, bym się zabrał za niego! Z tyłu, przyćmiewając go, stoi Gilles de Rais, jedna z najwspanialszych, najbardziej złowieszczych i najbardziej zagadkowych postaci w dziejach Europy. (...)

Będę również – „czemu nie?”, jak mawia Picasso – rozwodzić się na temat „pornografii i obsceniczności” w literaturze. W rzeczywistości napisałem już na ten temat parę ładnych stron, które zachowałem na drugi tom. Tymczasem bardzo potrzebuję wiarygodnych danych. Na przykład chciałbym wiedzieć, jakie są najwspanialsze książki pornograficzne wszystkich czasów. (Znam zaledwie parę). Kim są pisarze, których wciąż uznaje się za „obscenicznych”? W jak szerokim obiegu są ich książki i gdzie przede wszystkim? W jakich językach? Na myśl przychodzi mi tylko trzech wielcy pisarze, których dzieła są nadal zakazane w Anglii i Ameryce, a i to jedynie niektóre z ich książek,

■ DUHAMEL GEORGES *Życie Salavina* ■ DU MAURIER GEORGE *Trilby* ■ DUMAS ALEXANDRE *Trzej muszkietierowie* ■ ECKERMANN JOHANN PETER *Rozmowy z Goethem* ■ ELTZBACHER PAUL *Anarchism* ■ EMERSON RALF WALDO *Przedstawiciele ludzkości* ■ FABRE HENRI – większość jego dzieł ■ FAURE ELIE *The History of Art* ■ FENOLLOSA ERNEST *The Chinese Written Character as a Medium for Poetry* ■ GIDE ANDRÉ *Dostojewski* ■ GIONO JEAN *Jan Błękitny, Refus d'Obéissance, Que ma joie demeure* ■ VAN GOGH VINCENT *Listy do brata* ■ GRIMM, BRACIA *Baśnie...* ■ GUTKIND ERICH *The Absolute Collective* ■ HAGGARD RIDER *Ona, czyli Historia pewnej podróży* ■ HAMSUN KNUT – większość jego dzieł ■ HENTY G.A. – większość jego dzieł ■ HESSE HERMANN *Sidhartha* ■ HUDSON W.H. – większość jego dzieł ■ HUGO VICTOR *Nędznicy* ■ HUYSMANS JORIS KARL *Na wspak* ■ JOYCE JAMES *Uliisses* ■ KEYSERLING HERMANN *South American Meditations* ■ KROPOTKIN PIOTR *Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju* ■ LAO-CY *Tao-te-cing* ■ LATZKO ANDREAS *Men in War* ■ LONG HANIEL *Interlinear to Cabeza de Vaca* ■ M. *Gospel of Ramakrishna* ■ MACHEN ARTHUR *The Hill of Dreams* ■ MAETERLINCK MAURICE – większość jego dzieł ■ MANN THOMAS *Czarodziejska góra* ■ MENCKEN H.L. *Prejudices* ■ NERVAL GÉRARD DE – większość jego dzieł ■ NIETZSCHE FRIEDRICH – większość jego dzieł ➤

nawet sposób). Niezależnie od tego, czy słowa te wypowiedział Goethe, czy de Gaultier, ja także wierzę niezachwianie, że prawdziwa tęsknota musi być płodna i musi sprzyjać tworzeniu rzeczy nowych i lepszych. Gdyby miała jedynie na nowo przedstawiać przeszłość, czy to w postaci książek, czy to osób, czy zdarzeń, moje zadanie byłoby daremne i bezcelowe. Wykaz tytułów podany w Załączniku może wydawać się zimny i martwy, lecz dla paru pokrewnych mi dusz może okazać się kluczem do ich – żyjących we wspomnieniach – chwil dawnej radości i pełni. (...)

Oczywiście, gdy zaczynałem tę książkę, miałem pewien ogólny plan. Jednak pisarz, w przeciwieństwie do architekta, często wyrzuca projekt w trakcie wznoszenia swojej budowli. Dla pisarza książka jest czymś, co należy przeżyć, doświadczeniem, a nie planem do wykonania zgodnie z przepisami i dokumentacją. W każdym razie to, co zostało z mojego pierwotnego planu, zrobiło się cienkie i zagmatwane jak pajęcza sieć. Dopiero kończąc tę książkę, zdałem sobie sprawę, jak bardzo pragnę i muszę opowiedzieć o pewnych autorach, pewnych tematach, z których część już poruszyłem.

Na przykład, bez względu na to, jak często o nim mówię, nigdy nie powiedziałem i prawdopodobnie nigdy nie powiem wszystkiego, co chcę powiedzieć o Elie'm Faure. Na pewno też nie wyczerpałem tematu Blaise'a Cendrarsa. Jest jeszcze Céline, olbrzym wśród nam współczesnych, do którego nawet nie zacząłem się przybliżać. Co się zaś tyczy Ridera Haggarda, z pewnością będę miał o nim więcej do powiedzenia, szczególnie o jego książce „Ayesha”, dalszym ciągu „Onej, czyli Historii niezwykłej wyprawy”. Jeśli chodzi o Emersona, Dostojewskiego, Maeterlincka, Knuta Hamsuna i G.A. Henty'ego, to wiem, że nigdy nie przestanę o nich mówić. Wydawałoby się, że takie tematy jak na przy-

nie wszystkie. Mam na myśli markiza de Sade'a (którego najbardziej sensacyjne dzieło jest wciąż zakazane we Francji), Aretina i D.H. Lawrence'a. A Restif de la Bretonne, z myślą o którym pewien Amerykanin J. Rives Childs zebrał (w języku francuskim) ogromny tom *témoignages et jugements*? A co z pierwszą powieścią pornograficzną w języku angielskim, „Pamiętnikami Fanny Hill”? Dlaczego, skoro jest taka „nieciekawa”, nie stała się jeszcze „klasyką” bez przeszkód prowadzaną w *drugstorach*, na dworcach kolejowych i w innych niewinnych miejscach? Właśnie minęło dwieście lat, odkąd się ukazała, i nigdy nie zaprzestano jej druku, jak dobrze wiadomo każdemu amerykańskiemu turyście w Paryżu. (...)

A teraz słówko o człowieku, któremu dedykowana jest ta książka – to Lawrence Clark Powell. Właśnie podczas jednej ze swych wizyt w Big Sur ten facet wiedzący o książkach więcej niż ktokolwiek, kogo miałem szczęście poznać, zaproponował, żebym napisał (choćby tylko dla niego) niewielką rzecz o moich doświadczeniach z książkami. Parę miesięcy później zaraziłem się tym uśpionym dotąd bakcylem. Po napisaniu około pięćdziesięciu stron doszedłem do wniosku, że nie mogę poprzestać na skrótowym ujęciu tematu. Powell niewątpliwie też o tym wiedział, był jednak wystarczająco sprytny lub roztropny, by zachować tę wiedzę dla siebie. Wiele mu zawdzięczam. Po pierwsze, a jest to dla mnie rzecz niemała, gdyż oznacza zmianę błędnego podejścia, zawdzięczam mu terazniejszą zdolność dostrzegania w bibliotekarzach istot ludzkich, czasami pełnych życia i zdolnych dowieść istnienia wśród nas dynamicznych sił. Z pewnością żaden bibliotekarz nie byłby równie jak on gorliwy w czynieniu z książek istotnej części naszego życia, którą dziś już nie są. Żaden bibliotekarz nie potrafiłby

także udzielić mi bardziej bezpośredniej pomocy. Nie było ani jednego pytania, na które nie odpowiedział wyczerpująco i dokładnie. W istocie nie odmówił żadnej prośbie. Jeżeli ta książka okaże się kieszka, nie będzie to jego winą.

Muszę tu dodać jeszcze parę słów o innych ludziach, którzy w różny sposób okazali mi pomoc. W pierwszym rzędzie Dante T. Zaccagnini z Port Chester w stanie Nowy Jork. Jak mogę wyrazić, Tobie, Dante, którego nigdy nie spotkałem, głęboką wdzięczność za to wszystko, co zrobiłeś – i to dobrowolnie! – w mojej sprawie? Rumienię się na myśl, jak bardzo bywało to monotonne. W dodatku uparcie obdarowywałeś mnie niektórymi ze swych najcenniejszych książek – ponieważ uważałeś, że mnie przydadzą się bardziej niż Tobie! I jakże pomocne były Twe sugestie, jak przenikliwe poprawki! A wszystko dyskretnie, z taktem, skromnością i oddaniem. Brak mi słów.

Trzeba to zrozumieć, że gdy rozpoczynałem tę pracę, uważałem, że jest kilkaset książek, które muszę pożyczyć lub posiąść na własność. Jedynym wyjściem przy braku pieniędzy na ich zakup było sporządzenie spisu tytułów i rozesłanie go moim przyjaciółom i znajomym – oraz czytelnikom. Ludzie, których nazwiska podałem na końcu tego tomu, zaspokoili moje potrzeby. Wielu z nich to po prostu czytelnicy, których

■ NIŻYŃSKI WACŁAW *Dziennik* ■ NORDHOFF I HALL *Pitcairn Island* ■ NOSTRADAMUS *Centuries astrologiques* ■ PECK GEORGE WILBUR *Peck's Bad Boy* ■ PERCIVAL W.O. *William Blake's Circle of Destiny* ■ PETRONIUSZ *Satyryki* ■ PLUTARCH *Żywoty sławnych mężów* ■ POWYS JOHN COWPER *Visions and Revisions* ■ PRESCOTT WILLIAM H. *Conquest of Mexico, Peru* ■ PROUST MARCEL *W poszukiwaniu straconego czasu* ■ RABELAIS FRANÇOIS *Gargantua i Pantagruel* ■ RIMBAUD JEAN ARTHUR – większość jego dzieł ■ ROLLAND ROMAIN *Jan Krzysztof* ■ RUDHYAR DANE *Astrology of Personality* ■ SALTUS EDGAR *The Imperia Purple* ■ SCOTT WALTER *Ivanhoe* ■ SIENKIEWICZ HENRYK *Quo vadis* ■ SIKELIANOS ANGELOS *Proanakrousmata* ■ SINNETT A.P. *Esoteric Buddhism* ■ SPENCER HERBERT *Autobiography* ■ SPENGLER OSWALD *Zmierzch Zachodu* ■ STRINDBERG AUGUST *Inferno* ■ SUARÂS CARLO *Krishnamurti* ■ SUZUKI DAISSETZ TEITARO *Wprowadzenie do buddyzmu zen* ■ SWIFT JONATHAN *Podróże Guliwera do wielu odległych narodów świata* ■ TENNYSON ALFRED *Sielanki króla* ■ THOREAU HENRY DAVID *Obywatelskie nieposłuszeństwo i inne eseje* ■ TWAIN MARK *Przygody Hucka* ■ WASSERMANN JAKOB *Sprawa Mauriziusa* (trylogia) ■ WEIGALL ARTHUR *Akhmaton* ■ WELCH GALBRAITH *The Unveiling of Timbuctoo* ■ WERFEL FRANZ *Schweiger* ■ WHITMAN WALT *Żdźbła trawy*

poznałem dzięki korespondencji. „Przyjaciele”, którzy najbardziej mogli pozwolić sobie na przesłanie tak potrzebnych mi książek i na których liczyłem, zawiedli moje nadzieje. Tego rodzaju doświadczenie zawsze jest pouczające. Przyjaciół, którzy sprawiają nam zawód, zawsze zastępują nowi, którzy pojawiają się w krytycznym momencie i z najmniej spodziewanych stron...

Jedną z niewielu nagród, jakie autor otrzymuje za swój trud, jest przemiana czytelnika w serdecznego przyjaciela. Jedną z rzadkich przyjemności, których doświadcza, jest otrzymanie od nieznanego czytelnika dokładnie takiego prezentu, jakiego oczekiwał. Każdy szanujący się pisarz posiada, o ile wiem, setki, może tysiące takich nieznanych przyjaciół wśród swoich czytelników. Mogą istnieć, i pewnie istnieją, autorzy, którym czytelnicy potrzebni są wyłącznie jako nabywcy ich książek. W moim przypadku jest trochę inaczej. Potrzebuję każdego czytelnika. Jestem dłużnikiem i wierzycielem. Wykorzystuję każdego i wszystkich, którzy dobrowolnie proponują pomoc. Wstydzilibym się nie przyjąć tych łaskawych ofert. Ostatnia pochodzi od studenta Yale Donalda A. Schöna. Chowając do kartoteki mój list do profesora Henri Peyre'a z tamtejszego Wydziału Filologii Francuskiej, list, w którym apelowałem o pomoc biurową, ów młody człowiek przeczytał go i spontanicznie zaoferował swoje usługi. (Wspaniały gest! *Sehr Schön!*).

Dobrym przykładem jest przypadkowe pojawienie się Johna Kidisa z Sacramento. Jego prośba o zdjęcie z autografem doprowadziła do krótkiej wymiany listów, po której nastąpiła wizyta i cała lawina prezentów. John Kidis (pierwotnie Mestakidis) jest Grekiem, co wiele wyjaśnia. Nie wyjaśnia jednak wszystkiego. Nie wiem, co bardziej cenić – naręcza

książek (niektóre bardzo trudne do zdobycia), którymi zarzucił moje biurko, czy niekończący się strumień darów, to znaczy swetrów i skarpet z czystej wełny i nylonu zrobionych na drutach przez jego matkę, spodni, czapek i innych części garderoby zbieranych tu i ówdzie, greckich ciast (niezwykłych przysmaków!) przygotowanych przez jego babcię lub ciotkę, puszek z chałwą, dżbanów z retsiną, zabawek dla dzieci, materiałów piśmiennych (papieru, kopert wszelkiego rodzaju, pocztówek z wydrukowanym na nich moim nazwiskiem i adresem, kalki, ołówków i suszek), okólników i zawiadomień, ręczników używanych podczas chrztu (jego ojciec jest duchownym), daktyli i orzechów wszystkich rodzajów, świeżych fig, pomarańcz, jabłek, a nawet granatów (wszystko z mitycznej „farmy”), że nie wspomnę o maszynopisanii, które dla mnie wykonywał, lub druku, akwarelach, które kupował, papierze i farbach, których mi dostarczał, sprawunkach, które dobrowolnie podejmował się załatwić, książkach, które mi sprzedał (wyrzucając resztę zapasów towaru i zakładając własną firmę o nazwie Dom Henry'ego Millera), oponach, które mi kupił, muzyce, którą proponował dla mnie zdobyć (płytach, nutach, albumach) i tak dalej, i tak dalej, *ad infinitum*... Jak wytłumaczyć taką szczodrość? Jak się za nią odwdziżyć?

Ufam, że jest rzeczą oczywistą, iż chętnie przyjmę od czytelników tej książki wszelkie wytknięcia błędów, przeoczeń, przeinaczeń lub błędnych ocen. Dobrze zdaję sobie sprawę, że ta książka, ponieważ traktuje „o książkach”, trafi do wielu osób, które nigdy dotąd mnie nie czytały. Mam nadzieję, że rozgłoszą dobre słowo – nie o tej książce, ale o książkach, które sami kochają. Nasz świat szybko ginie, niebawem powstanie nowy. Jeżeli ma rozkwitnąć, będzie musiał zdać się zarówno na uczynki, jak i na wiarę. Słowo stanie się ciałem.

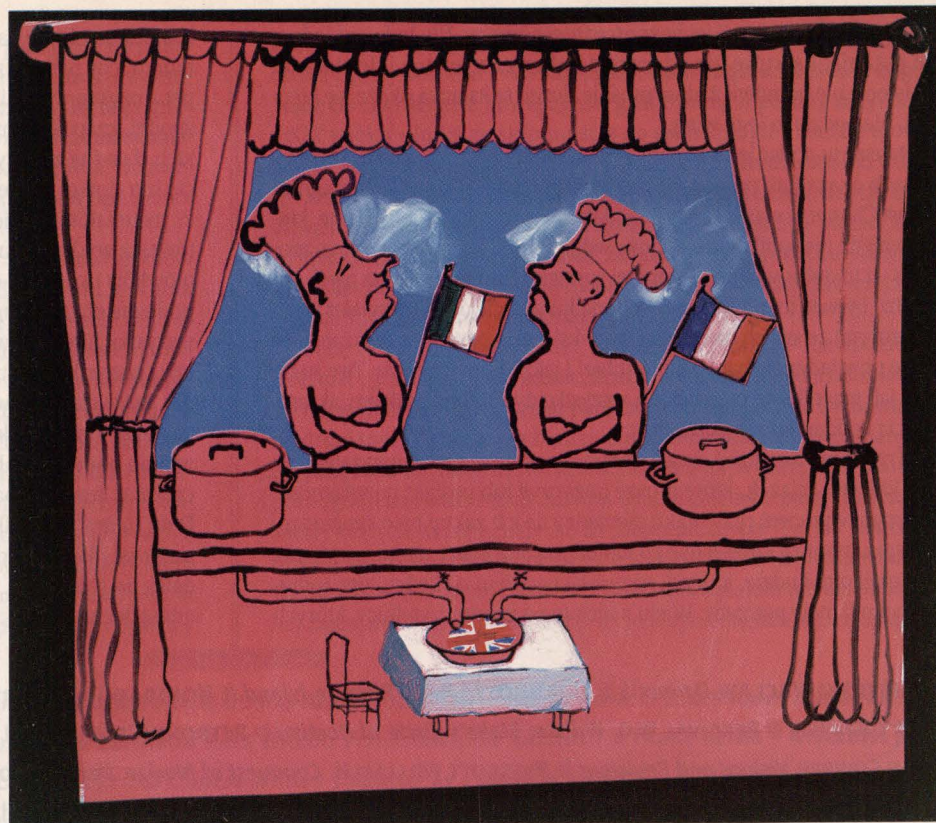
Niewielu z nas potrafi patrzeć w najbliższą przyszłość inaczej niż z lękiem. Jeśli wśród wszystkich książek, jakie niedawno czytałem, znajduje się jedna, którą mógłbym polecić jako dzieło zawierające słowa ukojenia, pokoju, natchnienia i wzniosłości, to jest nią „Mont Saint Michel and Chartres” Henry'ego Adamsa. (...) Są pisarze, tacy jak ten człowiek, którzy nas wzbogacają, oraz inni, którzy nas zubażają. Jakkolwiek jest, cały czas dzieje się coś jeszcze ważniejszego. Bez względu na to, czy wzbogacamy, czy zubażamy, nas, którzy piszemy, chroni, utrzymuje, obdarza i wzbogaca wielki tłum nieznanych ludzi – mężczyzn i kobiet, którzy czuwają i modlą się, że tak powiem, byśmy objawiali prawdę, która jest w nas. Nikt nie wie, jak wielki jest ów tłum. Żaden artysta nie dotarł jeszcze do całej wielkiej, pulsującej masy ludzkiej. Płyniemy tym samym strumieniem, pijemy z tego samego źródła, jak często jednak i jak głęboką, my, pisarze, mamy świadomość wspólnej potrzeby? Jeśli pisanie książek jest odnawianiem tego, co wzięliśmy ze spichlerza życia, od nieznanych siostr i braci, to powiadam: „Miejmy więcej książek!”.

Przełożył MAREK FEDYSZAK

Książka ukaże się w końcu marca w wydawnictwie Noir sur Blanc

Nagi kucharz jest bomba

Jak przyrządzić surówkę z kopru włoskiego i rzodkiewki i nie zostać mimoza?



W roku 1982 dostałem w prezencie prenumeratę pisma „Bon Appetit”. Co miesiąc zamieszczano w nim grubo ponad sto przepisów kucharzskich, z których jedne były banalne, inne ciekawe, lecz wszystkie – niezmiennie pracowite. Być może chodziło o to, żeby znudzonym gospodyniom domowym w USA zająć jak najwięcej czasu, chroniąc je w ten sposób przed alkoholizmem lub rozwiązłością. Lecz taki panował wówczas trend – im trudniej, tym lepiej. Czasami przybierało to formę karykaturalną. W telewizyjnym programie kulinarnym widziałem tłustociutkiego kucharza, który demonstrował, jak się robi pizzę. „Zaczynamy od zmielenia pszenicy na mąkę”. Jak powiedział, tak zrobił: wysypał ziarno do robota kuchennego, zmełł, po czym przyrządził zupełnie zwyczajną, nudną wręcz, pizzę.

Wspominam o tym, dlatego że nastąpiła zmiana trendu, co widać najwyraźniej po niezwykłej popularności książek Jamiego Olivera, młodego kuchmistrza z Londynu. Uważa on, że należy maksymalnie upraszczać procedury przygotowawcze, o ile nie wpływa to ujemnie na ostateczny smak potrawy. Tytuł pierwszej jego książki – „The Naked Chef”, czyli „Nagi szef kuchni” – sugeruje, że będzie to kuchnia bez tajemnic, bez balastu snobizmu i namaszczenia właściwemu wielu dziełom Francuzów i Włochów. We własnej, niewielkiej, kuchni Oliver starał się odtworzyć skomplikowane i eleganckie dania, które przyrządzał w kuchni restauracyjnej. Mniej sprzętu, mniej miejsca, tańsze skład-

niki – czyli cała seria skrótów i kompromisów. Lecz efekty całkiem niczego sobie – książka Olivera przez dłuższy czas znajdowała się w pierwszej dziesiątce brytyjskich bestsellerów, czyli tam, gdzie rzadko goszczą dzieła kulinarne (z wyjątkiem tych poświęconych dietom odchudzającym).

Drugim, poza prostotą, składnikiem recepty na sukces jest pewna doza poufałości, z jaką autor zwraca się do czytelników. Oliver wychował się na wsi, terminując w pubie ojca. Zna upodobania kulinarne przeciętnego Anglika i co ważniejsze – zna jego uprzedzenia. Podając przepis na sałatkę z ciecierzycy z cytryną, natką i chili, pisze: „Nie bójcie się papryczek chili. Głowa od nich nie eksploduje, wystarczy usunąć z nich nasionka. Nadadzą potrawie świeży smak i zapach, i tylko odrobinę ostrości. Zaufajcie mi!”.

Dziarski, potoczny styl Olivera ma swój urok. Nie rozwódzi się i nie poetyzuje. Zupa z porów według przepisu babci jest „bomba”, od zup azjatyckich „dostaje się czadu”, jak oliwa jest „super”, to sałatka będzie „odjazdowa”. Taki język wzbudza zaufanie Wyspiarzy, którzy z pogardą odnoszą się do Francuzów i Włochów lubiących demonstrować swoją wyższość nad tradycyjną, bezbarwną kuchnią angielską. Bo w istocie Oliver pokazuje, jak Anglik może przyrządzać sobie włoskie czy francuskie specjalności i nie czuć się przy tym jak snob, zdrajca czy mimoza. Zarazem przyjmuje ton czuły i odrobinę podniosły, kiedy opisuje dania rdzennej angielskiej. Przebiegła bestia!

Przepisy Olivera są bardzo sensowne i na ogół smakowite. Surówka z kopru włoskiego i rzodkiewki podawana do dań rybnych – świetny pomysł. Szerokie wstążki makaronu z porami i mascarpone – pycha. Ravioli nadziewane pokrzywami – tu nachodzą mnie wątpliwości. Albo pesto bez czosnku – kto to słyszał? Wprawdzie jest w przepisie Olivera ćwierć ząbka czosnku na dwie szklanki bazylii, lecz to tak jakby w ogóle go nie było. Widać tu ostrożność Olivera. Konserwatyzm kulinarny Anglików w niczym nie ustępuje zachowawczości Polaków, więc z surowym czosnkiem trzeba powoli. Oliver dorzuca, że można użyć więcej czosnku, ale trzeba uważać, bo to taki mocny zapach i ostry smak. Czyli metodą drobnych kroków dąży do zmienienia upodobań swoich krajan.

Bodaj najbardziej spodobał mi się przepis Olivera na pieczone dzwonka dorsza. Nacieramy je oliwą, oregano, dużą ilością drobno posiekanej natki wymieszanej z drobno posiekaną czerwoną papryczką chili. Rzucamy na rozgrzaną blachę wraz z dwiema przepołowionymi limonami i pieczemy w temperaturze 225 stopni przez 10 minut. Rybę spryskujemy sokiem z upieczonych limon. Podajemy z ziemniakami z wody, zieleciną i domowej roboty majonezem czosnkowym (wyszło sztyldło z worka!).

Cenię i polecam taką prostotę. Zaś latem przymierzę się do ravioli nadziewanych pokrzywami...

TADEUSZ PIÓRO

już w sprzedaży

DOM & WNETRZE

NR 4(79)/2002 KWIECIEŃ CENA 7,90 zł (w tym 7% VAT)

KUCHNIA
najnowsze baterie:
pomysłowe i wygodne

APARTAMENT ROCKMANA
JAK MIESZKA BONO
wokalista irlandzkiego zespołu U2



WIELKANOCNE STOŁY
aranżacje w trzech kolorach

ODROBINA LUKSUSU
z wanną w sypialni

ŁAZIENKA
w stylu orientalnym



tej płyty nie kupisz w sklepie

DOM & WNETRZE

60 minut
muzyki Wschodu
relaks i wypoczynek

oddech
przestrzeni
lekkość

SUPERPREZENT!
PŁYTA CD

60 MINUT MUZYKI WSCHODU.
ODKRYJ ORIENTALNE
BRZMIENIE MUZYKI RELAKSACYJNEJ



CHANEL. FOT. RAFAŁ STRZUCHOWSKI/FREE

HOFF

Dotarły do nas różne wiadomości o nowej modzie wiosenno-letniej, z których wynika dramatyczny fakt, że zupełnie nie wiemy, jak się ubrać. Tendencje mody w tym sezonie raczej nijak nie przystają do tego, co nawet dość odważna dziewczyna jest w stanie na siebie włożyć. Ale to tak ślicznie wygląda na zdjęciach. Może jednak wyrwiemy się kiedyś z naszego ponurego biura i znajdziemy się w tym bajkowym świecie, gdzie się to wszystko nosi?

Na razie wahadło mody kołysze się od pokazów pełnych strojów jak z filmów *fantasy* do nudy niezmiennych się kostiumów jedynie uszytych w malutko i bojaźliwie nowych kolorach.

Otóż ja tu nikogo ani nie bronię, ani nie potępiam, bo oni tego zupełnie nie potrzebują. Pokaz musi być nieco szalony, żeby znalazł się w mediach, a o to chodzi. A potem idziemy do sklepu tej firmy i bang! Wiszą tam rzeczy „normalne”, do włożenia, coś, co usiłują sprzedać. Albo okazuje się, że za tym głośnym pokazem wszędzie reprodukowanym stoi mały sklepik, którego jedynymi klientami są projektanci z innych krajów usiłujący coś podpatrzeć.

Natomiast naprawdę nosić się będzie i to jest – czasem chce się powiedzieć: niestety – to, co pokażą u siebie duże sieci handlowe, firmy, które mają łańcuch sklepów, domy towarowe, które precyzyjnie wyselekcjonują z kolekcji albo robią swoje własne itd.

Oczywiście moda na pokazach jest szalenie ciekawa, ale czasem odnoszę wrażenie, że jest głównie dla fachowców i bardzo słabo mówi nam, co zrobić, żeby być modną.

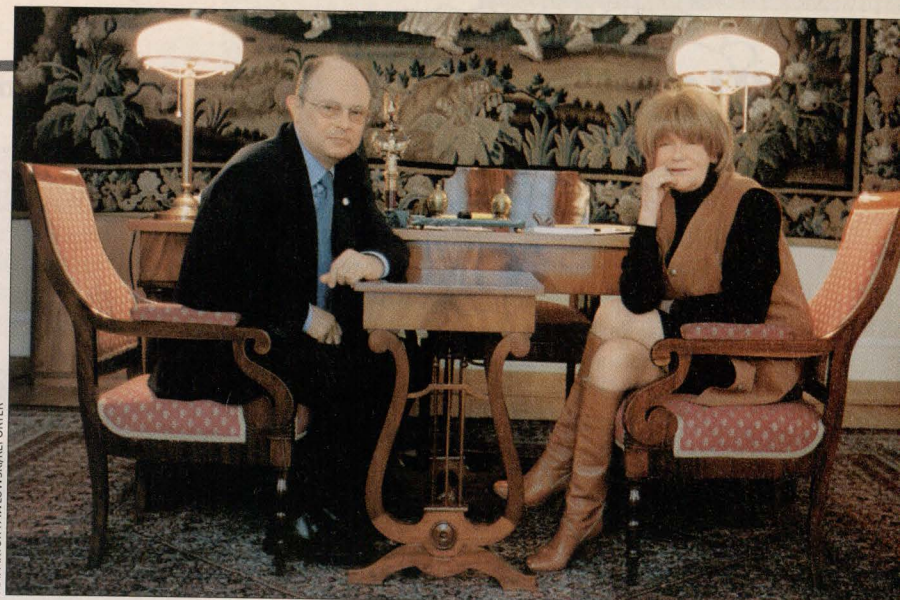
A wiem, że chcecie się dowiedzieć, jak się ubrać, żeby zrobić dobre wrażenie i dostać pracę. I jak się ubrać do pracy, żeby nie zostać wylanym. Wszyscy wiemy, że to też trochę od tego zależy, bo ogólne wrażenie, nawet podświadome, odbioru naszej osoby nie jest bez znaczenia. Szefowie, którzy sami mogą za chwilę wylecieć, bywa, że czują się panami życia i śmierci, co nie powinno powodować u nas chęci siadania im na kolanach w mini, pozwalania im na nurkowanie w falbanach bluzki, bo to już było, to się już przerabiało i daleko się nie zajędzie. Na małą dziewczynkę w kwiatuskach możecie się nie załapać, bo prócz studiów w Oksfordzie chcą doświadczenia w pracy. Niewolnicę do parzenia herbaty z trzema językami przypuszczalnie już mają.

Można by się ubrać za woła roboczego, którym i tak trzeba być, ale lepiej być nieco modną, bo to daje wrażenie pewnej światowości i otwarcia na nowe, co jest dobrze widziane. A za głęboki dekolt może powodować mobilizację ze strony damskiego personelu.

Naprawdę modne są falbanki, ale uwaga! – nie za dużo, żeby nie wyglądać jak wściekły ptaszek, który stroszy piórka. I numer polega na tym, że falbanki są przy bluzce koszulowej z normalnym koszulowym kołnierzykiem. Są różne: mniejsze, większe, podwójne, pojedyncze itp. Tu na zdjęciu moda długość za kolano, inny żakiet nosi się odpięty.

Jestem marzycielem

Marek Borowski,
marszałek sejmu,
w rozmowie
z Marią Czubaszką



FOT. ARTUR PAWLOWSKI/REPORTER

Nie wszyscy lubią bajki

MARIA CZUBASZKA: Słyszał Pan, że każdy powinien płakać? Przynajmniej raz w miesiącu?

MAREK BOROWSKI: Nie.

Tako rzecze Piotr Tymochowicz. Pan nie wygląda na beksę. Ale co Pana wzrusza? Może nie do łez, ale...

– Najpierw co do pana Tymochowicza, który nagle wypłynął na scenę polityczną. Taki sobie postawił cel. Stwierdził, że z pucybuta zrobi prezydenta.

Lepiej niż w Ameryce, gdzie pucybut może zostać najwyżej milionerem. A tam więcej milionerów niż u nas pucybutów. Natomiast prezydent tylko jeden. Jeżeli więc pan Tymochowicz tego dokona...

– Spektakularnymi zachowaniami pucybuta? Bo przecież nie wiedzą ani kompetencjami.

Może dlatego ukrywa go na razie w worku? Tylko że ludzie niechętnie kupują nawet kota w worku. A co dopiero prezydenta... A co do tego, że...

– ...każdy powinien płakać przynajmniej raz w miesiącu? To też jedno z tych zaskakujących stwierdzeń, które po to się wypowiada, aby media wspomniały nazwisko autora. Na przykład Pani właśnie to uczyniła, co dowodzi, jak łatwo można promować siebie.

To inne pytanie.

– Dlaczego? No więc zdarza mi się płakać. Nie szlochać, bo to przesada. Ale chciałbym powiedzieć, że sytuacje, które generalnie postrzegane są jako smutne, nie wywołują we mnie płaczu. Na przykład zdarzyło mi się przeżyć śmierć bliskich osób. Przeżywałem to bardzo głęboko, ale nie płakałem. Natomiast na filmie „Lecą żurawie” czy na „Titanicu” miałem mokro pod oczami. I gdybym miał w tym momencie mówić, nie mógłbym. Bo coś mnie ścisnęło w gardle.

A gdybym chciał to przeanalizować, powiedziałbym, że wzruszają mnie sytuacje – jeśli chodzi o uczucia – które mimo najlepszej woli bohaterów nie mogą ich uszczęśliwić.

I będą żyli długo i szczęśliwie?

– Właśnie. Bo człowiek lubi *happy end*. A tymczasem okazuje się, że to nie może się udać. Że pada pod ciężarem okoliczności niezależnych od bohaterów. I ta egzystencjalna niemoc mnie porusza. Sam jestem bowiem człowiekiem, który przywykł dawać sobie radę z różnymi problemami, i zawsze szukam wyjścia. Kiedy więc reżyser pokazuje, przekonywająco, że nie ma szans na szczęśliwe zakończenie...

To znaczy, że powinien Pan oglądać raczej filmy typu „Harry Potter” czy „Władca Pierścieni”. W nich zawsze zwycięża dobro.

– Byłem na obu filmach. Jestem zdecydowanie za tym, żeby dobro zwyciężało. Ale nie wszyscy lubią bajki. Ja jestem marzycielem. Może mniejszym niż kiedyś, ale jednak. Wymyślam sobie sytuacje idealne.

Na przekór rzeczywistości?

– Wymyślam też sobie sytuacje zupełnie nieidealne.

Tak zwane czarne scenariusze?

– Takie też trzeba brać pod uwagę. Ale lubię sobie pomyśleć, jakby to było dobrze, gdyby...

...wszystko było dobrze?

– Mówiłem. Jestem marzycielem. I dlatego od dawna fascynuje mnie literatura *science fiction*. Głównie Lem. Natomiast literaturę typu *fantasy* traktowałem jako bajki dla dzieci. Zdegenerowany rodzaj *science fiction*. Właściwie nie *science*, tylko *fiction*. I tym się nie zajmowałem. Ale jakiś czas temu wpadły mi w ręce dwie, trzy książki tego typu i stwierdziłem, że jest w tym pewien urok. To współczesne bajki, które zastępują te o Czerwonym Kapturku i Sierotce Marysi. Myślę, że pisarze i reżyserzy mają wielkie pole do popisu.

A Pan lubi się popisywać? Na przykład sprawdzać się jako mężczyzna?

– Nie. Może kiedyś. Teraz patrzę na to pragmatycznie. Coś tam

już potrafię i myślę, że nie muszę się już sprawdzać. Zresztą przed kim miałbym się sprawdzać? Przecież dzisiaj nie staram się zyskać sympatii licznych zastępów pań, tylko przede wszystkim moich rodaków, którzy nie oczekują, żebym skakał na *bungee*, ze spadochronem...

Na bungee trzeba bez spadochronu. A balonem?

– Też nie. Nawet ze spadochronem. Jestem człowiekiem o umyśle ścisłym, a rachunek prawdopodobieństwa wskazuje, że każde z tych zajęć niesie prawdopodobieństwo wypadku.

Przez sport do kalectwa?

– Absolutnie! Kiedyś byłem zawodowym siatkarzem i mam porharatane kolano. I starczy.

W kosmos też by Pan nie poleciał?

– A, to zupełnie co innego! To bym zrobił. Nie po to, żeby się sprawdzić. Ale, po pierwsze, kosmosem interesowałem się całe lata, a po drugie, znaleźć się w stanie nieważkości i spojrzeć na Ziemię z góry... Zdjęcia, które zrobili Amerykanie, to coś niesamowitego!

A ryzyko związane z takim lotem?

– Myślę, że stosunkowo wysokie. Ale na to idę!

Też będę już szła. Dziękuję za rozmowę.

Kici Kici

Jak określić wyjątkową i niespotykaną rzecz

Zestaw niezbędnych wyrażen i zwrotów w różnych językach świata

- w Polsce: **biały kruki**
- w Niemczech: **ein hölzernes Eisen** (dosłownie: drewniane żelazo) lub **eine Seltenheit** (coś niespotykanego)
- w Wielkiej Brytanii: **white crow** (znaczenie identyczne jak w języku polskim)
- w Portugalii i Brazylii: **ave rara** (dosłownie: rzadki ptak)
- we Włoszech: **mosca bianca** (dosłownie: biała muszka/mucha)
- w Hiszpanii: **mas raro que una rana peinada con raya en medio** (dosłownie: bardziej rzadki niż żaba z przedziałkiem) lub **mas raro que una puta en una igle-**
- sia (dosłownie: bardziej rzadki niż k... w kościele), lub **es mas raro que encontrar una ardilla en España** (dosłownie: rzadszy niż wiewiórka), lub **mirlo blanco** (dosłownie: biały kos)
- we Francji: **un merle blanc** (dosłownie: biały kos)
- na Węgrzech: **fehér holló** (znaczenie identyczne jak w języku polskim)
- w Turcji: **nadir bulunan kitap** (rzadko spotykana książka - w Turcji nie ma wyrażenia idiomatycznego zerwowanego wyłączenie dla książki; kultura tego kraju nie jest kulturą druku), inne rzadkie



RYŚ: PIOTR MODCZENIEC (ZAFRYKI)

rzeczy określa się mianem **bulunmaz Hint kumasi** (niespotykany materiał hinduski)

SENNICZEK ŚCIŚLE JAWNY

- Ćmą być - uważasz, że w świetle świecy wyglądasz atrakcyjniej. I pewnie masz rację.
- Ćwierkać - wkrótce sobie przygruchasz niebieskiego ptaszka.
- Ćwartkę kupić - kup, ale wypij koniecznie przed lustrem. W lustrze zrobisz z tego dwie ćwiartki, więc za pół ceny będziesz mieć połówkę i kulturalne towarzystwo.
- Ćwierćinteligentem być - sen inteligenta, którego sytuacja na rynku pracy zmusiła do dzielenia zapalki na czworo.
- Ćwieka sobie zabić - boisz się, że krewni przebiją twój zasiłek pogrzebowy i chciał(a)byś temu jakoś zapobiec.
- Ćwikłę ćpać - nie wiem, o co tu chodzi, ale proszę o informację, u kogo zaopatrujesz się w buraki i chrzan.

Baraneusz Dobrodziejewicz

to kupią, byle na chama, byle głośno, byle głupio".

I tak dalej, byle dalej. Wszystko jedno jak. A kiedy zaczyna mi być wszystko jedno jak, przestaję dbać o to, jak - kiedy z jakości wpadam w bylejałość, zaczynam tak sobie żyć. Byle do wiosny. Byle do pierwszego. Byle jakoś było, choćby byle jak. Byle jakoś szło.

Kiedyś mieliśmy ładne słowo „lada”. Było to takie dawne byle. Ale dość miało tej niewdzięcznej roli i poprzysuwało się, gdzie mogło. Zostało w staroświecko sympatycznym „ladaco”, bywa z przeczeniem w pięknych „nie lada...” (co tam chcemy), skraca nam czekanie w takich połączeniach jak „lada chwila” czy „lada moment”. A poza tym, jak go użyję w niedobrym sensie, zaraz archaicznością to osłodzę. „Lada” się jakoś wykreśliło.

Może i „byle” się kiedyś uda.

Pale się do rozmowy

Stefania Grodzieńska

Czy nie uważa Pani, że kręci się coraz mniej dobrych filmów?

- Nic dziwnego. Mamy świetnych scenarzystów, znakomitych reżyserów i zdolnych aktorów, ale co z tego. Filmowi odpadł najbardziej wyrazisty,

wymowny, a jednocześnie najprostszy środek artystyczny: papieros. Papieros pozwalał zapalać się na różne wyrażające stan uczuć sposoby: nerwowo, namiętnie, wyczekująco. Pozwalał gasić się na różne wyrażające stan uczuć sposoby: nerwowo, namiętnie, wyczekująco.

Popychał fabułę: dostrzeżenie napisu wygrawerowanego na papierośnicy wyjawiało okrutną tajemnicę niewierności. Wyskoczenie po papierosy albo prowokowało przypadkowe, powodujące zwrot akcji spotkanie, albo oznaczało odejście na wieki. Przepelniona popielniczka oznaczała albo zdenerwowanie bohatera, albo upływ czasu. Podanie ognia kobiecie charakteryzowało dzentelmena, niepodanie ognia kobiecie albo oznaczało oburzonego dzentelmena, albo po prostu chama. Sposób podania ognia mężczyźnie określał stosunki między postaciami: albo poufale, albo hieratyczne. Sposób delektowania się papierosem określał osobowość: puszczanie kółek z dymu to albo głębokie zamyślenie, albo renons w pikach.



FOT. P. MAŁECKI/AGENCIA GAZETA

chwałę, ale...

Sposób palenia budował postać: długa cygarniczka oznaczała artystkę udającą prawdziwą damę albo damę udającą prawdziwą artystkę. Pamiętasz Głorię Swanson w „Bulwarze Zachodzącego Słońca”? Zwisający z kącika ust pet znaczył: oto prawdziwy mężczyzna. Pamiętasz Bogartę w „Casablance”?

Ale przede wszystkim papieros dawał zajęcie dla rąk. Aktor pozbawiony w filmie papierosa ma gorzej niż aktor, który nie dosłyszał sufletu w teatrze.

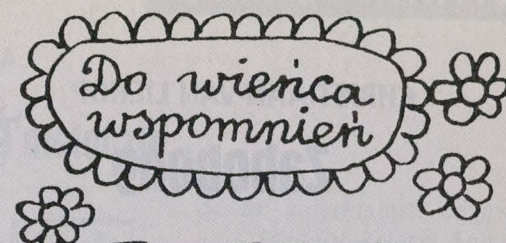
Czyli niepalenie zagraża kinematografii, ale za to palenie zagraża zdrowiu. Jak o nie zadbać i przestać palić?

- Istnieje skuteczny sposób: na złość. Rzuciłam palenie na złość jednemu, który twierdził, że nie dam rady rzucić.

Jednak wszystko ma dobre i złe strony. Kilka miesięcy temu pewna 83-letnia kanadyjska dama tak się awanturuwała w samolocie, że doprowadziła do lądowania w Nowej Funlandii. Jej zachowanie zagrażało bezpieczeństwu załogi i pasażerów. Po wylądowaniu okazało się, że starszuszka po 60 latach palenia papierosów właśnie zrywa z nałogiem. Oskarżono ją o napaść. Została uniewinniona.

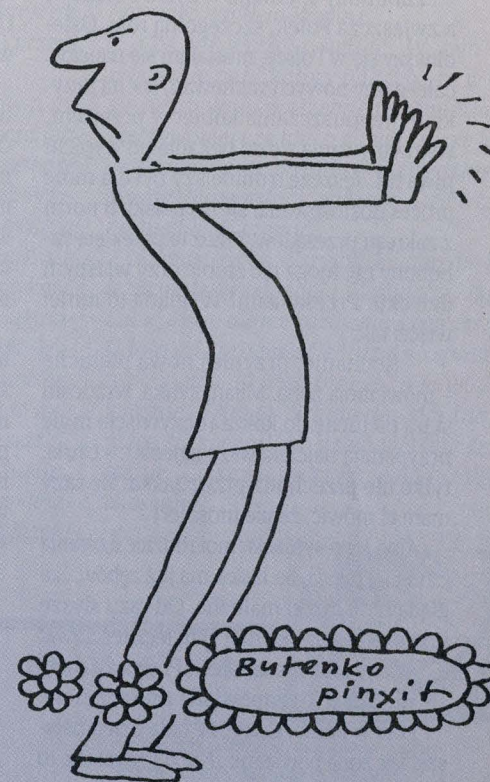
Co za histeryczka! Ja raptem stłukłam dwa talerze.

Rozmawiała BEATA KĘCZKOWSKA („Gazeta Wyborcza”)

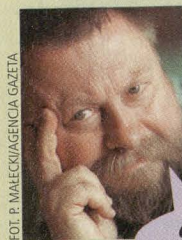


ANIA

ANI, ANI - ANI !!!



RYŚ: BOHDAN BUTENKO



Jerzy Bralczyk

daję słowo

Byle co

Wygląda, jakby było bliskie „być”. „Był, była, byli, byle”. A składa się z „by” (jak w przypuszczeniach) i „le” (tego samego co w „ale” i w „lecz”).

Marnie się kojarzy. Samo niewiele może, musi się do czegoś przykleić. Łączy się przy tym zwykle nie najlepiej. Zwykle z byle jakimi wyrazami. „Byle głupstwo” wyprowadza mnie z równowagi, „byle duren” może obrazić.

Jak się lepiej połączy, obniża wartość słowa-sąsiada. Z byle powodu i przy byle okazji. „Byle cesarz”. „Byle geniusz”. „Byle mocarstwo”. Potrafi zdolować najlepszych.

Lubi łączyć się z zaimkami. Wtedy dopiero nimi pomiata! Od byle czego do byle kogo, byle jak, byle gdzie i byle kiedy. Byle poniżej. Pocięcha tylko, że zawsze można zaprzeczyć i wtedy mamy nie byle co. „Nie byle kto ty jesteś i nie byle głowa” -

erudycyjnym cytatem podlizuje się Petroniuszowi Ligia.

W ogóle marne słowo. Byle jakie. Wszystko jedno jakie. Nieważne. Takie zupełnie cokolwiek.

Zamiast powiedzieć, że mówisz byle co, mogę jeszcze powiedzieć, że mówisz, byle mówić. I to już nie jest takie zupełnie złe. W sumie nawet robi się ciekawie: czyn-

ność wyczerpująca się w samej sobie. Autotelizująca się, niejako, sama dla siebie. Piszę, żeby pisać. Piszę, byle pisać. Mogę jeszcze tylko dodać „tylko”. Byle tylko coś dodać.

Czy cel się wtedy nie liczy? Jeszcze jak! Tylko wtedy to, co robię, jest samym celem. Dla niektórych może mniej się ważne wydaje, ale ja swoje wiem. Robię, byle robić (czasem: byle zrobić), a co wyjdzie, wszystko jedno.

„Byle” potrafi też bardzo wyraźnie pokazywać, że właśnie tylko cel jest ważny, a środki się nie liczą. Wszystko jedno jak, byle osiągnąć ten cel. Byle wygrać. Byle się załapać. Byle się nie dać.

A czasem: byle zbyć. To już niedobrze. Jak jestem głodny, nie dbam, co mi dadzą, byle dużo. Tylko to się liczy. Cokolwiek, byle prędko. „On, co żyje jedną chętką: Dużo, byle jak i prędko”. To Boy przygania młodym, a Młynarski tłumowi: „Ludzie

19:29

PIĘKNE, GWIEZDZISTE NIEBO. TYLKO CHMURA ZACZYNA PRZESŁANIAĆ KSIĘŻYC...

19:29

TAKA SCENA W TELEWIZORZE NIE WRÓŻY NICZEGO DOBREGO.

19:30

TAK. NA JEDY- NCE ZACZYNA JĄ SIĘ WIADOMOŚCI.

WILHELM SASNAL

CHRISTIAAN VAN LIEROP

Zabobony

Zwrócił mi na to uwagę mój teść i naprawdę coś w tym jest. Kiedy Jacek Skiba przepowiada pogodę, następnego dnia zawsze pada. Głupoty, tak? Możliwe. Ale w to, że położenie torby na podłodze zwiastuje niedostatek, wierzyście, tak? Albo że wystarczy zemleć trochę kawy, aby w domu nagle pojawiły się pieniądze?

Zabobony spełniają w życiu Polaków, a zwłaszcza Polek, szczególną rolę. Osiedliwszy się w Polsce, musiałem się nauczyć całej gamy nowych zachowań, jak na przykład przepuszczania kobiet w przejściu, wstrzymywania się od beknięcia po wypiciu piwa itd. Jeszcze trudniejszy był dla mnie proces dostosowania się do polskich norm z zakresu przesądów. Przez te przeklęte zabobony nie mogę nic zrobić przy własnym dziecku. Przesadzam? Wygląda to mniej więcej tak:

- Kochanie, przynieś nową pieluchę - mówi moja żona. Mijam synka, wrzucam starą pieluchę do kosza (oczywiście mnie przypadają najciekawsze zajęcia). - Chris, tylko nie przechodź przez Jaśka! Ile razy mam ci mówić, że nie urodnie!?

Albo inna sytuacja: moi rodzice dzwonią z Anglii i pytają, ile Jasiek ma już zębów. Zaglądam do buźki malucha. Od razu słyszę krzyk. Nie krzyczy mój syn, lecz teściowa:

- Co ty robisz, oszalałeś?! Przecież zębów się nie liczy. To zapowiada nieszczęście.

I tak w kółko. Czuję, że łąda dzień usłyszę, jak żona powie mi: „Nie odzywaj się, to przynosi pecha”.

Mówią, że zabobony to mądrości przekazane przez przodków. Że to część naszego zbiorowego dziedzictwa kulturowego. A ja wam mówię - nic podobnego! To nic innego jak kolejna metoda wymyślona przez kobiety, by kontrolować mężczyzn. Jedna wielka manipulacja! Znowu przesadzam? A co z przesadą, który mówi o tym, że jak się suszy kwiaty, to się jednocześnie zasusza uczucie? Czy to nie jest po prostu znakomity argument za tym, żeby panowie często kupowali swoim paniom kwiaty? Ja już to wszystko rozgryzłem! Teraz najwyższy czas, żebyśmy i my, mężczyźni, wprowadzili w obieg własne przesady! Proponuję następujące: „Zmywanie naczyń tuż po jedzeniu przynosi pecha”. Albo: „Przymierzanie ciuszków w sklepie przy mężu zasusza uczucie” etc.



Niektórzy uważają, że aby ułatwić nam, cudzoziemcom, życie, powinna zostać powołana komisja, która sporządziłaby księgę Polskich Norm Zabobonów. Biurokraci w Brukseli też mogliby przygotować podobną listę unijnych wymagań i przepisów (w końcu istnieją przepisy dotyczące kształtu bananów). I nie ulega wątpliwości, że te różnice pomiędzy przesadami poszczególnych krajów mogą nam wszystkim przysporzyć niemało problemów. Przystępując do Unii, Polska powinna być świadoma różnic w europejskich zabobonach.

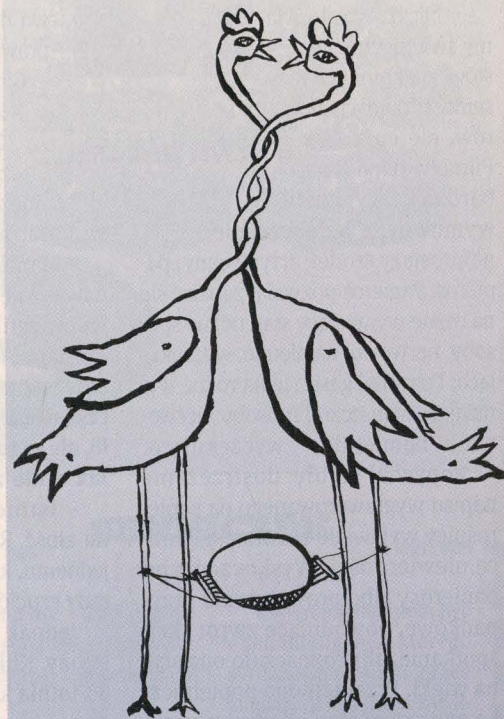
A więc w Anglii, kiedy czarny kot przebiegnie komuś drogę, to przynosi szczęście. Od razu nasuwa się pytanie - czy zabobony obowiązują wszystkich przebywających na terenie danego kraju, czy tylko jego obywateli? Jeśli kot przejdzie mi drogę w Polsce, to według jakich norm zdarzenie to powinno być przeze mnie, Anglika, rozpatrzone?

Ale to problemy odległej przyszłości. Na razie zabobony należą do tak zwanej szarej strefy. Dopiero kiedy sprostają unijnym wymaganiom w zakresie prawdopodobieństwa, będzie można je traktować bardziej poważnie. Ja sam czasami naprawdę wierzę, że coś w nich jest. To tak jak z moją żoną i tymi suszonymi badylami.

Czas pokaże, kto ma rację...

Obraz wyrażen

Podaj hasło, które zilustrował Mariusz Wilczyński



Odpowiedź: Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta

PIĄTKA KLEPKA

Publikujemy najbardziej prawdopodobne informacje na temat pokuty, jaką w zaświatach odbywają lub będą odbywać niektórzy słynni grzesznicy. Giovanni Casanova uzyskał kod dostępu do specjalnej nadprzyrodzonej strony internetowej, która zawiera nieskończoną ilość materiałów erotycznych. Ze względu na nieograniczoną pojemność na załadowanie strony czeka się wieczność.

Książę satanistów Aleister Crowley musi brać udział w czarnej mszy celebrowanej przez 14-letnich czcicieli diabła z Legionowa. Centralnym punktem ceremonii jest picie piwa Atom (1,39 złotych za puszkę). Ilekroć Aleister próbuje wylać swoje piwo na ziemię pod pozorem składania ofiary Szatanowi, za karę musi wypić jeszcze dwie puszki.

Cały zespół twórców gry komputerowej Tombraider będzie musiał grać w tak zwane kuku.

Znajdujący się w czyścisku Henryk Sienkiewicz musi oglądać na przemian „Ogniem i mieczem” oraz „Quo vadis”.

Jeśli wytrzyma karę, w nagrodę zostanie Czyścicowym Aniołem-Operatorem wszystkich ludzi, którzy pracowali nad tymi filmami (do PR managera włącznie).

Joseph Goebbels ogląda niemieckojęzyczną wersję telewizyjnej Viva. Poza muzyką karę stanowi także widok niesamowicie elokwentnego afrykańskiego prezentera.

Bill Gates będzie musiał wypełnić PIT ze swoich dochodów. Dzy Osbourne, wokalista zespołu Black Sabbath, zostanie przeobrażony w różowego chomiczka.

TOMASZ PIĄTEK

MAŁGORZATA BARANOWSKA

O metodzie



Wpadł do mnie kolega, ten, dzięki któremu dowiaduję się, co jest modne w świecie. Nie chodzi o ubranie ani fryzjera, ale o ducha, sprawność fizyczną i, oczywiście, o szczęście. Jeśli akurat wszyscy stają się nagle sufi albo ćwiczą jogę, albo rozwijają się duchowo za pomocą wschodnich sztuk walki - on też. A nawet jest pionierem. Powiedzmy, względnym pionierem - po tych, którzy zaczęli setki lat temu i dziesiątki lat temu, i przedwczoraj.

Nie ukrywa, że naśladuje. Za każdym razem od progu informuje mnie, jak stara jest kolejna sztuka życia, filozofia, umiejętność walki. I z jak dalekiej krainy pochodzi. Przyzwyczaił nas do niespodziewanego stawiania na rękach, na głowie, do zamykania się w sobie i wydawania gardłowych okrzyków.

Dzisiaj nic z tych rzeczy. Wbiegł, uginając się pod górą rolek kolorowej bibułki, krepiny, której nie widziałam od czasu wczesnego liceum. Od progu krzyczał: - Ja ci to rozwinę, tu przywieszę, zasłonię twoje książki! To taka tęcza. Trochę sztuczna. - Chwila, moment - broniłam się słabo, bo tego jeszcze naprawdę nie było. - Nie ruszaj książek!

Siadaj natychmiast! Co jest? - Światło! Kolory! Lampy szwedzkie! - wydyszał entuzjastycznie. - Dobrze. A co z krepiną? - Jeśli nie masz pieniędzy na lampy używane w Szwecji do odpędzania depresji zimowej spowodowanej brakiem światła, to zapalasz wszystkie swoje normalne lampy i tak siedzisz. Niezłe też zrobić sobie dekorację z tęczy, więc kupiłem krepinę.

Coś mi zaczęło świtać. W tym roku wszystkie publikatory odkryły, że w okresie bez światła potrzebne jest światło. No, rzeczywiście. I że taniej zapalić swoje lampy niż nowoczesne wynalazki szwedzkie. Zapewne. Może jednak państwo z telewizji sami nie płacą za prąd?

Sprawa jasna. Wszystkich lamp nie zapalę. Szwedzkie odpadają. Zostałaby krepina. Lubię tęczę, ale też każdy ma swoje sposoby. Udało mi się odesłać entuzjastę sprawdzonych metod do kogo innego. A ja włączam właśnie „Pstrąga” Schuberta. Mój znajomy nieco się spóźnił, bo dzień właśnie szybko rośnie. Ciekawe, co szykuje na ostabienie wiosenne.



m y ś l i

Kto nie ma zbyt wielkiego mniemania o sobie, reprezentuje o wiele więcej, niż sądzi.

Goethe

Znamienne jest nie tyle zachowanie graczy, co stanowisko kibiców, a za ich plecami całych narodów, które ogarnia istne szaleństwo na punkcie absurdalnych rywalizacji sportowych i naprawdę wierzą - choćby krótko - że biegi, skoki i kopania piłki są sprawdzianem cnót narodowych.

George Orwell

Nie trudno żywić cudowne myśli, gdy nad nami lśnią gwiazdy.

Marguerite Yourcenar

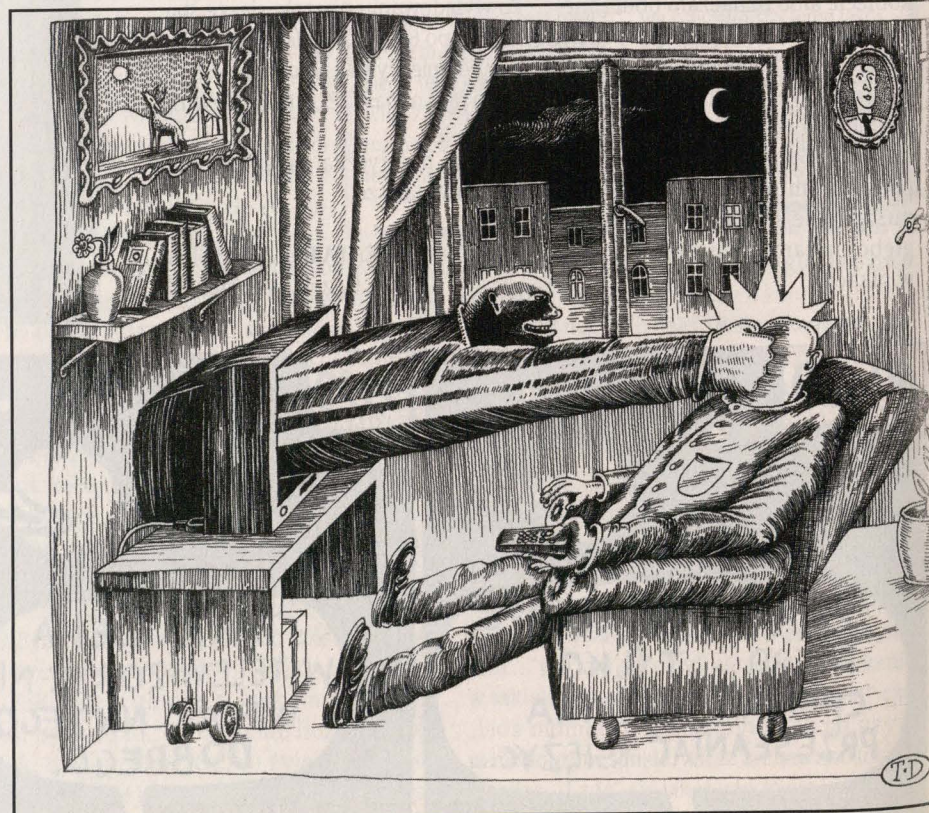
Zmiany personelu stwarzają pozory, że zmieniła się władza.

Karol Marks

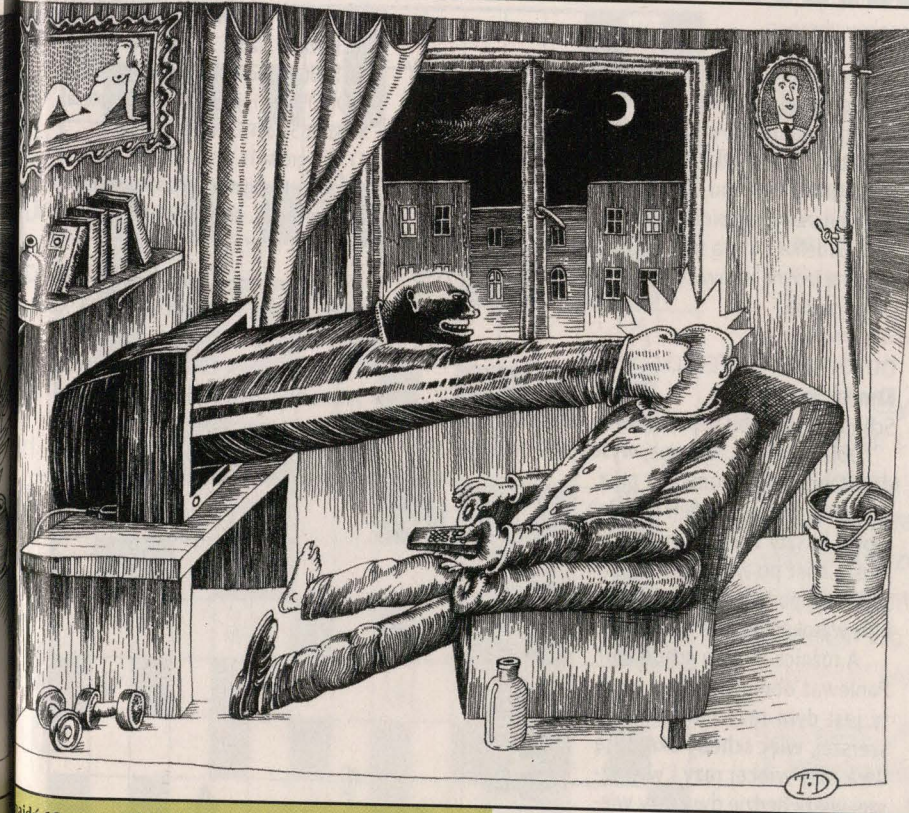
Próba poznania siebie wymaga sporej odwagi.

Krecia P.

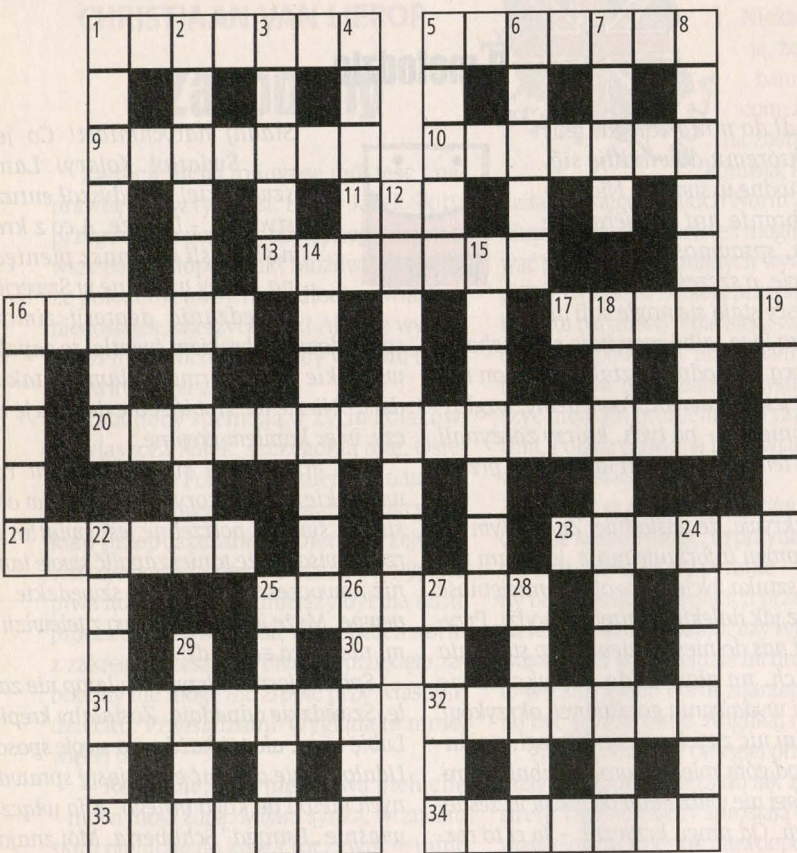
Myśli zebrała Stella Varcaby



WYTĘŻ WZROK...



Wydaj 10 szczegółów, którymi różnią się te dwa rysunki z Dańca. Rozwiązanie na s. 72.



KRZYŻÓWKA nr 12

POZIOMO:

- 1 trujący polny chwast o żółtych kwiatach
- 5 podwórkowy trapez małałotów
- 9 sprężyny
- 10 piekielny władca
- 11 też spółka
- 13 tworzy postać sceniczną
- 16 pijany motloch
- 17 trudny przy uczeniu się obcego języka
- 20 artysta uprawiający sztukę oderwaną od konkretnych obiektów
- 21 starszy flisak
- 23 coś dla skaczących wysoko
- 25 kawiarniane taneczne miejsce
- 30 współzałożyciel filomatów
- 31 miasto w północno-zachodniej Finlandii nad dwoma jeziorami
- 32 choinka po krakowsku
- 33 pod patronatem Junony
- 34 skomponowana ku czci

PIONOWO:

- 1 lata za ostatni rząd teatralnego balkonu
- 2 duchy wywołuje za pomocą mediów
- 3 Odysowa wyspa
- 4 antykaslowe ptasie ziółko
- 5 praprzodek dolara
- 6 Zofia trochę inaczej
- 7 tatuś na dachu
- 8 lekka, ozdobna szabla z głowicą z orłem
- 12 wieczorne jedzonko przy świecach
- 14 wicedzwonek przy drzwiach
- 15 odsap dzieciaków w czasie wakacji
- 16 genialny grecki poeta epicki
- 18 gra dla wysokich
- 19 koniem wreszcie zdobyta
- 22 afrykański telegraf
- 24 obsada jachtu
- 25 nos właścicieli ozdabiają
- 26 Lena
- 27 obok kurczaka w sklepie mięsnym
- 28 podstawowa część czegoś
- 29 pacierzowy pewnik

Rozwiązanie krzyżówki nr 10:

- POZIOMO:** 1. jurta 4. satyr 7. prosek 9. Szkot 10. Remus 12. kotlina 14. norka 15. trawa 16. Marat 20. areopag 21. gabinet 22. zapas 23. marabut 24. wałówka 26. rybak 28. łódka 30. kaduk 31. kolumna 32. Lilie 34. zenit 36. niesmak 37. dukat 38. Artur
- PIONOWO:** 1. jaskinia 2. rok 3. apteka 4. skrzat 5. tom 6. Rosynant 8. sufler 11. przegroda 13. jasnowidz 16. mazur 17. agaty 18. agawa 19. tasak 23. małpolut 25. ankieter 27. brudas 29. akcent 30. kaczką 33. lak 35. nit

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 8 nagrody wylosowali: Zofia Czerwińska, Nowy Targ; Natalia Żurawska, Warszawa; Genowefa tygan, Milanówek; Ewa Kardasz, Szczecin; Antoni Kowalczyk, Wadowice.

Gratulujemy!



ODPOWIEDŹ ZA TYDZIEŃ

Rękawiczki pana Levova

Pan Lou Levov – tak, tak, ten słynny producent rękawiczek z powieści Philipa Rotha „Amerykańska sialanka” – nienawidził bałaganu w swojej fabryce. I dlatego każdy krojczy rękawiczek w jego fabryce miał na swoim stole trzy pudełka z rękawiczkami. W jednym były lewe rękawiczki, w drugim prawe, a w trzecim skompletowane już pary. Na każdym pudełku były nalepki z napisem, jakie rękawiczki są w środku – lewe, prawe czy już gotowe pary.

Kiedy do fabryki przyszedł po raz pierwszy równie słynny syn pana Levova Seymour Irving Levov, znany jako Szwed Levov, zaczął wizytę od niewinnego, zdawałoby się, psikusa. Pozamieniał Harry'emu – najlepszemu krojczemu z fabryki pana Levova – etykiety na pudełkach tak, że nic nie odpowiadało prawdzie.

Błyskawiczne śledztwo przeprowadzone przez pana Levova prawie natychmiast wyłoniło winowajcę. A ponieważ pan Levov, chociaż był człowiekiem niezwykle surowym, uważał, że każdemu należy dać ostatnią szansę, to dał ją także swojemu synowi Seymourowi Irvingowi zwanemu Szwedem.

– Synu – powiedział – wyciągniesz z jednego z trzech pudełek Harry'ego tylko jedną rękawiczkę – i po jej wyciągnięciu musisz z powrotem przykleić wszystkie nalepki na swoje miejsce. Jeśli zrobisz to dobrze, to ci przebaczę. Jeśli nie – przez rok nie dostaniesz kieszonkowego i nie pojedziesz na wakacje, i...

Jeszcze nie zdążył wymienić wszystkich kar, kiedy Szwed wyjął z jednego z pudełek jedną rękawiczkę i spojrzał na nią. Po czym pozamieniał z powrotem nalepki tak, że wszystko już było jak dawniej. Harry wrócił do pracy. Pan Lou Levov się uspokoił, a Szwed poszedł na swoje ulubione lody.

Z pudełka z którą nalepką Szwed musiał wyciągnąć tę jedną jedyną rękawiczkę, aby uniknąć kary i przywrócić porządek?

ODPOWIEDŹ SPRZED TYGODNIA

Dwie baszty

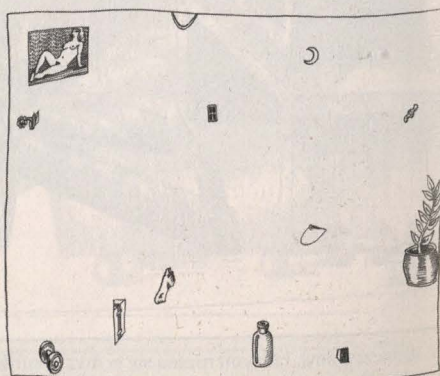
Schody wokół obu baszt będą tej samej długości.

Obie baszty są tej samej wysokości, odległość między stopniami w pionie jest taka sama dla obydwu. Zatem schody wokół baszty węższej i szerszej muszą mieć po tyle samo stopni. Jeśli mają po tyle samo stopni, to i ich wysokość będzie taka sama.

A różnica między schodami?

Ponieważ obwód węższej baszty jest dwa razy mniejszy niż szerszej, więc schody okrążą ją dwa razy więcej razy i w węższej wieży będzie dwa razy więcej platform.

WYTEŻ WZROK
rozwiązanie ze s. 70.



JOLKA nr 12



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu należy rozszyfrować następujące hasło:

D3 - G11 - D8 - H10 - B1 / F1 - L10 - B11 - J16 - M2 - J5 - A13 - I11 - E16 - F4 - D15 - Ł5 - B3 / G7 - B14 - I12 - K6 - A10 - Ł14.

Wyrazy 11-literowe:

- rozbulgotane laboratorium • szykuje władzy niespodziankę • wyże, burze, a wszystko to w miniaturze • wyścig z grzywą

Wyrazy 10-literowe:

- granie na ścianie • medycyna mu córka?

Wyrazy 9-literowe:

- pochozna książki kucharskiej • do puszczenia aferzystów

Wyrazy 8-literowe:

- przerzucić się z furii na hobby • magnes dalekich stron • Staś Pytalski dorabia • Górkiewicz • życiowy na ludnej wyspie • rzeka pionowo

Wyrazy 7-literowe:

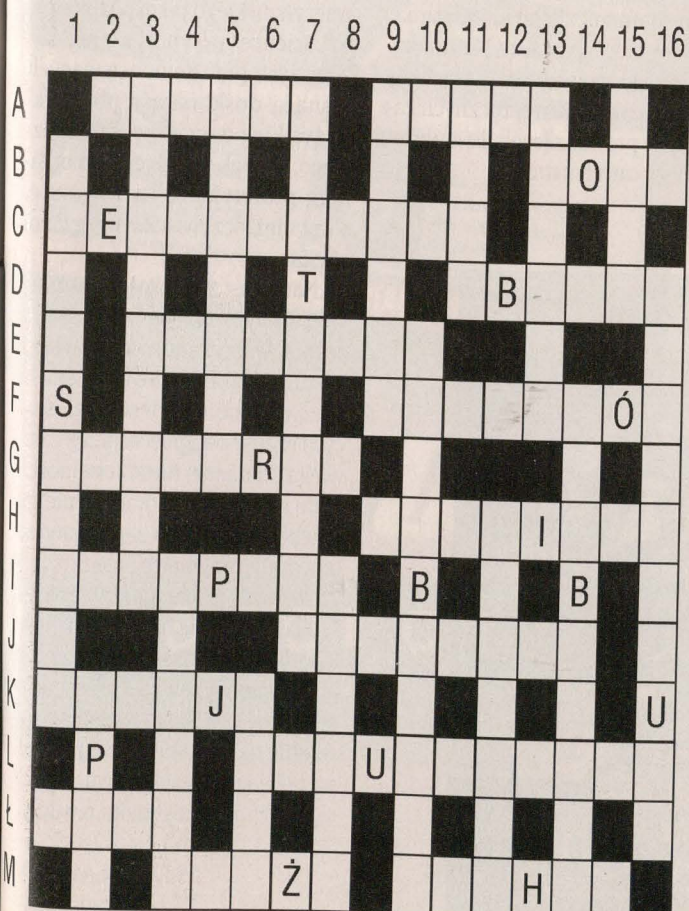
- woda doprowadzona do szafu • niejedno przy wrocławskiej kamerze

Wyrazy 6-literowe:

- zwiastunka kolumny • kręgosłup powieści • żołnierz w chitynie • Rett do pary dla O'Hary • prawa ręka plebana • czworonożny prom Dejaniry • wnętrze worka mu zbrzydło? • harmider skrzydeł • gdy rozkwit się kurczy • winda wśród nocnej ciszy

Wyrazy 5-literowe:

- wrony debeściak • wizyta kuny w kurniku lub reakcja kur na wizytę kuny w kurniku



Guillermo MORDILLO

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 8 nagrody wylosowali: Janusz Puszka, Klimontów; Izabela Wyrwicz, Poznań; Barbara Książek, Tuczno; Natalia Herczek, Bielsko-Biała; Alicja Czarowska, Kudowa. **Gratulujemy!**

Rozwiązanie jolki nr 10: PRZYGAŁAŚ DO MNIE RADOŚNIE Z DRINKAMI W OBYDWU DŁONIACH (z „Małej pustej łódki” Nicka Cave'a).

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 31 marca (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy książki – „Bunt mas” José Ortegi y Gasset lub „Zeszyty don Rigoberta” Mario Vargasa Llosy.

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, z dopiskiem „Jolka 12” lub „Krzyżówka 12”.



Klonowania zawsze się bałem

Cofając się o sto lat, napotykam aureę grozy, którą wywołało wejście na przemysłową scenę maszyn parowych. Budziły powszechny lęk, nie tylko dlatego, że kocioł mógł pęknąć pod naporem pary wodnej

Z perspektywy XXI wieku tamte prastare strachy wydają nam się dziecinne. Należy przyznać, że niepokoję, a nawet lęki, jakie wzbudziła inwazja nowożytnych technik w fundamenty procesów życiowych, to znaczy w substancję dziedziczną, są daleko bardziej uzasadnione. Nagle, jak mrowie plag z otwartej puszką Pandory, wyskoczyła możliwość powielania ludzi dzięki klonowaniu. Zaniepokojeni, a nawet przerażeni, członkowie parlamentów z wielu krajów na całym świecie wzięli się zatem za pośpieszne stawianie ustawowych zapór tak zwanej klonacji, co okazuje się o tyle błędne, że doszło do pomieszczenia pojęć.

Zostało mianowicie wykazane doświadczalnie, że klonowanie – jako zabieg dokonywany na jajeczku, do którego wprowadza się innokomórkowe jądro – daje bardzo zawodne wyniki, ponieważ przeważnie skopiowanie zdrowego organizmu się nie udaje. To też bez naporu ustawowych zakazów, jak zgodnie orzekli eksperci biotechnologiczni, nie ma – przynajmniej w najbliższej przyszłości – mowy o udanym klonowaniu człowieka.

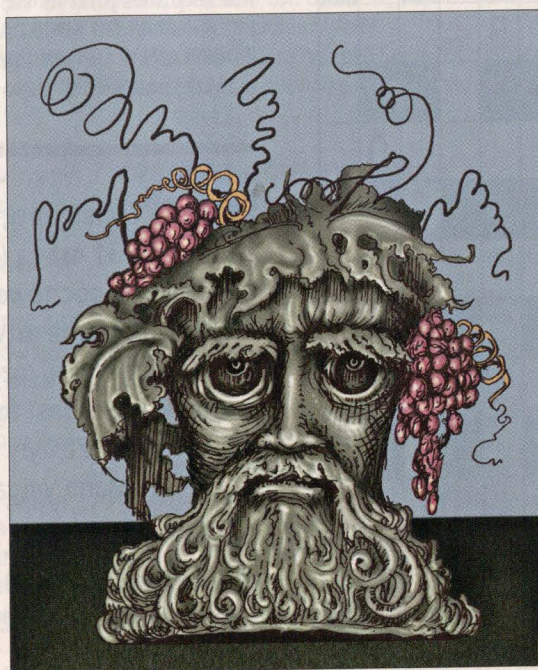
Natomiast zupełnie inną sprawą jest kierunek zwany klonowaniem terapeutycznym, który zmierza do rozwijania tak zwanych organów zastępczych, co wygląda na zbożny cel, który da się osiągnąć. Jednak szykowane w pośpiechu ustawy

nie odróżniły klonacji żywych istot od hodowania organów na przeszczepy. Zapewne trzeba więc będzie wprowadzić do nich konieczne poprawki, ponieważ ustawodawca zamknął równocześnie drogę do tego, co ryzykownie szkodliwe, jak i do tego, co zdrowotnie użyteczne.

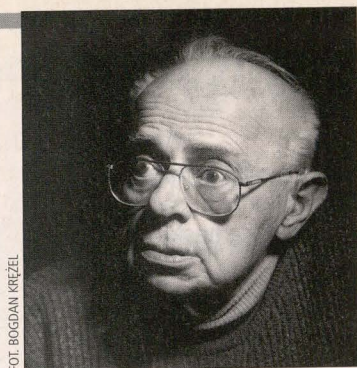
Niektórzy uczeni amerykańscy powiedzieli nawet, że dla uniknięcia pomieszczenia dobrze byłoby zamiast hasła „klonowanie terapeutyczne” wprowadzić określenie „inżynieria tkankowa”. Jest to albo namnażanie określonych tka-

nek pochodzących od leczonego już osobnika, albo takie klonowanie, które nie zmierza do rozwoju całego organizmu, lecz tylko jakiegoś jednego, uszkodzonego lub utraconego, narządu.

Na marginesie tego, co zostało powiedziane, należy lojalnie zauważyć, że żyjemy w świecie, w którym wielu ludzi dokonuje rzeczy szalonych i najsurowiej oficjalnie zakazanych, toteż zapewne tu i ówdzie pojawi się jakiś uczony-odmieniec, który będzie usiłował *per fas et nefas* wyklonować człowieka. Tego rodzaju prawnie zabroniony zabieg dzisiaj nie może się udać. Natomiast bliźnięta jednojajowe są osobnikami powstałymi przez podział zapłodnionego jajeczka, który okazuje się tym samym rodzajem spontanicznego klonowania. Zatem rzecz można, że Natura zamysliła klonowanie na tysiącletnia przed powstaniem sztucznych zabiegów prowadzących do embriogenezy całych ustrojów.



RYŚ: DIMITRI SZEWOIKOW-KSIEŁOW



FOT. BOGDAN KRZEL

Co Pan na to,
Panie LEM?

W bardzo dalekiej przyszłości droga obecnie niepokonywalna, to znaczy klonowanie ludzi z pojedynczych komórek ustrojowych, okaże się prawdopodobnie możliwa, ale fałszywe jest mniemanie, jakoby można było z komórki laureata Nagrody Nobla albo słynnego jak Małyż skoczka narciarskiego wyklonować kiedyś kolejnych genialnych naukowców i sportowców. Droga życiowa od momentu urodzenia kształtuje każdego człowieka w sposób praktycznie niepowtarzalny i wiemy przecież, że nawet dzisiaj istnieją już kłony ludzi – jak jednojajowe bliźnięta, a nawet czworaczki – i że ich losy życiowe pokrywają się jedynie w granicy 80 proc.

Jeden z ostatnich numerów amerykańskiego pisma naukowego „Science” przynosi szereg najnowszych prac demonstrujących rosnącą doskonałość protetyki wszystkich narządów ciała ludzkiego. Jednak przed jednym organem protetyka się zatrzymuje, a jest nim, oczywiście, mózg człowieka.

Natomiast zupełnie inną, właściwie baśniową, oprawę mają oświadczenia Amerykanów, na przykład Williama Haseltine’a, prezesa Human Genome Sciences, głoszących szansę osiągnięcia przez człowieka doczesnej nieśmiertelności. Tutaj już prognozy drastycznie się rozchodzą. Biologia zachowawcza utrzymuje, że granicę przedłużonego żywota może stanowić wiek 130 lat. Znacznie bardziej zuchwali optymiści, zwłaszcza w pismach popularnonaukowych, przesuwają tę granicę do 350 lat. Natomiast poważnie na całkowite unieśmiertelnienie doczesne żaden z liczących się znawców przedmiotu nie liczy.

STANISŁAW LEM
8 marca 2002

Licencja prawdę ci powie...



Czy twoja drużyna
zostanie w ekstraklasie?
Od lipca będzie musiała mieć
światła i dach na stadionie,
a w kasie jawne finanse...

Wszystko o licencjach

raporcie specjalnym

**VIVA
FUTBOL!**

Panorama straszności



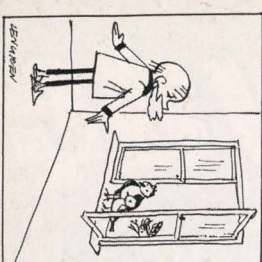
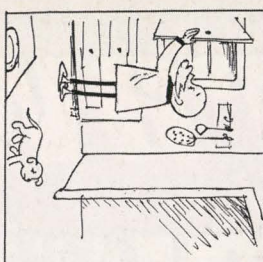
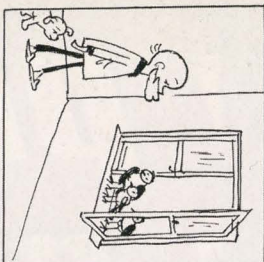
PROSIMY POWTARZAĆ

I nagle się okazało, że sama miłość to za mało.

HAI!

- Separacja coraz częściej polega na tym, że ona wraca do matki, a on do żony.

FILITER



HE!

Prezenterka zapowiadająca pogodę w „Panoramie” 2 TVP (25 lutego, godz. 16) powiedziała: „W całym kraju pada śnieg, chwilami wręcz sypie”.
Brr, straszna pogoda, chwilami wręcz okropna.
(Nadesłał Adrian K. z Kalisza)

- Zdaje się, że zdrowie można zachować tylko wtedy, kiedy się je to, na co się nie ma ochoty, pije to, co nam nie smakuje, i robi to, co nam nie sprawia najmniejszej przyjemności.

CHĘTNY

Pismo „Kontakt” w numerze 14 zamieściło anons:

„Przyjmę różne pomysły na zarobienie pieniędzy”.

Ja też!!!

(Nadesłał Emil Biela z Myszkowa)

PRZEMYŚLAŁ BORKOWSKI

Uśmiechnij się, jutro będzie lepiej

Raz pewien pan, zwyczajny pan (ja takich panów setki znam), wleciał do sklepu i jeszcze w biegu do sprzedawcy tak krzyknął: „Ty mi sprzedaj natychmiast uśmiechów trzydzieści”. „Na miejscu podać?”. „Nie, zapakować”. Po czym, jak stał, wziął je i zwiózł.

A sprzedawczyni w obcisłej mini rzuciła za nim ten trzysta pierwszy uśmiech najśrodszy oraz najśrodszy, z szyi najbardziej zdjęła krawatkę krzyżując: „Chwilczkę! Pan nie zapłacił! Jest mi pan winny spacer nad rzeką, czterdziści westchnień, liścik. że »czekam«, wysłany z dworca bardzo daleko z dopiskiem: »przyjeżdż!« sześćdziesiąt razy. Z tyłu widoczek: dziecko na plaży”.

A on zawstydzony jak panienka. Wrócił nazajutrz. Najpierw „cmoki” – ręka. Potem za rękę ją poprowadził nad ową rzekę, tam długo gładził jej włosy czarne jak noc sierpniowa, aż ją od tego bolała głowa.

Potem, wiadomo: ślub i te rzeczy. Żyli szczęśliwie. Mieli sto dzieci. Z tych dzieci potem tysiąc dwa wnuki. Kto w to nie wierzy, jest bardzo głupi.

A moral z tego jest dosyć prosty: ludzie to brzęgi, uśmiechy – mosty ponad przepaścią tkane w pośpiechu. Szczęście zaczyna się od uśmiechu.

ŚWIĘTO KOBIEC

„Dziennik Polski” z 20 lutego ogłasza między innymi:

KLUB zatrudni panie do salonu masażu i tańca na ruce. /012/ 19397/8

KOBIEC do sprzedaży. 012/ 19397/8

Mężczyźni do płacenia.
(Nadesłała Barbara Pączkowska z Krakowa)

HUMOR ZESZŁYCH SZKOLNYCH

Janko zrobił sobie skrzypce i grał na nich własnym smyczkiem.

Telmena, chcąc uwięzić Tadeusza, uśladła na mrowisku.

Kula ta nie pasowała do żadnej broni, tylko do Gerwazego.

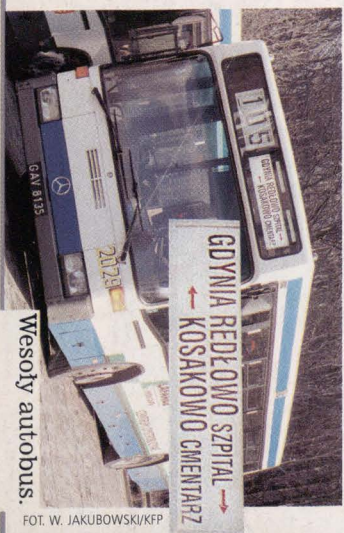
Zeus bardzo nalegał na Herę.

W Afganistanie rozbił się już czwarty bezałogowy samolot szpiegowski Predator. I tym razem nikt się nie uratował.

Każdy bezkrytyczny naśladowca to snop.

Golasów dlatego zwą nudystami, że strasznie się nudzą, ogładając siebie.

TOFOTOFOTOFOTO



FOT. W. JAKUBOWSKI/KFP